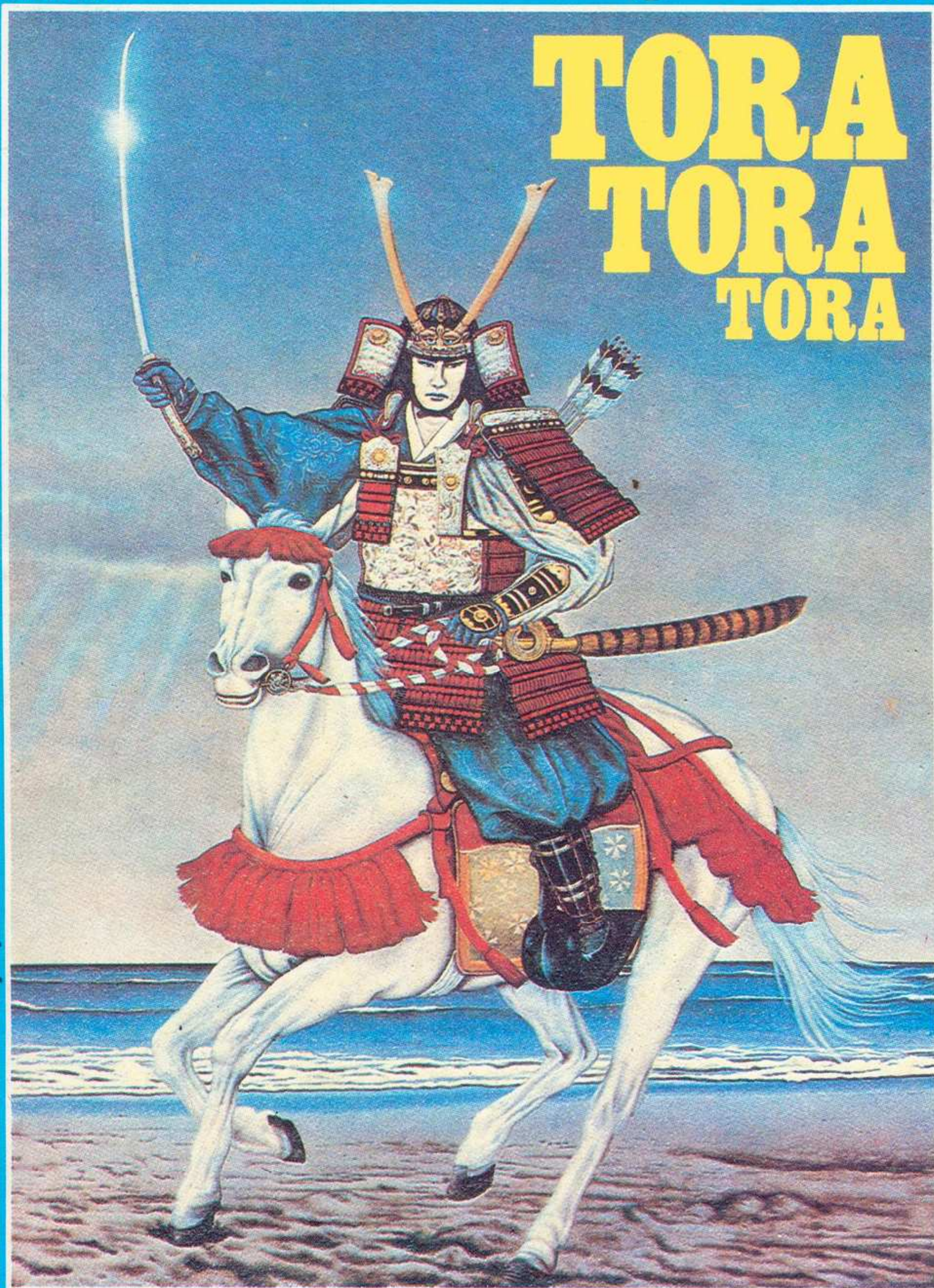
MIESIĘCZNIK
2 (53) LUTY 1987 CENA 80 ZŁ

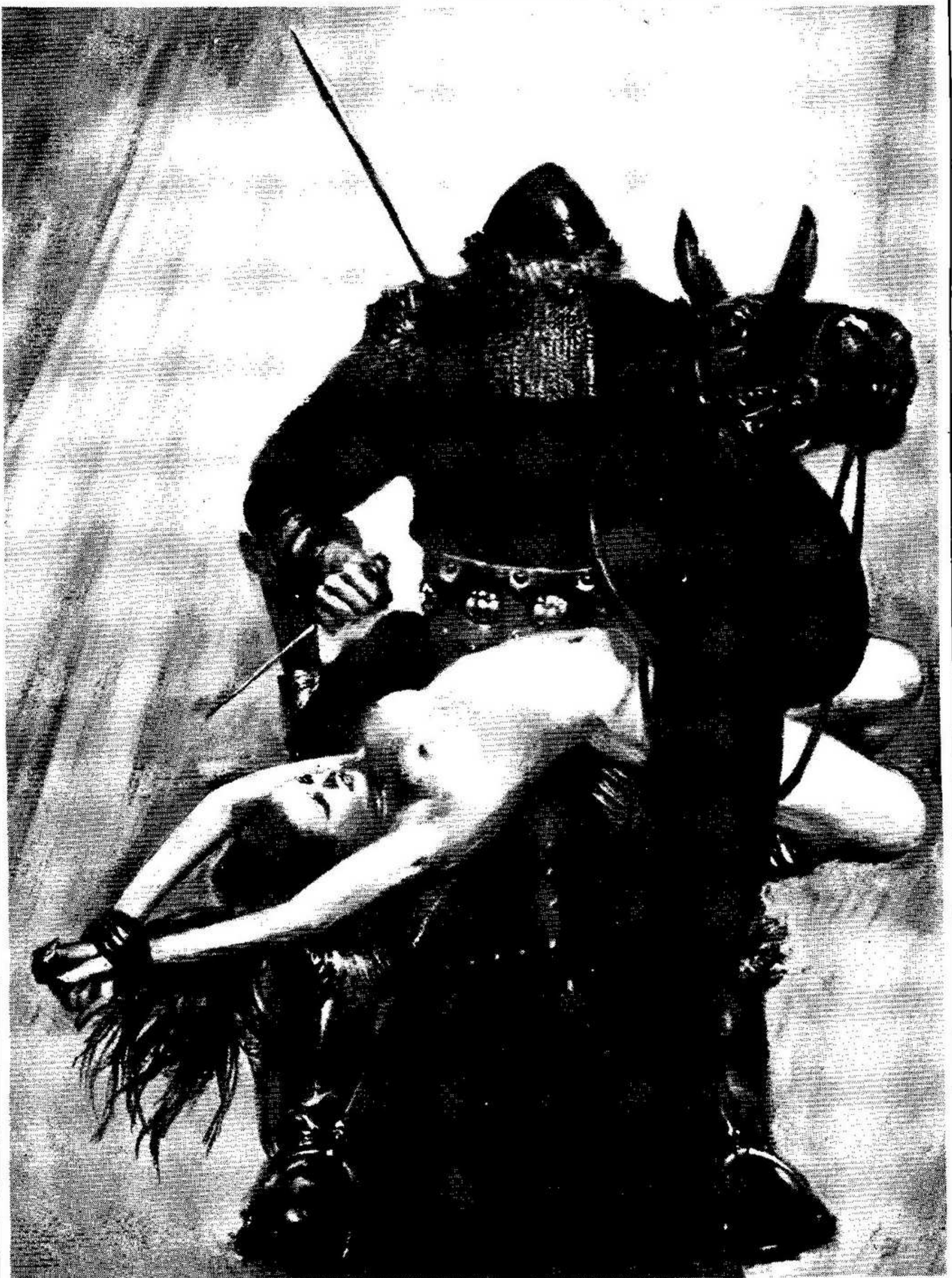
Fantastyka

PL ISSN 0209-1631
NR INDEKSU 35839



ISAO KISHII – Ilustracja prasowa

W Galerii „Fantastyki" – Japończycy



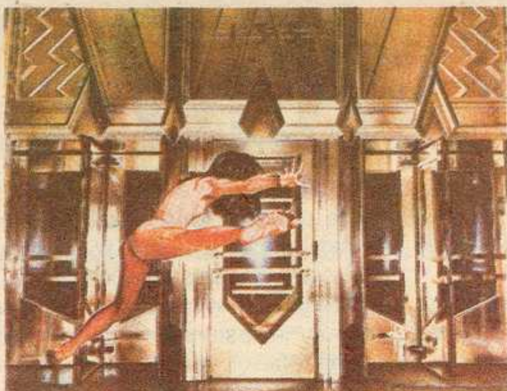
KATOH NAO YUKI

Uwaga Czytelnicy!

Z przykrością zawiadamiamy, że Krajowe Wydawnictwo Czasopism (nasz edytor) zmuszone jest podnieść cenę naszego pisma do wysokości **100 zł** za egzemplarz. Podwyżka została spowodowana niezależnym od redakcji i wydawcy wzrostem kosztów druku i papieru. Nowa cena „Fantastyki" będzie obowiązywać począwszy od numeru 3/87.

W stosunku do prenumeratorów nowa cena wejdzie w życie z chwilą wygaśnięcia opłaconego okresu prenumeraty.

SADAO SATO



Swoje indywidualne wystawy w naszej „Galerii" mieli już dwaj artyści z Japonii: Hajime Sorayama („Fantastyka" nr 2/85) i Katoh Nao Yuki (7/86). Jak wynika z wielu listów, cieszyły się one sporym powodzeniem; proponujemy więc kolejną próbkę dokonań twórców z Dalekiego Wschodu. Tym razem są to prace różnych autorów, wybrane z albumu „Ilustracja w Japonii 1985".

Galeria „Fantastyki" – Tora! Tora! Tora!



Właściwie największą rewelacją naszego II sondażu opinii Czytelników, którego wyniki zapewne wielu z Państwa ma jeszcze w pamięci, było pierwsze miejsce wśród najpopularniejszych autorów „Fantastyki" przedstawiciela nie pisarzy, nie ludzi tworzących wizje literackie, na których – zdawało się nam – najbardziej opiera się autorytet naszego pisma, lecz popularyzatora nauki. Nauki, której prawdy tak przecież kontrowersyjnie przyjmuje się w epocę nieustannego zagrożenia bombą atomową, czy skażeń ekologicznych.

Oczywiście talent Macieja Iłowieckiego nigdy nie podlegał żadnym wątpliwościom i za coś oczywistego można przyjąć wyrazy uznania dla jego wieloletniej działalności popularyzatorskiej, ale... ale przecież to jego pierwsze miejsce jest także dowodem jak wiele u nas ciągle znaczy sama nauka i niesione przez nią zjawiska. Jak bardzo tymi sprawami, które z badań naukowych wynikają i w teorii – w sferze wielkich uogólnień, i w praktyce – w dziedzinie pozytywów i negatywów aplikacji osiągnięć technicznych, zainteresowane są różnorodne grupy społeczne. Podkreślam tutaj tę różnorodność. Ona bowiem także stanowi charakterystyczną i specyficzną cechę naszych Czytelników, miłośników fantastyki. W obydwu przypadkach, zarówno teorii nauki, jak i jej praktycznych zastosowań – i to jest chyba sens i cel szczególnego zainteresowania zagadnieniami nauki – chodzi Czytelnikom na pewno o szeroko pojęte roztoczenie społecznej kontroli nad tym, co dzieje się w rezultacie badań. Jaki obraz otaczającego nas świata przedstawia współczesna nauka i jakie miejsce w tym obrazie – ciągle niepokojąco się zmieniającym, ewoluującym – może i powinien by zająć człowiek. Istota jednocześnie pragnąca wygodnego i spokojnego życia, niekoniecznie zresztą tylko pojmowanego konsumpcyjnie, ale także i pełna niepokoju, żądzy przygody, poznawania za wszelką cenę prawdy o sobie i o świecie.

Z tym, że wartości poznawcze nauki traktowało się, jak gdyby w spuściźnie po zafascynowaniu techniką wieku XIX i początku naszego stulecia, raczej praktycystycznie niż filozoficznie. Nawet jeden z twórców współczesnej fizyki, z jej całym sztafażem sprzyjającym zdawałoby się bardziej kombinacjom intelektualnym niż budowaniu użytecznych i konkretnych mechanizmów czy urządzeń – Schroedinger – miał czelność powiedzieć: *„Remont. Filozofom wstęp wzbroniony"*.

Wkrótce – w takiej atmosferze – gdy aspekty wielkich uogólnień, konstruowania obrazów świata na zasadach naukowych zeszły na drugi plan wobec błyskotliwych i katastroficznych zarazem perspektyw praktycznych zastosowań energetyki atomowej, zastosowań prawie że doraźnych, powiedziano sobie: co tam filozofowanie, kiedy poznawane prawa przyrody mogą zapewnić człowiekowi niezwykłe i straszliwe moce.

Takie – od razu się to porównanie narzuca, jakie wyobrażają sobie dzisiejsi twórcy fantastyki i ukazują w swoich bardziej i mniej udanych dziełach.

Często mówi się i pisze, że literatura science fiction stawała się i staje literaturą „zamiast". Zamiast tego, co powinny przedstawiać czytelnikom utwory głównego nurtu, ten bowiem coraz bardziej ucieka od filozofowania. I podobnie jak nauka, choć przecież zupełnie innymi metodami, grzęźnie w codziennej praktyce życiowej, w najlepszym razie przeciwstawiając się, naigrawając się z niej lub na nią po prostu się godząc. W ten sposób ginie w literaturze wszelki dydaktyzm, współczesny pisarz coraz rzadziej wierzy w swoje powołanie do rządu dusz. Opisywanie istnienia w jego bogatych przejawach staje się celem samym w sobie, tak jak by to była nauka, nie życie.

W istocie pisarstwa science fiction natomiast tkwi zawsze dydaktyzm, tkwi wiara we wpływ tego typu literatury na codzienność, na kształtowanie przyszłości, a tym samym i teraźniejszość. Fantasta nie godzi się nigdy na te kształty życia jakie zna, jakie obserwuje. Nienawidzi śmierci, ufa, że uda się ją zwalczyć, zniszczyć, unicestwić. Twórczość fantastyczna w swych implikacjach katastroficznych dąży do odwrócenia kart historii, tworzącej się przecież nieustannie, pragnie mobilizować. Nawet wtedy, gdy fantastyka bywa tylko zwyczajną rozrywką nie ucieka od problematyki społecznej. Przecież każdy utwór SF musi mieć jakiś rodzaj sztafażu, prezentować jakąś wizyjną budowlę stosunków międzyludzkich i wyglądu świata. Drapieżności w sięganiu do korzeni nabiera fantastyka szczególnie w rodzaju pisarstwa zwanym fantasy – w tych jakże okrutnych baśniach, obśmiewających i karykaturujących naukę, mieszających prymitywizm uczuciowy, tkwiący jakby w każdym z nas zawsze (może to i racja) wraz z finezyjnością koncepcji intelektualnych.

Kpi sobie fantasy z niedołęstwa czy niedorozwoju nauki, przeciwstawiając jej... magię – a więc cały zespół marzeń o potędze człowieka, jakiej niestety nie zdołał osiągnąć. Jeszcze nie zdołał. I oto reakcje naszych Czytelników (tych, którzy lubią pismo „Fantastyka" i z nim korespondują) zdają się wskazywać na jeszcze inne kierunki i możliwości działania fantastów i uczonych. Samo opisywactwo naukowe przestaje im wystarczać, żąda się od niedoskonałej, ale ciągle rozwijającej się nauki pomocy w tworzeniu tego, co było dla niej przez długie lata zabronione. Remont się skończył, filozofom przestano zabraniać wstępu. Nadchodzi więc czas, gdy nauka coraz lepiej i precyzyjniej opisująca otaczający nas świat będzie mogła być poddawana filozoficznym spekulacjom, jak to napisał do mnie jeden z Czytelników – sprawi, by wszystko co wymarzone stało się prawdziwe, a wszystko co znienawidzone zniknęło jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Różdżki prosto z nowoczesnych utworów fantasy.

10–9–8–7–6–5–4–3–2–1–0

Adam Hollanek

MIESIĘCZNIK LITERACKI
Fantastyka

Adres redakcji:
00-640 WARSZAWA,
ul. Mokotowska 5/6

Telefony: 25-34-75 (red. nacz., sekretariat, działy: techn., graf., literatury polskiej), 25-50-51 (z-ca red. nacz., sekretariat, działy: zagr., krytyki).

Redaktor naczelny: Adam Hollanek. **Zespół redakcyjny:** Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Anna Gładka, Lech Jęczmyk (kier. działu zagr.), Sławomir Kędzierski (z-ca sekr. red.), Zbigniew Latała (fotoreporter), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Dorota Malinowska, Wiktor Malski, Andrzej Niewiadowski (kier. działu krytyki), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (z-ca red. nacz.), Krzysztof Szolginia (sekr. red.), Darosław J. Toruń, Marek K. Załęski, Rafał A. Ziemkiewicz.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Propagandy tel. 25-35-36. Skład: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Druk i oprawa: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Zam. 18/87, P-49.
Nakład 150 000 egz.

NR INDEKSU 35839 PL ISSN 0209-1631

Oddano do składu 24 LISTOPADA 1986 r.

LĄDOWANIE XLVIII

Dzisiaj druga porcja kontrowersyjnych dezyderatów czytelniczych, których wprawdzie nie poparto w naszym sondażu sporą liczbą głosów, lecz mimo to warte wydają się analizy i dyskusji. Z komentarzem poczekamy na reakcje Państwa w korespondencji do nas. Najpierw niech będzie dyskusja, a potem ja się ustosunkuję do niej, zebrawszy uprzednio opinie zespołu redakcyjnego. Zaczynamy.

Wideo za wszelką cenę

Już samo to, że jesteście pismem, a nie którymś z najnowszych masowych środków przekazu, takich jak telewizja, wideo czy kino, stawia Wasz zespół na pozycjach konserwatywnych. Jak możecie bowiem przekazywać nowe treści science fiction w rodzaju na przykład baśni – fantasy jedynie drukiem. To anachronizm. I to anachronizm niezwykle nudny. No, ale wiemy, że nie macie możliwości dysponowania równocześnie pismem i telewizją, wobec tego musimy koniecznie mieć od Was dobry i rzeczowy poradnik wideo. Na różnych imprezach (a coraz ich więcej) pokazuje się ciągle, prawie zawsze, te same filmy wideo, aż się niedobrze od tego robi. Są to przeważnie stare filmy, źle skopiowane, dobrane z najtańszego na Zachodzie barachła. A jeszcze w rubryce fanowskiej chwalicie nieraz dobór tej przypadkowej zbieraniny. Jak długo wolno się tak zgrywać? Jeśli choć trochę orientujecie się w tym, co krąży z wideo science fiction po naszym kraju, to już dawno powinniście byli radzić nam, którzy przepadamy za filmami wideo, co trzeba koniecznie zobaczyć, a czego unikać jak zarazy.

Jan Żachalski *z Wrocławia*

Lata trwało zanim powstała „Fantastyka" i trzeba było długo, aż po dziś dzień, jak się to u nas mówi „wypełniać lukę" wiedzy o fantastyce światowej, demonstrując wybór zagranicznych tekstów i tekścików. Czy tak samo całe dziesiątki lat muszą minąć do powstania polskiego filmu wideo? Wprawdzie w kinach mnożą się różne „z-gagi" na wielkim ekranie, ale nie słyszałem, aby ktoś zdecydował się na wyprodukowanie chociażby jednej kasety z tym, co demonstruje się w kinach, nie mówiąc już o szansach umieszczenia na taśmach mnóstwa rzeczy, które telewizja widać lekceważy. Tylu u nas autorów science fiction, w radio ich się słyszy, czytuje na łamach Waszej „Fantastyki", a telewizja nic ciekawego nie robi. W „Ekranie" podali, że nakręcono „Paradyzję", fotosy się nawet pojawiły, ale terminu pokazania w telewizji tej „Paradyzji" nie uświadczysz. Jak to właściwie jest? Dlaczego musimy błagać o rzecz tak oczywistą, jak stworzenie polskiego, telewizyjnego (wideo) filmu science fiction. Skończcie milczenie na ten temat, zabierzcie głos, „Fantastyka", jako pismo literackie, do tego jest także powołana, żeby lansować to, co warte lansowania.

Studenci *z Warszawy*
grajdołka wideo

Śmiało z poezją

To już zakrawa na niesmaczne żarty. Wystartowaliście z poezją, zamieściliście w „Fantastyce" kilka niezłych rzeczy i nagle, niby to na żądanie Czytelników, przerywacie poetycką działalność. Tchórze, kogo wy się do diabła boicie i czego? Paru durniów, którzy czytaliby w te i we wte tylko „Conana" i inne podobne bajdury? Chcecie to pismo sprowadzić z góry do piekiełka rozrywkowej science fiction dlatego, że przyszło trochę wybrzydzających listów?

Chwalę Wasz numer z Witkacym, cieszę się, że poświęcacie trochę miejsca takim zjawiskom poetyckim jak Lemański, ale sądzę, że to wszystko za mało. Takie pismo jak „Fantastyka" nie powinno się wlec w ogonie tradycyjnej science fiction, a jednak się wlecze – gdzież śmiałe eksperymenty młodych, wszak dajecie sporo młodzieży pisarskiej, ale to epigoni, naśladowcy najgorszych wzorców tego typu literatury, partacze pracujący dla forsy. Ciekawe, ani jeden, czy prawie ani jeden z tej generacji naśladowców nie ma odwagi, aby napisać jakieś wiersze, czy jakieś utwory dziwne. Inne niż wszystkie, a przecież literatura wzbogacała się właśnie przez ataki na nią dziwności, nadzwyczajności, odrywania się od reszty. Ale tego u Was nie uświadczy. A Wasza, z przeproszeniem, krytyka w ogóle tego braku awangardy na łamach Waszych (i nie tylko Waszych) nie widzi. A może literatura science fiction to jedynie popłuczyny po prawdziwej literaturze, dalekie odbicie tego, co już dawno niemodne?

Jarosław Gliński *z Warszawy*

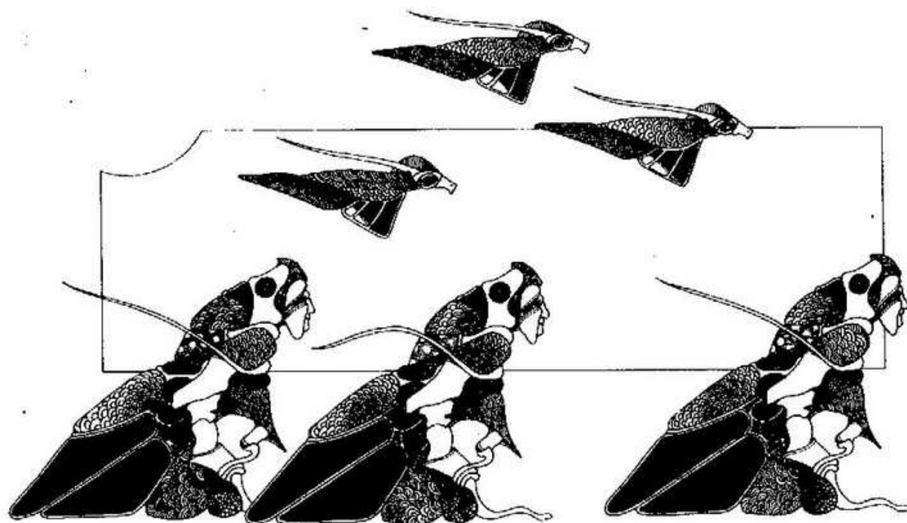
Brakuje nauki

Ciągle się nie możemy pogodzić z brakiem miejsca na naukę w Waszym piśmie. Dajecie sporo wspomnień o dawności, te Wasze „pożółkłe kartki" są zresztą solą w oku większości, mniemam, czytelników, a równocześnie unikacie tematyki naukowej. Jako namiastkę jej zamieszczając jedynie, trzeba przyznać ciekawy, felieton pana Iłowieckiego i czasami jakieś interesujące artykuły pana Mostowicza. I na tym koniec. A tymczasem, czy tego fantastyka sobie życzy czy nie, czy odcina się od nauki czy ją kocha, ludzie spragnieni są wiadomości o tym co ich czeka, czy będą długo żyć, co się stanie ze światem, jakie nowe wynalazki pomogą ludzkości, a jakie okażą się wredne. Tego wszystkiego nie można pominąć, bo wtedy nie wiadomo gdzie się żyje. Nauka wciska się w każdy kącik, nawet naszego skromnego polskiego życia. I tego nie wolno nie dostrzegać. Powinny być i krótkie wiadomości i komentarze do nich. Inaczej niż to robią „Problemy", które zamiast wyjaśniać krótko, może nawet upraszczając, nudzą i rozwlekają. To dobre pismo, ale jakoś Was nie uzupełnia, więc może Wy sami spróbujecie.

Józef Galaska *z Poznania*

Czekamy na listy Czytelników.

Redaktor



Jean Clavdie Smit le Benedicte

Konkurs na słuchowisko – wyniki

W listopadzie 1986 r. rozstrzygnięto konkurs na słuchowisko o tematyce fantastyczno-naukowej i popularnonaukowej, ogłoszony przez Program IV Polskiego Radia. Jury w składzie: dyrektor Programu IV PR Marian Kruczkowski (przewodniczący) oraz red. Adam Hollanek, min. Mieczysław Kazimierczuk, doc. Józef Rurawski, red. Eliza Bojarska (członkowie) – postanowiło przyznać:

- I nagrodę (25 tys. zł) Agnieszce Różyckiej – godło „litek" za pracę „Pozdrowienia od Pandory",
- II nagrodę (20 tys. zł) Zofii Hiszpańskiej – godło „Antykwariusz" za pracę o Henryku Budowskim
- dwie III nagrody (po 14 tys. zł) Krzysztofowi Rześniowieckiemu – godło „Rudy" za pracę „Transakcja" oraz Małgorzacie Maliszewskiej – godło „Timaios" za pracę „Podwójna spirala",
- wyróżnienie (8 tys. zł) Dariuszowi Romanowskiemu – godło „IBM-5000" za pracę „Radioeksplozja".

Jury stwierdziło, że ogólny poziom nadesłanych prac był wysoki, większość uczestników wykazała się sprawnym warsztatem pisarskim, a także wyborem interesujących tematów ■

Przeminie jedenaście ziemskich lat i patrolowy Drugiej Kosmicznej Wiktor Nowożyłow znowu trafi na Ualauala. Człowiek szybko starzeje się w kosmosie. Mając trzydzieści sześć lat będzie wyglądać na co najmniej czterdzieści pięć, zapuści wąsy, zacznie się golić dwa razy dziennie i nabierze paskudnego przyzwyczajenia masowania worków pod oczami. Z natury posępny, stanie się tak ponury, że poza plecami będą o nim mówić „Stary", ale jego brzuch nadal będzie płaski, ruchy szybkie i tylko on sam będzie wiedział, że już niedługo potrwa jego praca w Drugiej Kosmicznej, że pora na Ziemię, pora schodzić z trasy.

Wtedy zrozumie, że niczego nie można już odkładać na później, wsiądzie do swojego kutra i skieruje go na Ualę.

Pójdzie przez osiedle, ale cud, na który czekał tak długo nie zdarzy się. Wtedy przypomni sobie, że nie zamknął skrzydeł kutra i trzeba, zanim nie będzie za późno, naprawić błąd, a to znaczy, że musi wracać. Przypomni sobie, że tu nigdy nie wiadomo, kiedy i gdzie skryje się słońce („zakończy dzienny taniec" – jak mówią Peule) i ostatnim promieniem da sygnał rozpoczęcia ciemnych łowów, pory, w której człowiek nie powinien znajdować się na otwartej przestrzeni.

Wiktor znieruchomieje na środku ulicy. Pasmo skłębionego kurzu będzie wskazywać drogę, którą przyszedł. Będzie gorąco, niezwykle gorąco, jak na tę porę roku, chociaż czy można w ogóle mówić o klimacie tej planety, na której nawet doby mają różną ilość godzin?

Czas ciemnych

Trudno powiedzieć, kto naprawdę ponosi winę za wszystko, co zdarzyło się na Uale, a w szczególności za to, co później zostało nazwane Incydentem. Jedni będą winić kolonistów, inni będą zaklinać się, że niby my, Ziemianie, popełniliśmy błąd. Jeszcze inni w poszukiwaniu przyczyn zapuszczą się w gąszcz historii i całą odpowiedzialnością obciążą tych, którzy rozdmuchali sensację wokół Uali i wywalczyli zgodę na budowę kompleksu badawczego, nie biorąc zupełnie pod uwagę, że Ziemia nie była jeszcze przygotowana do takiego przedsięwzięcia i po prostu nie mogła utrzymać kolonii na drugim krańcu Galaktyki na odpowiednim poziomie. Wszyscy będą szukać winnego, wszyscy będą całkowicie przekonani, że winny istnieje i że koniecznie należy go, jeśli już nie ukarać, to przynajmniej wskazać palcem.

Wszyscy będą mieli słuszność i wszyscy będą się mylić, a być może najmądrzej postąpią ci, którzy w ogóle nie będą szukać winnych, tylko zajmą się naprawianiem tego, co się stało.

Ale posłuchajcie tylko... Planeta-sensacja, unikatowa już chociażby przez to, że obraca się nie wokół własnej osi, lecz po spirali, której promień to rośnie, to maleje (rezultat oddziaływania magnetycznego pulsara Loe), która nie powinna być sejsmiczna, lecz jednak jest. I wreszcie planeta o dwóch kodach genetycznych, z których jeden jest dokładną kopią ziemskiego, planeta, na której co krok – to odkrycie. Pokusa! Sensacja, jak wszystkie sensacje szczęśliwie ucichła i gdy tylko zmarł główny entuzjasta kolonizacji, członek Akademii O. Bonczar, postanowiono odwołać ekspedycję. Ludziom, dla których celem życia stało się zbadanie Uali, którzy poświęcili jej już po dwadzieścia – dwadzieścia pięć lat, trudno było się pogodzić z taką decyzją. Część z nich odmówiła powrotu. Powiedziano im – dobrze, zostańcie, ale będzie trudno zapewnić wam zaopatrzenie w takich ilościach i tak regularnie jak poprzednio. Brak funduszy. To nie była groźba, tylko prawda, za którą być może jeszcze kryła się nadzieja, że uparci koloniści w końcu skruszeją. Nie ulegli. Przyznali, że oczywiście rozumieją trudności i że spróbują jakoś dać sobie radę sami. Łączność zapewniała już tylko rejsowa rakieta, raz w miesiącu. Być może należało zabrać ich stamtąd siłą?

Kiedy powstał Kosmokodeks, a w nim Drugie Prawo zakazujące ludziom osiedlania się na planetach, na których istnieją istoty rozumne, kolonistów nikt już nie był w stanie ruszyć z Uali, zresztą nikt specjalnie nie próbował. Prawo nie było jeszcze wtedy skrupulatnie przestrzegane. Co jakiś czas Ualę odwiedzali inspektorzy SOR-u (Stowarzyszenia Obrony Rozumu), ale kończyło się na rozmowach i namowach. Być może to właśnie był błąd, może należało działać bardziej stanowczo? Ale nikt nie prosił o pomoc – Peule, rdzenni mieszkańcy planety, nie wymierali, koloniści nie skarżyli się, za nic nie chcieli opuścić swojego osiedla, a o powrocie nie zamierzali nawet myśleć. Tuż przed Incydentem ich kacykiem był Kosmaty-syn, człowiek władczy, można nawet powiedzieć – despotyczny, gwałtowny, silny, a także twórca pewnej ideologii. Jakiejś niezbyt jasnej teorii o „wielkich miastach".

Powstała wtedy dziwna sytuacja. Z jednej strony Uala jako planeta istot rozumnych stała się ziemią zakazaną, nikogo tam nie wpuszczano, oficjalnie zamówienia kolonistów przestano realizować, formalnie kolonia przestała istnieć. Z drugiej strony patrole kursowały dość regularnie, przywoziły towary, pocztę, inspektorów. Być może ta dwoistość była winą Ziemian?

Część winy za to co się stało, Wiktor weźmie na siebie, ale szczerze mówiąc, uzna swoje słowa za szlachetne kłamstwo. Przez jedenaście lat będzie wspominać ten „przeklęty przez wszystkich byłych i przyszłych bogów dzień", kiedy utracił Olgę. Będzie go rozkładać na czynniki pierwsze, rozcinać na sekundy, przypominać sobie wszystkie najdrobniejsze szczegóły i cieszyć się z każdego wydobytego z pamięci szczegółu i to stanie się swego rodzaju manią.

Ciągle będzie miał wrażenie, że zdarzyło się coś przypadkowego i nielogicznego.

Przypomni sobie Drugą Pietlejewską ulicę, biegające po niej dzieciaki, rude od kurzu i krzyczące z przerażeniem a może z zachwytem: „Będą nas wywozić!"

Przypomni sobie nowego inspektora, którego przysłano wtedy zamiast Zuraba, swoje zdziwienie (inspektorzy Stowarzyszenia Obrony Rozumu rzadko opuszczają swoje posterunki), złe przeczucia (wymyślone być może ex post), które ogarnęły go na widok tego bardzo młodego szczupłego chłopca z napięciem w oczach, o nieprecyzyjnych ruchach, przypomni sobie, że pomyślał: „coś się stanie".

Inspektor nazywał się ni to Borys Nikołajewicz, ni to Nikołaj Borysowicz, a być może w ogóle zupełnie inaczej – odpowiadał wprawdzie na oba imiona, ale za każdym razem wyraźnie czuł się dotknięty. Dla siebie Wiktor nazwał go Młodzikiem. Młodzik był energiczny i próbował patrzeć srogo, ale na razie nie bardzo mu to wychodziło.

I jak ten inspektor stał w pasażerskiej kajucie kutra, nieco pochylony, otoczony panoramiczną reprodukcją „Dżungli" Hajra-

ma. Osaczały go nieopanowane, szalone barwy i wśród zwierząt, drzew i kwiatów wydawał się zupełnie nie na miejscu.

Przypomni sobie Wasyla Randewera, który tego dnia powitał kuter. Najgrubszy i najżyczliwszy człowiek na całej planecie. Krzyknął jak zwykle: „Przywiozłeś listy, Pynaku?"

Pynak – ualowska transkrypcja pijaka. Tak przezwano tu Wiktora z powodu obrzękłej twarzy – skutek częstych przeciążeń, zwyczajna rzecz w patrolach.

Woził im listy, narzędzia, instrumenty, ubrania, naczynia – każdy drobiazg z Ziemi był w wysokiej cenie. Zdziwił się kiedyś, kiedy zobaczył pędzel do golenia zrobiony z kawałka drewna i dwudziestu szczeciniastych włosów miejscowej świni. Najlepsza maszyna rolnicza nie miała tu żadnej wartości w porównaniu ze zwykłą łopatą, ponieważ łopatę jak się popsuje można zreperować, a maszyny nie. Nikt nie potrafi.

czach i twardo zarysowanym podbródku. Jako jeden z nielicznych kolonistów nie zapuścił brody. Bywał w różnych kłopotliwych sytuacjach, ale zawsze wygrywał. Impulsywny, ale jego impulsywność wydawała się nieco przesadzona, jakby trochę aktorska. Bali się go bardziej niż Kosmatego, był sumieniem, siłą, zemstą i spiskiem. Czasami tracił panowanie nad sobą, ale, co ciekawe, zawsze wygrywał.

Omar zjawił się wśród kolonistów osiem lat przed Incydentem i nieoczekiwanie dla samego siebie znalazł swoje powołanie w łowach na Ualauala. Byłby zupełnie szczęśliwy, gdyby nie Kosmaty ze swoją dyktaturą, chociaż być może właśnie dlatego był szczęśliwy. Cokolwiek Kosmaty zaproponował, napotykało to wściekły opór Omara. Kosmaty nienawidził Omara, ale go znosił, wszystkim mówił, że taki człowiek jest po prostu niezbędny właśnie po to, żeby naprawdę nie powstała dyktatura. Jakby cokol-

Władimir Pokrowski

(Wriemia tiemnoj ochoty)

łowów

Przypomni sobie, jak przywitała go tego dnia Olga, która przyszła jako jedna z ostatnich.

Kiedyś w trakcie nic nie znaczącej rozmowy, powiedział:

– Oleńko, wiem o tobie wszystko i rozumiem cię jak nikt.

– W takim razie powiedz, o czym teraz myślę?

To było nie tylko wyzwanie, potem zrozumiał, że miała nadzieję, że zgadnie, być może najbardziej na świecie chciała, żeby zgadł.

Nie próbował zgadywać. Wykręcił się żartem.

I przypomni sobie rozpaczliwe poczucie winy wobec niej i swoją wściekłość na nią, wściekłość o to, że kiedyś dał się jej namówić na osiedlenie na Uali. Przekreślił wszystkie swoje plany, zrujnował swoje życie, ale potem nigdy nie myślał o tym poważnie, ciągle odkładał na później – a nuż jakoś się ułoży. A Olga wszystko rozumiała, milczała, tylko stawała się coraz posępniejsza, przestała mówić o miłości – „możesz zrobić co zechcesz, mnie tam wszystko jedno."

– Jak zostaniesz, to będę twoją żoną. Potrzebni nam są mężczyźni. Świeża krew.

Tak właśnie mówiła. Świeża krew.

Zawsze był pewien, że ją kocha. Ani przedtem, ani potem nic podobnego mu się nie zdarzyło. A więc to miłość. Ale ta miłość była uczuciem upokarzającym, dręczącym, a nawet chorobliwym. Wieczne przebijanie przez obojętność, tylko po to, żeby zatrzymała go swoim bezbarwnym „nie odchodź".

Przypomni sobie także, jak szli w stronę osiedla, a on objął ją ramieniem. Olga nie odepchnęła go, ale oczywiście się nie przytuliła. Jeszcze o niczym nie wiedziała, dziwiła się tylko, dlaczego nie przyleciał Zurab, a Wiktor nie potrafił powiedzieć jej prawdy, tylko plótł jakieś głupstwa.

Dla Wiktora w tej historii będzie wiele niejasnego.

Często będzie wspominać Omara, największego wroga Kosmatego. Wiktor nie lubił Omara, zresztą nikt go specjalnie nie lubił, po prostu wszystkich ciągnęło do niego, może z powodu szczególnego rodzaju energii i niezwykłej uczciwości, która sprawiała, że traktowano go niemal jak mędrca.

Ostateczny portret Omara będzie wyglądał tak – typ zdecydowanie azjatycki, o czarnych, wilgotnych, „dogmatycznych" o-

wiek mogło temu przeszkodzić. Jakby ktoś mógł powiedzieć, że Kosmaty boi się Omara.

Tamtego dnia, kiedy Wiktor z inspektorem lądowali niedaleko kolonii, Omar przygotowywał się do dalekich łowów. Siedział w kucki przed ogniskiem, a naprzeciw niego w takiej samej pozie siedział Gospodarz. W Norze nie było prawie nikogo, nawet zgrzybiali starcy wypełzli na zewnątrz, tylko z sali kobiet dobiegały piskliwe serie słów, a opodal kręcił się niebieskoskóry mieszaniec Dinke. Co chwila niby niechcący, bokiem, zbliżał się do Omara, trącał go w ramię głową o wiotkich dziecięcych uszach. Nie znał innego sposobu, żeby wyrazić swoją miłość.

– On cię kocha – bez peulskiego łkającego akcentu, tylko bardzo szybko powiedział Gospodarz.

– Chyba wezmę go dzisiaj ze sobą.

Dinke zamarł. Ale stary przecząco uniósł rękę.

– Będzie zimno. I wiatr. Nie idź jeszcze.

– W czasie burzy dobrze się poluje. A Dinke jest silny.

– Bardzo się złości nocą. Bardziej niż Peulowie. Odległa krew się bardzo burzy. Jeśli nie umrze, będzie dobrym myśliwym.

– Tym bardziej.

– Nie idź.

Myśliwi, którzy mieli towarzyszyć Omarowi byli już wybrani – Palauomoa, garbusek o słabym węchu, ale z fenomenalnym refleksem i jeszcze jeden, którego Omar prawie nie znał. Nazywano go Martyn.

– Proszę, nie idź – terkotał Gospodarz wlewając do porcelanowej filiżanki nalewkę o przykrym zapachu. Nazwa tego napoju była niemożliwa do wymówienia – dziewięć spółgłosek pod rząd.

– Dlaczego przyszedłeś dzisiaj?

– Kosmaty zwolnił.

Gospodarz zaniepokoił się.

– Kosmaty? Dlaczego dzisiaj? Nauczył się czytać pogodę?

Płaczliwie zabrzęczał woks. Omar wyjął go z kieszeni.

– Tu Omar.

Nikt się nie odezwał, a woks buczał nadal.

– Słyszę, słyszę! Tu Omar, kto mówi?

Gospodarz z uszanowaniem patrzył na małe brązowe pudełko w dłoni gościa. Nie miał takiego. Za to miał latarkę. Wyciągnął ją i oświetlił odległy kąt komnaty.

Omar zaklął.

– Jeszcze wczoraj wszystko było w porządku. Czy i ten trzeba wyrzucić?

Buczenie umilkło i rozległ się wzburzony bas.

– Omar, słyszysz mnie? Coś się stało z twoim woksem, Omar!

– Dziękuję, wiem – mruknął Omar.

– Zupełnie cię nie słyszę, ale jeśli ty mnie słyszysz... Przyleciał Pynak, a z nim nowy inspektor. Chodzą różne plotki...

– Co on mówi? – z szacunkiem zapytał Gospodarz i schował latarkę. Podporządkowując się niepojętej etykiecie udawał, że nie rozumie.

– Mówi, że przywieziono nowego inspektora. – Omar w zamyśleniu przymrużył oczy. – Do diabła!

– To znaczy, że Kosmaty nie nauczył się czytać pogody – z zadowoleniem wywnioskował Gospodarz.

Omar wstał i wsadził woks do kieszeni. Peule nazywali ludzi „kalaumusa", co znaczy „nadzwyczaj smutny", ponieważ tylko złamany strasznym nieszczęściem Peul może poruszać się tak płynnie i powoli jak człowiek.

– A więc odkładamy polowanie. Szkoda. Muszę obejrzeć nowego inspektora.

– Nie śpiesz się – dziwnym monotonnym głosem, jakim Peule mówią rzeczy ważne poprosił stary. – Myślę, że oni długo jeszcze będą rozmawiać.

– Ja też chcę porozmawiać.

– Lepiej później. Inspektor powie jedno, Kosmaty – drugie, a ty przyjdziesz i powiesz swoje.

– Nie rozumiem cię. Co „swoje"?

– Kosmaty – bardzo dumny człowiek. Nie odejdzie z kolonii. Prędzej wszystkich zabije. Nie trzeba, żebyście wszyscy razem krzyczeli. Nic nie zrobisz. Idź i słuchaj, co oni mówią.

Omar nigdy nie mógł zrozumieć, jak Peule, a zwłaszcza starcy, mogą tak precyzyjnie przewidywać przyszłość. O żadnej telepatii nie było mowy, nie mieli także daru jasnowidzenia. Nie można także powiedzieć, że byli bardzo inteligentni, przeważnie raczej głupi i naiwni, nie potrafili zrozumieć najprostszych rzeczy. Ale w takich sytuacjach jak ta, chociaż wypowiadali się mgliście, zawsze trafiali w dziesiątkę.

– Nie rozumiem cię, starcze. Powiedz jaśniej.

– Dużo razy mówiłem. Nie ty się go boisz, lecz on ciebie. Nie można być takim dumnym. Kosmaty wszystko popsuje.

– Nie mam czasu, stary. Idę sobie – gniewnie mruknął Omar i zaczął wspinać się do wyjścia z Nory.

– Najważniejsze – to przyjaciele Kosmatego. Bez przerwy patrz na nich. Oni jak pao – głupi i jadowici. Uderzają z tyłu. Niech cały czas będą przed twoimi oczami.

– Dlaczego? – Omar czuł jak rośnie w nim wzburzenie, jakby jakaś myśl starała wydostać się na powierzchnię.

– Ty często zabijałeś, ale nie tak.

– Nie „jak"? – cicho i ostrożnie zapytał po długiej przerwie.

– Twojemu narodowi dobrze będzie u nas. Jesteśmy przyjaciele.

Człowiek i niski, przekrzywiony, bardzo chudy, niebieskoskóry Peul patrzyli sobie w oczy.

– Przyjdę – śpiesznie powiedział Omar.

– Przyjdę – w ślad za nim powiedział Gospodarz.

Tak żegnali się Peule. A na powitanie mówili „Pomogę ci".

Ale najczęściej Wiktor będzie wspominać rozmowę w bibliotece Jednookiego, słynnego księgarza, który umarł sześć lat przed Incydentem. Dom Jednookiego stał się czytelnią, mógł tam przyjść każdy i tam decydowano zwykle o wszystkich sprawach kolonii.

Jak wszystkie budynki na Placu Pierwszych, biblioteka była starą budowlą, jedną z tych, które postawił jeszcze Kosmaty-ojciec. Drewniane pudełko z czterospadowym dachem i artystycznie wykonanym gankiem. Były tam dwa pokoje, jeden maleńki mieszkalny oraz właściwa biblioteka. Wszystkie ściany pod sufit były zastawione półkami z książkami. Nie oszklone regały, wśród książek straszny nieład, ustawione byle jak, czasem nawet leżały zwalone na stosy.

Kurz, ogromnymi rudymi plamami, leżał na wszystkim. Żeby nie wiem jak starał się Kosmaty zaprowadzić w bibliotece porządek, nic z tego nie wychodziło. Podobnie było z asfaltowaniem głównej ulicy kolonii – Pierwszej Petlewskiej. Wiktor bardzo się starał, zdobył błonę asfaltową, z entuzjazmem zaczęto rozwijać rulony, potem zapał minął i wszystko spokojnie zatonęło w kurzu.

Inspektor siedział przy długim bibliotecznym stole, naprzeciw, niby na spotkaniu wysokiego szczebla, usadowił się Kosmaty ze swoimi dwoma Przyjaciółmi. Pozostali tłoczyli się w drzwiach.

Kosmaty i jego ludzie z okazji przyjazdu gości ubrani byli zupełnie przyzwoicie, zresztą inni koloniści też włożyli na siebie co kto miał najlepszego. Domowe sukmany z cienkiej wełny, wypłowiałe, ale czyste koszule. Prawie wszyscy byli obuci. Ale pomimo to nie pasowali do czytelni, książek i bibliolitów. Nieufne spojrzenia, czujne pozy, ręce czarne od kurzu i brudu – kolonistom wyraźnie brakowało tylko zwierzęcych skór.

Ton rozmowy był ostry. Właściwie nie była to rozmowa, tylko gwałtowne starcie, które zaczęło się jeszcze przy powitaniu kutra, kiedy Kosmaty wyciągając rękę do inspektora zapytał:

– Wynika z tego, że teraz ty będziesz namawiać?

Inspektor uścisnął rękę, ale nie uśmiechnął się.

– Nie. (I to „nie" zabrzmiało zbyt dźwięcznie, nieomal z patosem). Nie, ja was nie będę namawiać.

A teraz siedzieli za stołem, a przed każdym z nich stała wysoka szklanka „bełtu", miejscowej herbaty o miłych oszałamiających właściwościach. Ale ani jeden, ani drugi nawet go nie spróbował w czasie rozmowy.

– Nie rozumiem, co tu jeszcze można wyjaśnić? – denerwował się Młodzik. – Został naruszony artykuł Kosmokodeksu, naruszony STO OSIEMDZIESIĄT PIĘĆ lat temu, prawo jest łamane nadal, aż do tej chwili. Naprawdę nie ma o czym mówić. Na planetach, na których istnieje rozum, ludziom nie wolno się osiedlać. Jasne?

– Nie. – Kosmaty naburmuszył się. – Półtora tysiąca ludzi, wszyscy się tu urodzili, chcą zostać. A ty powiadasz: „prawo, nie będę nic tłumaczyć". Nieładnie. Zurab zawsze tłumaczył.

Wiktor długo nie mógł zrozumieć dlaczego Młodzik tak się denerwuje. W ogóle słabo rozumiał, co się działo. Dopiero po upływie długiego czasu znalazł, jak mu się wydawało, właściwą odpowiedź. Najwidoczniej Młodzik czuł, że nie ma racji, ale chciał postawić na swoim. Może była to dla niego na przykład sprawa kariery. Pierwsze zadanie i do tego takie odpowiedzialne...

– Tyle czasu było można, a teraz nie wolno?

W bibliotece zrobiło się ciemno. Koloniści z trwogą patrzyli przez okna na kosmate niebo. Nadciągała wielka burza. Przeraźliwie wyły wysokie wichry. To zdarza się bardzo rzadko, przeważnie wysoki wiatr jest tylko jeden, huczy monotonnie, przy takim wietrze boli głowa i człowiek ma wrażenie, że wszystko dzieje się we śnie. Ale bywa, że na tej samej wysokości spotyka się kilka wysokich wiatrów, zderzają się, a wtedy na ziemię spadają dźwięki, czasami niezwykle piękne. Brzmi uroczysta, odurzająca melodia, przyciska cię do planety, przejmuje dreszczem i znika.

Jak Olga patrzyła na Wiktora, kiedy Młodzik oficjalnym tonem zawiadomił o wysiedleniu!

– Wiedziałeś?

– Tak – odparł niedbale Wiktor, jakby to się samo przez się rozumiało. Nie śmiał spojrzeć jej w oczy.

– Dlaczego nie powiedziałeś?

Wzruszył ramionami. I całym ciałem poczuł zimno, które szło od Olgi.

Przypomniał sobie inny dzień, ten, w którym powiedział jej, że nie zamierza się żenić, a jeśli już nawet, to już na pewno nie osiądzie na Ualauala. Byli oboje zmęczeni długim spacerem do Jaskiń. Padał deszcz i trzeba było się spieszyć. Olga obracała w palcach jakąś gałązkę, jak zwykle patrzyła w bok, obojętnie, z lekkim uśmiechem. Wiktor czekał na odpowiedź, a kiedy się nie doczekał, odwrócił się, żeby podnieść torbę. W tym samym momencie Olga zagryzła wargę i z całej siły smagnęła go gałązką przez plecy. Było to tak nieoczekiwane, że aż się przestraszył.

Patrzyła na niego z bólem i nienawiścią. Nigdy jej takiej nie widział.

– Co z tobą?

Milczała. Wiktor zabrał Oldze gałązkę i złamał ją. Potem wyrzucał sobie ten gest, nie trzeba było tego robić – wyszło to zbyt symbolicznie. Na Ualauala nie rozumiano symboli.

Powiedział: „nie mogę tu zostać, a to znaczy – koniec z nami. Jeszcze pozostał mi tylko rok patrolowania, a potem wracam na Ziemię. Nie wyobrażasz sobie co to dla mnie znaczy".

Olga odpowiedziała, że nie może opuścić kolonii, ma matkę, brata, jej ojciec ma drzewną chorobę, nie może ich zostawić. Zresztą nie chce wyjechać.

Koloniści z mlekiem matki wyssali miłość do swojej ziemi, chociaż zdaniem Wiktora nie było tu nic takiego, co nadawałoby się do kochania. Ich patriotyzm był szczery, naturalny jak oddychanie. Ale co go zrodziło? Nieustanna ciężka praca, zainteresowania na poziomie roślin, warunki jak w epoce kamienia łupanego, a tuż obok w zasięgu ręki ich własna supercywilizacja.

Ustąpił. Ustąpił w czasie trzeciego spotkania i teraz rozpaczliwie tego żałował. Uważał, że został złapany za słowo.

Teraz, kiedy wysiedlenie zostało postanowione, Olga pociągnęła Wiktora za rękaw i ze złością powiedziała:

– W tej sytuacji powinieneś po prostu zostać z nami.

TORA! TORA! TORA!

Nie wiadomo dokładnie, jak ugryźć tych Japończyków XX wieku. Zawsze muszą być naj-, naj-. Najdłuższe zbiornikowce, najmądrzejsze roboty, wkrótce „myślące" komputery. Najkrótsze wakacje i najdłuższy dzień pracy.

I teraz wszelkie znaki i sygnały, wysyłane z Kraju Kwitnącej Wiśni, świadczą o narastającej ekspansji w kolejną domenę, tradycyjnie europejską – w dziedzinę sztuki pięknej i jej peryferyjne obszary. Nasza cywilizacja powraca do swych komunikacyjnych źródeł – do obrazka, i od umiejętności czytania kodów obrazkowych może zależeć jej rozwój.

Album pt. „Ilustracja w Japonii 1985" (Kodansha, Tokyo 1985), który chciałbym Państwu choć wyrywkowo przedstawić w naszej „Galerii", jest świadectwem starań japońskich designerów (projektantów sztuki użytkowej) o zawładnięcie wyobraźnią milionów, a kto wie czy nie miliardów, ludzi. Jest częścią nigdy nie ogłoszonego programu kulturalnej ekspansji na niespotykaną skalę.

Album jest coroczną, dziesiątą z kolei edycją „Ilustracji w Japonii", a piątą w wersji japońsko-angielskiej. Wyboru prac (a pamiętajmy, że Japonia – mimo dominacji ruchomego obrazu – nadal przoduje w ilości zadrukowanego papieru) dokonał komitet wydawniczy, powołany przez oficynę Kodansha. W jego składzie znalazły się takie sławy, jak Shigeo Fukuda (zwycięzca warszawskiego Biennale Plakatu), Teruhiko Yumura i wyśmienity Katsu Yoshida.

Publikowane obrazki pochodzą ze wszystkich możliwych mediów, z wyłączeniem komiksu i tzw. sztuki czystej. Poza grafiką stosowaną w filmach wideo, ilustracją książkową i posterem są tu też ilustracje reklamowe, pochodzące z plakatów, a także z jednodniówek wydawanych na przykład przez sklepy z winem.

Autor przedmowy, Katsumi Yutani, dowodzi, że ilustracja, odgrywając rolę zarówno opakowania towaru, jak i jego promocji, staje się również przedmiotem obrotu towarowego. W zawikłanym nieco wywodzie usiłuje przekonać świat, że jest ona najważniejszą dziedziną sztuki – a obrót ilustracją jest najskuteczniejszym narzędziem ekspansji kulturalnej. Z sarkazmem stwierdza: *„My, Japończycy, jesteśmy już bardziej amerykańscy od Amerykanów"*, ubolewając, że graficy pamiętają jedynie o swych sponsorach z Ginzy i Osaki i nie chcą podbić Chicago, Berlina i Moskwy. Nietrudno zrozumieć zakłopotanie Katsumi Yutani; album pełen jest Picassa, Rembrandta, Vermeera czy Matisse'a. Japońscy ilustratorzy poruszają się najzwinniej w świecie wśród dzieł wielkich i słynnych, czerpiąc siłę i ducha dosłownie ze wszystkiego. Yutani uważa, iż japońska ilustracja jest jeszcze zbyt słaba, by podbić świat i obciąża winą grafików, ich niechęć do traktowania ilustracji jako środka ekspansji.

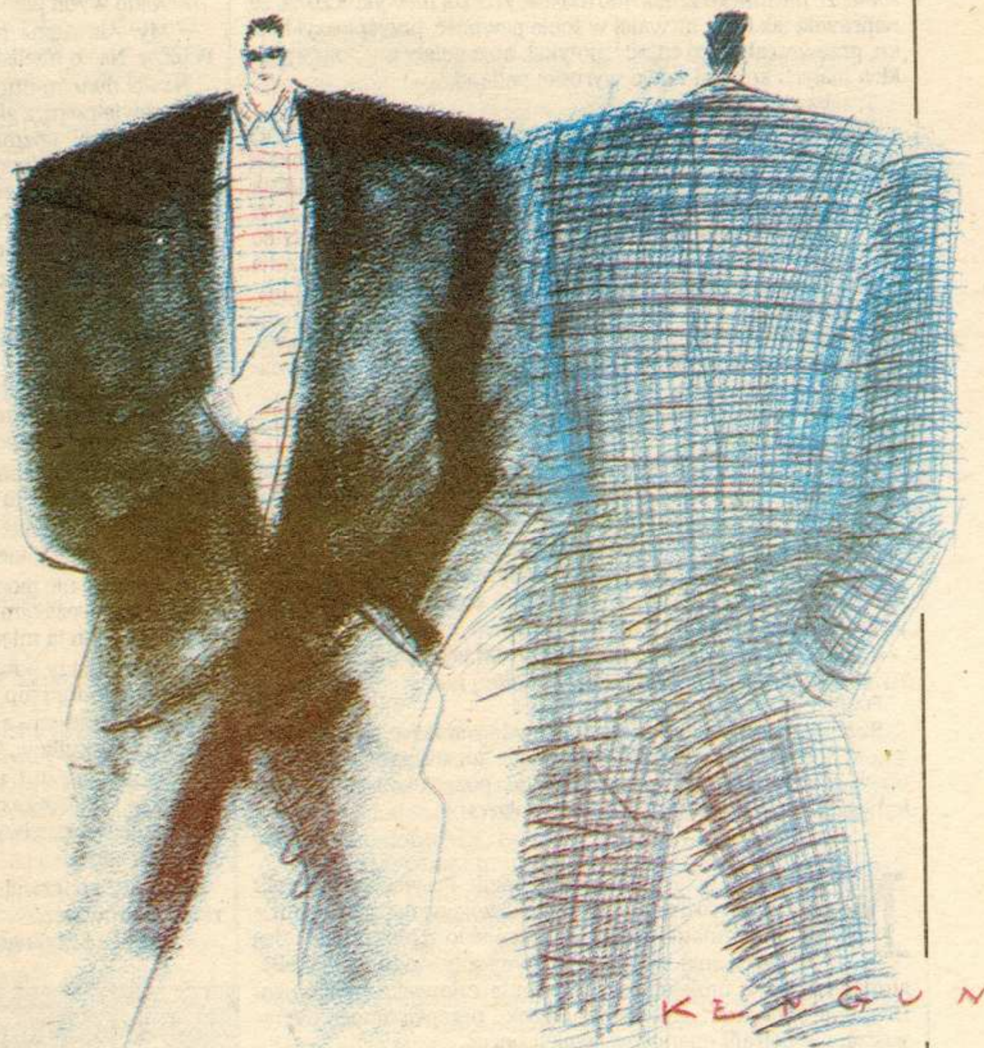
Długi rozdział poświęca zagadnieniu plagiatu, wtórności i pastiszu w sztuce ilustracji.

Z tych ciekawych rozważań nie wyciąga jednak wniosków bezpośrednio dotyczących ilustracji pomieszczonych w albumie. Z lupą w ręku można szukać na 500 obrazkach 268 autorów wpływu słynnej japońskiej tradycji, opartej na głębokim przeżyciu wewnętrznym; więcej tu ponadnarodowych koneksji niż ochrony własnej świadomości. Woła natomiast Yutani o siłę wewnętrzną ilustracji, siłę, która ma przekonać świat o najwyższej wartości japońskiej właśnie sztuki.

„Ilustracja w Japonii" jest niezwykle ciekawym wydawnictwem; moim zdaniem świadczy o zrozumieniu świata pozajapońskiego przez japońskich twórców. Świadczy o niezwykłych umiejętnościach tak intelektualnych, jak i technicznych kreowania bytów plastycznych wspólnych dla naszej ziemskiej wioski. Ciągłość tej edycji i wzrastający z roku na rok napływ japońskich wydawnictw do krajów zachodnich mają jednak – mimo wątpliwości Katsumi Yutani – znaczenie globalne. Źródeł zainteresowania japońską grafiką można szukać w fascynacji japońskim cudem: przemianą świata zamkniętego przez tysiące lat w świat otwarty i ekspandujący. I my nie jesteśmy od tej fascynacji wolni, czego dowodem może być kolejna publikacja w „Galerii" dokonań Japończyków w dziedzinie grafiki fantastycznej.

Nie obronimy się przed inwazją obrazka; uczmy się więc czytać obrazki jak czyta się książki, niekoniecznie fantastyczno-naukowe. Japończycy, ci wiecznie przodujący i naj–, ostrzegają nas: przyszłość komunikacji należy do obrazka!

Marek Krzysztof Zalejski



MIDORI MURAKAMI – DM Pamphlet

Powinność. Nienawidził tego słowa. Zanim jeszcze człowiek się urodzi już jest komuś coś winien. Każdy ciągnie w swoją stronę i mówi: „to twoja powinność".

Przypomniał sobie ojca Olgi, byłego pocztowca, Nikitę. Kiedyś niedokładnie oczyścił ranę po ukąszeniu charmata, miejscowej półjaszczurki o ogromnych owadzich oczach. Charmat przepada za białkową paprocią, rzadkim, ale przez to wcale nie mniej strasznym wrogiem wszystkiego co żyje na Ualauala, jeżeli oczywiście nie liczyć samego charmata i jeszcze kilku potworów o pozaziemskim kodzie genetycznym. Zarodniki paproci, jeśli dostaną się do żywej tkanki, rozmnażają się w niej. Trudno wyobrazić sobie okropniejszą śmierć, niż śmierć od ukąszenia charmata. Najpierw następuje porażanie rdzenia pacierzowego. Człowiek leży i wyje z bólu. Następnie traci władzę w rękach i nogach, wreszcie w szczękach. Żółte korzenie przebijają skórę, wypełzają na zewnątrz i wiją się w poszukiwaniu ziemi.

Nikita mógł jeszcze poruszać prawą ręką. Jęczał nieustannie i miał tak jeszcze jęczeć półtora roku, góra dwa lata. Powoli tracił rozsądek i mówił:

– Nikt z was nie wie, jak wspaniałe jest życie. Powinniście mi zazdrościć. Półtora roku!

Woks przekazywał szmer głosów, nic nie można zrozumieć. Jeden, to chyba głos Kosmatego. Omar usiłował przypomnieć sobie numer jego woksa, wreszcie mu się udało. Dostroił swój aparat i słyszalność stała się lepsza, ale nadal trudno było coś zrozumieć. Coś o Peulach, o kosmokodeksie. Znowu namawiają. Ale ten inspektor jest inny. Jan mówił...

Jeśli wszystko wygląda tak, jak mówił Jan, to rzeczywiście trzeba się śpieszyć. Gospodarz jest mądry, chytra bestia, wszystko rozumie i to co zaproponował, może być niewykonalne, ale zdaje się, że to jedyne wyjście. Omar nie wyobrażał sobie, jak to właściwie zrobi, ale wewnętrznie był już przygotowany. Tłumaczył sobie, że nic innego zrobić nie można, zresztą niewykluczone, że naprawdę tak było, utrwalał w sobie pewność, przyśpieszył kroku, przewracał się co chwila, potykał, nogi pętały mu sploty giętkich białych korzeni nowo wyrosłej paliandy.

Trzeba się spieszyć.

Kilka polowań temu Omar schwytał konia. Był prześliczny, może tylko za ciężki w kłębach, ale Omar wypuścił go – niech biega. I teraz pożałował. Niskie wiatry wznosiły chmury kurzu, wcisnęły w grunt korzenie i paprocie, uderzały to w twarz, to w plecy, dość prędko musiał rzucić plecak i karabin, zostawił tylko pianonarty, bez nich nie przeprawiłby się przez rzekę. Rzeka kipiała, wody nie było już widać, tylko piana kłębiła się nad niskimi brzegami.

Trzeba się śpieszyć, śpieszyć, tam się dzieje coś niedobrego. Dlaczego nie przyjechał Zurab, tylko ktoś inny. A woks z niewiadomych przyczyn działa tylko na odbiór.

„...Nie zamierzam was namawiać, to nie do mnie należy" – więc do tego doszło!

Teraz był już stuprocentowo przekonany, że ma słuszność, wiedział co się tam dzieje i wiedział czym to się skończy. Bezgranicznie wierzył swojej intuicji.

Był przerażająco samotny, towarzyszył mu tylko wiatr i kurz, Boże mój, Boże, jeżeli jesteś, spraw, żebym naprawdę miał rację, daj mi siłę przetrwania, spraw, żeby inni zrozumieli mnie, i Ty, i jeszcze Gospodarz...

Bolało go kolano, bolało zapewne już od jakiejś półtorej godziny, nie miał czasu sprawdzić co się stało.

Później, później...

Beze mnie może się zdarzyć naprawdę wszystko... ten Kosmaty... to przecież tchórze, tchórze, boją się go, zrobią wszystko, co on im każe... Przeklęte świetliste miasta... pozatruwał ludzi, pozatruwał... Że też mnie poniosło na to polowanie...

Mówili tylko Kosmaty i Młodzik. Przyjaciele milczeli. Byli to ochroniarze Kosmatego, wyznaczeni zgodnie z regulaminem kolonii. Jednego z nich Wiktor dobrze znał, bo był on sławny z powodu swojej siły, głupoty, a także umiejętności udawania człowieka myślącego. Drugi nie spuszczał z inspektora wzroku przepełnionego nienawiścią, nie potrafił opanować swoich uczuć.

Młodzik zniżył się do wyjaśnień. Teraz referował przyczyny wysiedlenia równie kategorycznie, jak poprzednio odmawiał jakichkolwiek wyjaśnień.

– Skazujecie na zagładę miejscową ludność! – mówił uderzając dłonią w blat stołu w takt swoich słów. – Dawno zostało udowodnione, że ingerencja wyższych cywilizacji w sprawy tuziemców przynosi wyłącznie szkodę. Można doprowadzić do nieprzewidywalnych kataklizmów społecznych.

– Peule – to nasi przyjaciele. Nic złego im nie robimy. Zapytaj – czy zabiliśmy choćby jednego.

Wiktor widział, że Kosmaty prowadzi jakąś grę – ale nie wiedział jaką.

– Wasi przyjaciele, ha-ha-ha! – teatralnie roześmiał się Młodzik. – Ci przyjaciele pracują na waszych polach, polują dla was – prędzej niewolnicy niż przyjaciele! Stałeś się właścicielem niewolników!

– Peule – to nie niewolnicy. Oni pomagają nam – my im, co w tym złego?

– Jak? Jak u diabła im pomagacie? Perkal? Paciorki?

– Dlaczego: „perkal", „paciorki"? Leczymy ich, dajemy broń, łopaty, różne narzędzia. Bardzo im pomagamy.

– Broń? Czy ty chociaż rozumiesz, czym się chwalisz? To najpoważniejsze oskarżenie przeciwko wam. Nie mieliście nawet prawa pomyśleć o tym!

Kosmaty sprężył się i spurpurowiał.

– Dlaczego nam rozkazujesz, Lisynu? – zaryczał. – Przyjechałeś, nie zapraszaliśmy ciebie, dlaczego mamy cię słuchać?

Młodzik ze złości aż uniósł się z krzesła.

– Nie udawaj króla i władcy! To nie ja, to Ziemia wam rozkazuje, wasza ojczyzna!

– Tu jest nasza ojczyzna!

– Ziemia jest waszą ojczyzną w sensie ogólnym. Wy jako ludzie...

– Aha, w sensie ogólnym! Zachowaj dla siebie ten ogólny sens. A myśmy się tu urodzili i nie chcemy innej ojczyzny. Dlaczego mamy cię słuchać?

Twarz inspektora pokryły czerwone plamy, cienkie wargi latały, z oczu tryskała wściekłość – jeszcze chwila i wybuchnie. Ale opanował się.

– Wasza ingerencja w naturalny proces historyczny powoduje tragiczne konsekwencje...

– Peule żyją sto razy lepiej niż inni.

– A kto wybił plemię Atana? Nie wy?

– My. Ale Atana palili nasze domy, zabijali nas. Zabijali też Peulów. Na co mieliśmy czekać?

Nawet dwie minuty nie mogli rozmawiać spokojnie. Coś stało się z powietrzem, z głosami, ze słowami – wszyscy obecni byli jak podminowani. Rozmawiali ze sobą, wymachiwali rękami, groźnie spoglądali na inspektora. Czuł te spojrzenia, ale udawał, że nic sobie z nich nie robi.

Ściany drżały od huku wysokich i niskich wiatrów, chmury przemykały po niebie. Będzie burza!

– Oprócz socjalnego niebezpieczeństwa, jesteście niebezpieczni genetycznie. Dla tubylców jesteście gorsi niż dżuma. Wcześniej czy później zabijecie ich samą tylko swoją obecnością.

– W jaki sposób?

– Peule mają taki sam kod genetyczny jak ludzie. Nie możesz przecież pilnować każdego kolonisty, a jeśli komuś przyjdzie do głowy... m-m-m... spokrewnić się z nimi, to konsekwencje...

– Co ty bez przerwy gadasz o konsekwencjach? – zdziwił się Kosmaty. – Wszystko będzie w porządku. Konsekwencje!

– Jeśli to się stanie, Peule wymrą. Nawet nie jesteście w stanie wyobrazić sobie jakie z tego mogą się urodzić dzieci.

– Dlaczego nie mogę? Dzieci jak dzieci. Tyle że włosów więcej i długie uszy. Poza tym zwyczajne dzieci. Niektóre mają nawet białą skórę. Co to ja mieszańca nie widziałem?

– Co-o? Coś ty powiedział? – Młodzik wytrzeszczył na Kosmatego po dziecinnemu zdumione oczy.

– Powiedziałem – z irytacją wyjaśnił Kosmaty – że nie ma żadnych złych skutków. Tylko pożytek. Świeża krew.

– Świeża krew! I wy jeszcze chcecie zostać na tej planecie! Zabijacie tubylców, szkodzicie im jak tylko potraficie i jeszcze protestujecie przeciwko wysiedleniu?! Powinno się was postawić przed sądem!

Kosmaty poderwał się z krzesła. Młodzik i Przyjaciele poderwali się również.

– Precz! – krzyknął Kosmaty.

Władimir POKROWSKI

Młody pisarz radziecki z Moskwy. Debiutował w roku 1984 opowiadaniem „Sama posledniaja wojna", które uznano za jeden z najlepszych krótkich utworów fantastyczno-naukowych pierwszej połowy lat osiemdziesiątych.

Jego opowiadanie „Szarlatan" drukowaliśmy w „Fantastyce" nr 7/86.

L.O.

Wiktor na zawsze zapamiętał chwilę, kiedy nad stołem nagle wyrosły cztery postacie – Kosmaty zaciskający i rozwierający pięści, niecierpliwi ochroniarze i Młodzik, zaszczuty i przerażony. Zapamiętał też niespodziewają ciszę, Olgę, która nie wiadomo dlaczego schwyciła go za rękaw, a także siebie, jak mamrocząc coś przepychał się do przodu, jak podszedł do Młodzika, stanął obok niego, ponury i czujny... Jak uspokajały się oczy Kosmatego i jak w końcu powiedział:

– Usiądźmy.

– Usiądźmy – energicznie, z fałszywym zapałem powtórzył Młodzik. Usiedli i z poprzednią zawziętością kontynuowali bezsensowną rozmowę.

Wiktor stanął przy półkach za plecami Młodzika. Zrobiło się zbyt niebezpiecznie. Naprzeciwko, białą plamą zastygła twarz Olgi – z nią też działo się coś dziwnego. Zupełnie jakby cała planeta oszalała tego dnia przed burzą, która nadciągała i nie mogła się rozpocząć.

Dlaczego, dlaczego Młodzik namawiał ich, przecież decyzja zapadła, a od niego nic nie zależało? Dlaczego tak wściekał się Kosmaty, udowadniając swoją słuszność, mądry człowiek, nie mógł nie wiedzieć, że wszelkie słowa są tu bezużyteczne?

– Spójrz, jak wy tu żyjecie, do czegoście doszli!

– Pięćdziesiąt lat temu było nas trzystu, a teraz jest półtora tysiąca – oto do czego doszliśmy!

– Zwyczajna dyktatura – mamrotał Młodzik – łamanie praw człowieka, stąd nawet do faszyzmu bardzo blisko.

– Żadnej dyktatury. Dyskusje, decyzje, każdy ma prawo głosu – wszystko jak trzeba.

– A biurokracja? A ochroniarze? Spójrz tylko ilu nierobów tu się kręci! Twoim zdaniem to nie jest degeneracja?

– Nie wolno tak mówić! Chłopcy się starają, rujnują zdrowie, ty Lisynku nic z tego nie rozumiesz, uczyli cię zupełnie innych rzeczy. Nie można bez ochroniarzy.

Młodzikowi brakowało słów, gubił się, tracił wątek, a Kosmaty, przeciwnie, nabierał sił. Uspokoił się, jego bulgoczący astmatyczny bas już nie ryczał, tylko huczał równo i mocno, do wtóru wysokim wiatrom, które jakby wchłonęły całą wściekłość Kosmatego, dziko wyjąc w najrozmaitszych tonach.

– Spójrz jak żyją twoi ludzie! Jak są ubrani! Jacy zmęczeni!

– Milcz, Lisynku! Jesteśmy zmęczeni, nie mamy kiedy i po co się stroić. Później będzie wszystko.

– Później też nie będzie. Będzie coraz gorzej i gorzej. Popatrz, ludzie już kopią nory w swoich domach.

– Nory są wygodniejsze od domów. Trzeba tylko umieć je budować.

– Nie macie ani jednej rakiety. Ludzie stąd uciekają. Nie wrócił nikt z tych, których wysłałeś na Kadeco do Korpusu Kosmicznego.

– Mięczaki. Nie żałuję ich. Nam są potrzebni silni ludzie.

– Zabijacie się pracą, nie macie ani sił, ani ludzi, nie wyżyjecie. I jeżeli Ziemia przestanie wam pomagać...

– Ziemia nam i teraz nie pomaga. I nie trzeba. Dajcie nam sto lat – tu będzie nie gorzej niż na Ziemi, tylko nie przeszkadzajcie. Będzie ogromne, przepiękne miasto-kraj, każdy będzie miał dużo jedzenia i dużo czasu na odpoczynek.

– A Peule? Co zrobicie z Peulami?

– Oczywiście będą żyć razem z nami. Nie śmiej się, nie będą naszymi niewolnikami.

– W takim razie niewolnikami będziecie wy.

Burza wyła we wszystkich tonacjach, wysokie wiatry śpiewały rekwiem, nisko, ochryple piszczały, coś uderzyło w dom. Ręcznej roboty lampa z liści zakołysała się pod sufitem, nikt nie zwrócił na to uwagi i Młodzikowi zaczęło się wydawać, że to wszystko dzieje się we śnie. Dyskusja do niczego nie doprowadziła, zresztą doprowadzić nie mogła, zaczęła zamierać, Kosmaty podjudzał, podjudzał, od drzwi leciały już groźby. Twarz Kosmatego stała się przerażająco wielka, nie sposób było się ukryć przed jego hipnotyzującym wszechogarniającym spojrzeniem, burza przenikała do krwi, nie pozwalała się skoncentrować.

I nadszedł moment, kiedy Młodzik przestał dyskutować, przestał łapać się za głowę i bić pięścią w stół, kiedy zamknął oczy i powiedział ze zmęczeniem:

– Nie rozumiem, po co to wszystko? Nie rozumiem. Nie mam na to żadnego wpływu, po co mnie męczysz? Po co, kiedy i tak wszystko jest jasne – za tydzień przylecą statki i przewiozą was na Ziemię, na Kuulu, na Paryżloo, gdzie zechcecie.

– Czy naprawdę nie zrozumiałeś Lisynku, że nigdzie się stąd nie ruszymy?

– Nikt was nie pyta, nawet nie rozkazuje, po prostu zabierze was stąd, czy tego chcecie czy nie.

– Lisynku, siłą niczego nie osiągniesz. W każdym razie nie z nami.

– Nie ja. Ziemia. Nie macie rady. Przylecą statki...

– A my ich nie wpuścimy!

Koloniści głośno wyrazili aprobatę, jeszcze czego, niech no się tylko pokażą! Rozkazywać mogą u siebie w domu! Tu nie Ziemia!

Młodzik słabo się uśmiechnął.

– W jaki sposób?

– Zobaczysz, Lisynku. Powiedz wszystkim, że będziemy walczyć. Powiedz, że potrafimy walczyć!

Wśród ogólnego zamętu Młodzik nagle wstał i podniósł na Kosmatego zdumione oczy.

– Zrozumiałem! Dopiero w tej chwili zrozumiałem! – powiedział głośno i gwałtownie, potem zwrócił się do kolonistów. – To są właśnie te słowa, dla których mnie tu dręczył. Słuchajcie! Cała ta rozmowa – to prowokacja. Chce tylko jednego – pozostać przy władzy. A na Ziemi to będzie niemożliwe. Dlatego chce zostać tutaj, nawet jeśli ma się polać krew, ale tylko tutaj, on nie mnie przekonywał – was przekonywał! Chce, żeby wszyscy walczyli za niego!

Kosmaty coś tam krzyknął, przechylił się przez stół i silnie popchnął Młodzika, Młodzik z łoskotem runął na plecy.

W następnej sekundzie Wiktor już był obok i podnosił go.

– Spokojnie, chłopcy, spokojnie, na nas już czas!

– Łajdak! – wściekał się Kosmaty. – Ja – prowokator!

Młodzik jeszcze nie przyszedł do siebie, cicho jęczał, macał kark, a ochroniarze już energicznie przełazili przez stół.

– Chłopcy, najpierw ze mną, najpierw ze mną, chłopcy! – przygadywał Wiktor przygotowując się do bójki. Przenikały go strach i radość równocześnie.

– Stójcie! – rozpaczliwie krzyknęła Olga, a Kosmaty powtórzył za nią.

– Stójcie. Niech się wynosi.

Ochroniarze zamarli na stole w idiotycznych pozach, tylko ten, który bardziej okazywał niechęć inspektorowi krzyknął niezadowolony.

– Ech, szkoda!

Wiktor poprowadził Młodzika do drzwi. Od silnego napięcia bolały go mięśnie twarzy.

Przepuszczano ich, jedni z groźbami, inni ze zdumieniem, jeszcze inni ze strachem. Wiktor bezustannie kręcił głową i gadał głupstwa, a Młodzik szedł pokornie, ciągle macając kark. Kiedy dotarli do drzwi, odwrócił się do Kosmatego i niewyraźnym jak ze snu głosem powiedział:

– A więc do szybkiego!

– Wynoś się, Lisynku!

Otworzyli drzwi, uderzył wiatr i chłód i wtedy Kosmaty krzyknął przekrzykując burzę:

– Pynak! Zostań!

– Po co?

– Zostań, mówię ci. Lisynek sam trafi.

Wiktor z powątpiewaniem spojrzał na Młodzika.

– Dojdę. To nic – powiedział Młodzik słabym głosem.

– Dobra. Zaraz przyjdę. Nie będziesz długo czekać.

I wrócił do biblioteki.

W bibliotece trwała już krzątanina, którą kierował Kosmaty. Koloniści skupili się wokół stołu. To jeden, to drugi zrywał się z miejsca, smagnięty rozkazem, już w biegu zapinał kaftan, znikał w mroźnej nawałnicy. Drzwi prawie stale były otwarte, w bibliotece zrobiło się zimno.

Kosmaty dowodził sprawnie. Jego długie białe włosy wyrastające z samego czubka głowy skołtuniły się, szeroko rozszerzająca się ku dołowi twarz przybrała wyraz wściekłej rzeczowości. Pochylony nad stołem, wodził po wszystkich oczami wyszukując potrzebnego człowieka, by wskazać go wreszcie palcem.

– Roman! Przynieś tu wszystkie łopaty z magazynu. Szybko!

– Co z tobą, Tom? Zabierz syna i zapisuj kto i jaką ma broń. I ile. Stój. Weź ze sobą jeszcze dwóch, tego i... umiesz czytać? Dobrze... I jeszcze tego, inaczej nie dasz rady.

– A ty idź do mnie do domu, poproś, niech ci moja żona da jak najwięcej samopisów. Ona wie, gdzie są. Jeśli zacznie wymyślać, powiedz że ja kazałem. Będziemy rozstawiać ludzi.

Wiktor wiedział, po co jest potrzebny Kosmatemu i jak mu się wydawało przygotował krótką i stanowczą odpowiedź. Jego twarz, poza wyrażały taki upór, że Kosmaty spojrzawszy na niego uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Dobrze ci z oczu patrzy, Pynak!

– Czego chcesz ode mnie?

– Poczekaj. Zajęty jestem, nie widzisz?

I znowu zajął się czymś innym. Nie dostrzegał Wiktora, umyślnie nie dostrzegał, pokazywał palcem w różne strony, kogoś tam



TERUHIKO YUMURA – Poster reklamowy – *fragment*

wołał, kogoś wyganiał, a Wiktor przestępował z nogi na nogę, aż wreszcie stracił cierpliwość.

– Więc o co chodzi, Kosmaty? Pogoda się psuje.

– Poczekaj. Wiesz po co? – Kosmaty nie patrzył na Wiktora, szukając kogoś wzrokiem. – No dobrze. Powiedz jaką masz broń na kutrze.

– Nie będę walczył przeciwko Ziemi – wypalił Wiktor przygotowane zdanie. – Po co ci moja broń?

Ale Kosmaty już się zajął czymś innym, już zapomniał o Wiktorze.

– Grześ, poczekaj no!

Wysoki, ospowaty kolonista, który właśnie zamierzał wyjść, wzdrygnął się i nieprzyjaźnie zapytał.

– No?

– Ty tak czy inaczej będziesz wywoływać swojego Omara, prawda?

– A co, nie wolno?

– To powiedz mu, żeby się dogadał z Peulami – w głosie Kosmatego słychać było niepojęty triumf. – Niech tu przyjdą z łopatami, pomogą budować bojowe nory. I niech przyniosą jak najwięcej metalowych jeży.

Grześ zawahał się i wtedy wtrącił się Wiktor.

– To ja już sobie pójdę.

Kosmaty rzucił w jego stronę niechętne spojrzenie.

– A mówiono mi, że dotrzymujesz słowa.

– Nie obiecywałem ci, że zostanę.

– Jej obiecałeś, to tak jakbyś mi obiecał. Grześ, czego stoisz, idź.

– Ale posłuchaj, Kosmaty, jakie tam znowu obietnice? Nie obiecywałem, że będę za was walczył.

– Obiecywałeś, nie obiecywałeś! – zlekceważył go Kosmaty. – Nawet słuchać tego nie chcę. No, co z tobą, Grześ?

– Omar nie pójdzie – ponuro wymruczał Grześ – Omar nie zechce walczyć.

– A czego jeszcze nie zechce twój Omar? – podskoczył Kosmaty, błyskawicznie wpadając w furię.

Wiktorowi wydało się, że szum burzy wzrasta, ale nie, po prostu ucichły wszystkie rozmowy w bibliotece.

Grześ podniósł oczy na Kosmatego i powiedział wolno, jak przez sen.

– Omar nie chce, żebyś nam rozkazywał.

– Naprawdę? – fałszywie zdziwił się Kosmaty i nieomal legł brodą na stół.

– Omar mówi, że nie masz prawa robić z nami wszystkiego, na co masz ochotę, że ludzie już się tobą zmęczyli. Że pracujemy jak woły w imię tego, czego nigdy nie będzie. Te twoje miasta...

Kosmaty nie od razu poradził sobie z własną twarzą, przełknął ślinę, zmrużył oczy, wysunął dolną wargę.

– No i co jeszcze?

– Wszystkim już to obrzydło, mówi Omar.

– A nie mówi twój Omar, że wszyscy byście zdechli beze mnie i bez mojego ojca? Nie mówi, że chce zająć moje miejsce?

– Mówi, że z tobą będzie tylko jeszcze gorzej. I nie tylko on, wszyscy tak mówią.

– I ty też, oczywiście?

– Mówię, że wszyscy!

Kosmaty uśmiechnął się zagadkowo i kiwnął palcem na Grzesia.

– Podejdź-no!

– I tak jest nam ciężko, a tu jeszcze trzeba na ciebie robić.

– Bliżej.

Grześ mamrotał, mamrotał, ale nie mógł się już zatrzymać. Niechętnie zbliżał się do stołu.

– Nie dajesz nam chwili spokoju. Ciągle rozkazy, rozkazy, teraz wymyśliłeś wojnę z Ziemią. A może ja nie chcę walczyć z Ziemią?

– Jeszcze bliżej!

– Dziecko nogę złamało, trzeba przy nim siedzieć. Kto będzie siedzieć?

Kosmaty nie spuszczając oczu z Grzesia wyciągnął rękę do ochroniarzy.

– Pałkę!

Podano mu wyciągniętą nie wiadomo skąd pałkę.

– A więc tak!

Błyskawiczna seria uderzeń, z prawej, z lewej, po twarzy, po brzuchu. Grześ odskoczył, zasłonił się rękami, krzyknął i upadł na plecy, wtedy Kosmaty zerwał się z miejsca, odrzucił pałkę i skoczył na leżącego. Po chwili uspokoił się. Usiadł. Ktoś podbiegł, żeby podnieść Grzesia, ale Kosmaty wrzasnął:

– Niech sam wstaje!

Grześ zwijał się na podłodze próbując wstać.

– I bądź zadowolony, że tylko tak się skończyło. Precz!

Grześ wstał wreszcie, nie patrząc na nikogo wytarł twarz rękawem, splunął krwią i poszedł do wyjścia na drżących nogach. Ludzie patrzyli na niego w milczeniu i na żadnej twarzy nie można było niczego wyczytać – ani potępienia, ani aprobaty. Tylko dający się ponosić emocjom ochroniarz uderzył pięścią w kolano, z satysfakcją chrząknął i zwycięskim spojrzeniem potoczył po obecnych. Kosmaty już wzywał kolejnego człowieka, widocznie również stronnika Omara, ten zaś posępnie wysłuchał rozkazu i wyszedł w milczeniu.

– Stój! – powiedział do jego pleców Kosmaty. – Woks Omara jest zepsuty. Omar słyszy, ale nie może odpowiedzieć. Wywołaj go, powiedz wszystko. Na odpowiedź nie czekaj. Zrozumiałeś? To wszystko.

Ludzie powoli zaczynali się rozchodzić. Wreszcie Kosmaty znalazł czas dla Wiktora.

– Pynak – powiedział. – Zostań z nami. Rozumiesz, bez ciebie nie da rady.

– Nie pójdę przeciwko Ziemi – tępo odparł Wiktor.

– Przecież widzę cię na wylot – prawie czule powiedział Kosmaty. – Tak się zapierasz, a dobrze wiesz – nie masz wyjścia.

– Zrozum, Kosmaty, to przecież Ziemia! Czym ty jesteś w porównaniu z Ziemią.

– Ja, Pynak, myślę że oni nie zechcą zabić półtora tysiąca ludzi. Jeżeli będziemy walczyć. Nie zechcą zabić, prawda Pynak?

– Przecież oni was...

– A my ich powitamy twoim neutronowym działem. Spalimy statki. A oni nas nie tkną, nawet wtedy. Humanitaryzm! Mam rację?

W jakimś sensie Kosmaty był wielkim człowiekiem. Był geniuszem przekonywania, można mu się było oprzeć tylko, jeżeli zatkało się uszy i zamknęło oczy. Ale Wiktor jeszcze się trzymał. Nawet bał się pomyśleć, że może stanąć po stronie tego... oszalałego dzikusa.

– Zapomnij o moim kutrze, Kosmaty – odparł tak stanowczo jak potrafił – nie będę walczyć przeciwko Ziemi. Nie mamy o czym mówić. Żegnaj.

Kosmaty pogroził mu palcem i zachichotał.

– Kłamiesz, kłamiesz, już ustępujesz, jeszcze chwila i będziesz gotowy. Przecież widzę, widzę, wszystko widzę! – Wiktorowi wydało się, że jego, Wiktora, ktoś wymyślił w niejasnym celu, że on sam nic nie potrafi zrozumieć. Jego za to rozumieją wszyscy.

– Ja tu nie zostanę, Kosmaty.

– Tylko głupio ci zgodzić się przy ludziach. My to zaraz! – Kosmaty podniósł oczy na kolonistów i z szyderczą powagą krzyknął: – Wynosić się! Wszyscy precz! Będę werbować Pynaka!

– Dosyć tego, Kosmaty, już pójdę.

– Stój! Poczekaj! Zaraz! – Kosmaty poderwał się zza stołu, podbiegł do kolonistów. – Do kogo mówię, prędzej! Jeszcze chwila, Pynak, jeszcze chwila! – Zaczął wypychać ludzi za drzwi. Biblioteka opustoszała, zostali tylko Przyjaciele. Siedzieli teraz jeden obok drugiego przy zabitym deskami oknie, za którym była burza.

– Teraz możemy sobie porozmawiać – zacierając ręce pośpiesznie zaczął Kosmaty. – A jak nic nie wyjdzie, to też dobrze. Przecież sam wiesz, ja tu nie mam nawet z kim porozmawiać. Jestem tu najważniejszy. A z najważniejszym dużo się nie nagadasz. Wszyscy mają jakieś swoje sprawy, czegoś chcą, no i boją się... A ty i ja właściwie jesteśmy jakby równi... Siadaj, siadaj. I bełtu się napij.

– Przestań, Kosmaty. Czy ze mną, czy beze mnie – wszystko jedno, nic nie poradzisz. Zresztą nie chcę zostać.

– Poczekaj, poczekaj – gorączkował się Kosmaty, na twarzy miał dziwny uśmiech, oczy na wpół oszalałe. – Posłuchaj mnie! Jesteś moim ostatnim atutem. Lisynek to głupek, ale zrozumiał, tylko że nie do końca. Im wszystkim Omar mąci w głowie, umie drań w głowach mącić, myślałem przedtem – niech sobie żyje, niby że będzie mnie kontrolować, żebym czasem przyhamował, ale widzę – nie, chodzi mu o coś innego. Jak ciebie tu nie będzie, oni nie pójdą. Omar tu tak narozrabia! A ty – to broń, siła. Bez ciebie po prostu nic nie wyjdzie, Pynak! Myślisz, że ja to dla siebie? Myślisz, że tak okropnie chcę być ich królem? No powiedzmy, że chcę – ale to i tak dla ich dobra! Przecież nie o dniu dzisiejszym trzeba myśleć, jeżeli tak będą myśleć – przepadniemy i to niedługo! A oni nie rozumieją.

Miał twarz chorego człowieka.

– Niczego nie chcą, niech się za nich martwi Kosmaty, myślą tylko o sobie, zresztą, dobrze, dobrze, jestem gotów, zrobię każde świństwo. Niech plują, zęby szczerzą, ale będą na Uale świetliste miasta, będą, wszystko poświęcę, sam je jeszcze zobaczysz, Pynak, może sam je będziesz budować, tak niewiele trzeba – tylko chcieć!

– Nie umiem dyskutować, Kosmaty – opierał się Wiktor. – To nie moja sprawa.

– Stop! – Kosmaty znowu był inny, spojrzał twardo. – Boisz się śmierci? Powiedz!

– Nie zrozumiałem – z groźbą w głosie powiedział Wiktor.

– Strasznej, bardzo strasznej śmierci, boisz się?

– Grozisz mi? Tak?

– Najpierw odpowiedz.

– Zapamiętaj, Kosmaty – groźby doprowadziły Wiktora do wściekłości – nie pójdzie ci ze mną łatwo.

– E tam, łatwo, tak łatwo, że... – Znowu zmiana. Chytrość, przymrużone oczy, jakaś paskudna wesołość. Powiedział szeptem: – A jeśli oni nie będą tacy humanitarni? My w nich salwą, a oni odpowiedzą dwiema. I nic nie zostanie, i nawet nie będzie miał ci kto wybaczyć. Może zwariujesz. Przecież można się od tego powiesić, co Pynak?

– Nie. Wszystko na nic. Nie wystąpię przeciwko Ziemi.

– W kółko powtarzasz „Nie, nie"! A dlaczego nie? Co cię tam trzyma? Ziemia? Nie bywasz tam przecież, sam mówiłeś. Głupstwa. Nic cię tam nie trzyma.

– Mam dosyć. Ty nic nie wiesz.

– Wiem, wiem, wiem wszystko. – Kosmaty zmarszczył czoło. – Znam cię tak dobrze, że wszystkie twoje sprawy widzę na tydzień naprzód. Boisz się o swoją wolność, jesteś gotów na wszystko, żeby tylko zachować wolność, a nie zauważyłeś, że z tej wolności nic już nie pozostało.

Ale Wiktor nie słuchał, powtarzał tylko.

– Przeciwko Ziemi nie wystąpię. Dosyć. Na mnie czas.

W czasie całej tej rozmowy ani razu nie wspomniał o Młodziku, nie pomyślał co z nim będzie, jeśli on, Wiktor, zostanie na Uale.

– Zabierzesz ze sobą Olgę, pomyśl tylko. Oddajemy ci przecież dziewczynę, wbrew wszystkim naszym zasadom, nie czterem, tylko tobie jednemu i to jaką dziewczynę! Ona by nam takich kolonistów urodziła, a my oddajemy ją tobie, proszę, jak wszystko się skończy, zabieraj ją dokąd zechcesz.

– Kosmaty...

– Poczekaj, poczekaj... Zaraz ją zawołamy. – Kosmaty podbiegł do drzwi, otworzył je i krzyknął:

– Olga! Olga, chodź tutaj! O-o-o-olga! – Odwrócił się. – Lowa przyprowadź ją!

Ochroniarz zerwał się z ławki i wybiegł. Wrócił prawie natychmiast, widocznie dziewczyna była niedaleko.

Olga nie weszła, wbiegła.

– Ale burza! Wspaniała! Dlaczego siedzicie po ciemku?

Zapaliła światło.

Była przepełnioną radością, pewnie Lowa powiedział jej, że wychodzi za mąż. Nigdy Wiktor jej takiej nie widział. To znaczy widział, ale było to tak dawno, że zapomniał już w jakich okolicznościach.

– No, to bierz ją, Pynak. Żona. – Kosmaty udobruchał się i był teraz podobny do świętego Mikołaja.

Wiktor milczał i nie odrywał oczu od Olgi. Olga była w tej chwili podobna do dziewczynki, której podarowano cukierek, ale która podejrzewa, że to tylko żart.

– Gorąco tu u was. – Zrzuciła kożuch prosto na ręce Lowy. Ten stał jak słup, nie wiedząc co z nim zrobić.

– No i co?

Wiktor nie mógł oczu od niej oderwać. Zawsze starał się być obiektywny, zawsze mówił sobie, że wcale nie jest tak nadzwyczajnie piękna, zbyt czarne włosy, zbyt ciężki podbródek, oczy wcale nie takie mądre, ale teraz zapomniał o wszystkim. A i później w ciągu tych jedenastu lat wywoływał z pamięci tę właśnie chwilę. Radosna, cała w ruchu...

– Kosmaty objął ją z tyłu, za ramiona i powiedział serdecznie:

– Wyobraź sobie, Oleńko, twój narzeczony się upiera, nie chce dotrzymać obietnicy. Co z nim zrobimy?

Jej oczy z niezmienną radością patrzyły ponad Wiktorem w ścianę, jakby dostrzegła tam coś niezwykle interesującego. Tak czasem patrzą niewidomi.

– Co robić? A niech sobie idzie.

– Nie, tak nie może być – łagodnie zaoponował Kosmaty. – Twój narzeczony jest nam potrzebny. I jego rakieta.

Przestarzałe słowo „rakieta" Wiktor spotykał tylko w książkach. W żaden sposób nie mógł pozbyć się wrażenia, że przed jego oczami rozgrywa się jakieś kiepskie przedstawienie.

– A co jest potrzebniejsze – on, czy jego rakieta? – zapytała Olga wciąż patrząc w ścianę.

– Chyba jego rakieta.

– W takim razie zabij go. – Olga z naiwnym zdziwieniem patrzyła teraz na Kosmatego, jak gdyby pytając wzrokiem dlaczego sam na to nie wpadł. – I będziemy mieli rakietę.

– Tak też nic z tego nie będzie, dziecko – roześmiał się Kosmaty – bez niego nie poradzimy sobie z rakietą. Spróbuj go namówić. A jak ci się nie uda, to wiesz co zrobimy?

Kosmaty jakby na chwilę się zamyślił, spojrzał na ochroniarzy.

– A co, moi chłopcy nie pasują ci na mężów? Sam wiesz, Pynak, jak ciężko jest u nas z kobietami, każdej po trzech, albo i czterech mężów przydzielamy, a twojej Oldze damy tylko dwóch. To zaszczyt! Jak myślisz, Pynak?

– Eh! – powiedział Lowa przyciskając do piersi kożuch Olgi – fajnie!

Wszyscy patrzyli na Wiktora. Kosmaty – pochylony w kierunku Olgi, szyderczy, zadowolony; ona – na jej twarzy ciągle trwał jakby przyklejony uśmiech; ochroniarze – jakby na coś czekający. I dopiero teraz Wiktor spostrzegł, że światło w bibliotece jest czerwone, czerwone są ściany, oczy, twarze, ręce. I że oddychać jest trudno.

– Więc jak, zostajesz? – krzyknął Kosmaty, jakoś dziwnie krzyknął, jakby przez watę.

– Ja – powiedział Wiktor – przeciwko Ziemi... Olga! Chodźmy stąd.

Zajrzał jej w oczy, zobaczył miłość i współczucie, tak u diabła, miłość, jak wtedy, na początku.

– Olga!

– Zostań Witia – poprosiła. – Nie ma innego sposobu.

– Proszę, jacy wspaniali chłopcy, nadadzą się na mężów – nie zwracając się konkretnie do niego mamrotał Kosmaty.

Później, znacznie później Wiktor zrozumiał, że nerwowość, właściwie histeria, która tego dnia opanowała wszystkich emanowała wyłącznie od Kosmatego.

– Ja nie mogę. Ja...

– Wybieraj, Pynak!

– Kłamiesz, Kosmaty! Robisz to specjalnie!

– Olga – złym i władczym głosem powiedział Kosmaty – wyjdziesz za nich, jeśli Pynak nie zostanie?

Odpowiedziała takim samym głosem.

– Wyjdę.

Wiktor zachwiał się i drewnianym krokiem poszedł w stronę wyjścia. Ujął klamkę. I usłyszał łkający, żałosny głos Olgi:

– Witia, Witia! Jeśli odejdziesz... Proszę cię, Witia!

Potem Wiktor przypomniał sobie ze wstydem, jak rzucił się do niej, objął ją za ramiona, zaglądał jej w oczy (bez śladu miłości, w ogóle nie widać w nich było jakiegokolwiek uczucia, wyłącznie nudę), jak przytulał policzek do jej włosów, błagał, żeby z nim odeszła, błagał bez żadnej nadziei.

Gdyby zobaczył chociaż cień w jej oczach, zostałby. Ale widział tylko niechęć i obojętność jakby nigdy niczego między nimi nie było.

Zamilkł w pół słowa, odepchnął ją i pobiegł do wyjścia, ochroniarze próbowali mu przeszkodzić, ale cała ich siła to były pięści i noże, łatwo dał sobie radę z jej przyszłymi mężami. Trzask kości, kilka zdławionych jęków – łoskot upadku – wszystko poszło łatwo i prędko. Drzwi wysadzone z zawiasów jeszcze dobrze nie upadły, a Wiktor już biegł przez plac.

– Trzymajcie go! – krzyknął Kosmaty.

I jeszcze jeden głos, wysoki i zły.

– To zdrajca! Zabijcie go! Strzelajcie do zdrajcy!

Omar dotarł do osiedla, kiedy Wiktor z Młodzikiem już odlecieli.

Słyszał wszystko co mówił Kosmaty (przyciskał swój woks do ucha) znikły wszelkie wątpliwości, wystarczy. Pierwszy raz od bardzo, bardzo długiego czasu musiał szybko myśleć, jak się zachować i co powiedzieć. Trudno pozostać uczciwym mędrcem, kiedy już zdecydowałeś się coś zrobić i zrobisz to z całą pewnością, niezależnie od tego czy masz rację, czy jej nie masz – i wtedy to, co masz zrobić, nie zależy od ciebie, tylko od tego, co zrobisz, a twoja uczciwość koniec końców posłuży twojemu czynowi, a tym samym zostanie zamordowana. Omar nigdy nie przyzna sam przed sobą, że tego dnia doszło do czynów haniebnych, nigdy mu to nawet przez myśl nie przeszło.

...Na ulicach kipiał kurz. Ludzie pojawiali się i znikali, znowu się pojawiali, szli za Omarem, a on niepewnym krokiem Peula szedł do domu Kosmatego. Woks milczał. Kosmaty wynurzył się nagle z ryżego mleka, które zalało cały świat, stał na szeroko rozkraczonych nogach, czerwony z zimna i szczerzył zęby w dziwacznym uśmiechu.

– Wezwałeś Peulów?

– Nie.

– To idź i wezwij. Dziś mamy dla nich dużo pilnej roboty.

– Nie. Nie będzie żadnej roboty.

...Początek i koniec. Wszystko inne tak się pomieszało, że już nie wiadomo, co było najpierw, a co potem.

– ...Po to, żeby zostać przy władzy, posyłasz ludzi na śmierć. Nie pozwolę.

Jak dobrze tego dnia rozumieli się nawzajem, inni nic nie mogli pojąć.

– Zamęczałeś nas niepotrzebną pracą, biłeś nas, robiłeś z nami co chciałeś. Skończone!

Omar specjalnie, na zimno podjudzał sam siebie. Wiedział, co robi, kiedy nie pozwalał Kosmatemu dopowiedzieć do końca choć jednego zdania – to było zbyt niebezpieczne.

– Wiemy jak potrafisz mówić. Nie. Mamy dosyć twojego gadania.

A sam oskarżał, szydził, znieważał. Nigdy nikt nie rozmawiał z Kosmatym w taki sposób.

I Kosmaty nie wytrzymał. Wybałuszył oczy, wyciągnął rękę za siebie.

– Pałkę! Ja cię (powoli z przerwami, uważnie patrząc) jak bestię plugawą, jak jadowitego pająka wdepczę w ten kurz!

– Nie tkniesz mnie palcem, już nigdy nikogo nie uderzysz! Skończone!

Kosmaty obejrzał się. Wielu było takich, którym źle z oczu patrzyło, niektórzy mieli przy sobie karabiny Weisa. Przyjaciele też położyli dłonie na kaburach pistoletów. Lowa szczerząc zęby pochylił się naśladując Kosmatego. Czujność bez odrobiny strachu.

Kosmaty nagle odwrócił się do Przyjaciół, pocałował ich obu (oni zaś stali jak posągi wpatrzeni w tłum. Wierni Przyjaciele Kosmatego. Zuchy), a potem powiedział:

– Łżesz. Tknę cię i to nie palcem. Uważaj!

I pierwsze uderzenie pałką w twarz, po znienawidzonych oczach...

...Wszystko skrył kurz, czas, opancerzona tarcza kłamliwych wspomnień, którą zasłaniają się ludzie, żeby nie pamiętać o czym nie chce się pamiętać...

...Tak było trzeba...

...Omar krzyknął: „Nie zabijajcie go! Nie tutaj!"

...Na pięć kroków niczego nie widać. Kurz. Zagłusza wszystkie dźwięki, boleśnie drażni skórę, trzeba się opatulać, ale pożytek z tego niewielki...

...W otoczeniu kilku milczących, wśród wrzeszczącego tłumu...

...Odsunąć tę chwilę, oddalić, odepchnąć dłońmi...

...A potem było zdaje się tak. Ktoś biegł wysoko podnosząc nogi, jakby chciał rozśmieszyć pozostałych, ktoś trzymał się za prawe ramię, ktoś upadł w kurz i tam umarł, ale nie od razu, dopiero po upływie nocy, nie znaleziono go, nikt go nie usłyszał, chciaż krzyczał: „umieram!", ktoś zrywał z kogoś ubranie, kogoś wleczono po ulicy Jednego Poległego Przyjaciela, ktoś wznosił ręce ku niebu, jak ów marynarz Krzysztofa Kolumba:

– Ziemia! Ziemia!

...jakby w ogóle nie było nawałnicy, i noc odeszła zanim się jeszcze zaczęła, wzburzyła tylko mieszkańców palliandy. Nikt nie spał, wszyscy mówili, krzyczeli...

Tak, chyba właśnie tak to wyglądało.

Wiktor też dość słabo pamiętał co było potem. Pośpiech, bezsenność, bez przerwy Olga przed oczami, jakieś tam bardzo ważne sprawy, z których nic nie zostało w pamięci, pytania, papiery, rozmowy. Przypomni sobie jak potem proponowano mu, aby towarzyszył grupie przesiedleńczej (czy zechcą zabić półtora tysiąca ludzi, co Pynak?), przecież nikt nie znał lepiej Uala niż on. Odmówił, ale namówiono go, jego bezpośredni przełożeni też zaczęli naciskać, żeby nie psuć sobie stosunków z Czwartą Służbą. Wreszcie doszło do tego, że stanął przed wyborem – albo się zgodzi, albo odejdzie, a to oznaczało, że nie przeszedł przez okres próbny i nigdy nie wróci do MP. Nigdy nie dowiedział się jakim sposobem wszystko skończyło się dobrze. Został w służbie patrolowej, chociaż nie towarzyszył grupie przesiedleńczej.

Zobaczył ich, specjalnie poszedł do portu, kiedy czekali na transportowce – chciał wiedzieć, jakiego rodzaju ludzie polecą na Uala.

Okazało się, że to najzwyklejsi chłopcy, spokojni, weseli. Było ich około setki, wieczorami zapełniali ulice dzielnicy portowej.

Wiktor chodził między nimi, słuchał ich dowcipów, wypytywał ich i sam opowiadał o kolonii na Uala. Oczywiście nikt nie miał zamiaru nikogo zabijać, tego jeszcze brakowało, wszystko zostało bardzo dobrze obmyślone. Pola paraliżujące, lekkie stop-strzelby – nikt nikomu nie sprawi bólu. Wyniosą zesztywniałych ludzi, zabiorą graty i odlecą. Obejdzie się bez gwałtu.

Wyobraził sobie, oto wszyscy gotowi do odparcia ataku, uzbrojeni, staroświeckie armaty patrzą w niebo. Co też oni mogą tam mieć – odurzające promienniki! Eliminatory próżniowe? Nic nowszego. Wśród tego przedpotopowego arsenału zdecydowanym krokiem maszeruje Kosmaty w swojej roboczej chlamidzie, dodaje ducha, grozi, jednym słowem budzi zapał bojowy. Kobiety stoją przed progami domów, mężczyźni ściskają broń i wszyscy patrzą w niebo.

A wśród nich Olga.

Biedaka Nikitę zostawili samego. Leży na łóżku pod oknem, przy samym wejściu do nory, coś tam nuci jak zwykle i zdrową ręką naciska klawisze „Nocnego rontu", najgenialniejszej gry na świecie. Boi się, ale nie pokazuje tego. Boi się nieustannie od chwili kiedy ukąsił go charmat.

Oczywiście nie zdążą oddać nawet jednego strzału. Nawet nie zdążą zrozumieć, że wszystko skończone.

Po dwóch dniach przybyły transportowce i cała grupa wystartowała o świcie. Wiktora w miasteczku już nie było. To nie był jego dyżur, ale wyleciał, żeby zobaczyć, co się będzie działo. Nikt mu nie przeszkadzał.

Trzydzieści cztery godziny krążył nad Ualauala, prawie w ogóle nie spał, prawie nie jadł, tylko chodził po kutrze, po jego ciasnych przejściach, prowadził niekończące się rozmowy z Olgą, rzadziej – z Kosmatym, nigdy z Młodzikiem. Nie odpowiadał na wezwania i sam nie nadawał żadnych sygnałów, nawet tych, które nakazywał regulamin. Nie, nie robił tego celowo, po prostu nie miał siły.

Po trzydziestu czterech godzinach zobaczył armadę. Pojawiła się od strony Avenara, pięć ogromnych statków pilotowanych przez pilotów klasy zerowej – statki szły równo, płynnie, migając czerwonymi światełkami.

Wspaniałym manewrem spłynęły na stacjonarną orbitę. Zwróciły się dziobami w kierunku centrum planety, potem usłyszał dzwonek alarmowy i głos:

– Uwaga koloniści! Uwaga koloniści! Macie gości!

Milczenie.

A potem głos Młodzika, dźwięczny, zadziorny:

– Kosmaty! Kosmaty! Słyszysz mnie? Słyszysz?

To niemożliwe, żeby wszystkie woksy były zepsute, pomyślał Wiktor. Po prostu nie chcą odpowiadać.

– No to trudno! Jak chcesz, to milcz. Idziemy, Kosmaty!

Po kilku sekundach ze wszystkich statków wystartowały łodzie desantowe. Z zaskakującą szybkością pomknęły w dół, wszystkie jednocześnie. Rozległo się równe buczenie, to włączono pola paraliżujące. Pomimo tragizmu tej chwili, Wiktora zachwyciła precyzja manewru – łodzie zaczęły spadać dokładnie w tym momencie, kiedy można było wylądować po stycznej, to znaczy najszybciej i zużywając minimum paliwa, co na tej planecie jest niezmiernie trudne, prawie niewykonalne. Zmienna orbita ogromnie komplikuje manewr. Za pierwszym razem popełniają błędy nawet doświadczeni piloci. Sam Wiktor zagapił się, przepuścił odpowiedni moment, powierzchnia umknęła w bok, tak że musiał lądować po bardzo skomplikowanej krzywej.

Osiedle było puste. Komandosi chodzili od domu do domu, głośno rozmawiali i w ogóle nie zwracali uwagi na Wiktora.

– Wiedziałem, wiedziałem, że tak będzie – mówił głośno do siebie.

Wszystkie drzwi były zamknięte, każdy dom jakby w oczekiwaniu burzy włączony w reinforcing, nad osiedlem niczym płatki sadzy krążyły ptaki. Z uliczki Krzywa Trąba dmuchał wiatr, płynęła wysoko niekończąca się żałosna nuta i wokół nie było ani żywej duszy.

– A może odlecieli?

– Nie mieli na czym. Według informacji nie było tu ani jednego pilota. Poza tym – patrole. Od razu by ich namierzyły.

Wreszcie zwrócili uwagę na Wiktora.

– Odeszli, wszystko zostawili...

– Sania, biegnij i zameldu| o sytuacji.

Nad osiedlem pojawiła się jeszcze jedna łódź desantowa. Strawersowała Małą Pellowską i usiadła przy ostatnim domu. Wysiadło dwóch, Młodzik i jeszcze ktoś, kogo Wiktor nie znał.

Obaj mieli na sobie długie futrzane okrycia, dwie minuty po wyjściu z łodzi już byli okrutnie spoceni. Młodzik rozglądał się, zatroskany i mocno speszony.

– I ty tutaj? Co tu robisz? – spojrzał z góry na Wiktora, a w głosie zdumienie i lekki cień fałszu.

– Chodzę sobie.

Młodzik odwrócił się do swojego współtowarzysza.

– Z patrolu. Przyleciał chwilę po grupie wysiedleniowej.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale rozległy się krzyki: „tutaj, tutaj", wszyscy ruszyli w tamtą stronę, najpierw zwyczajnie, potem coraz szybciej i szybciej. Oto biblioteka Jednookiego, drzwi na oścież otwarte, grupa komandosów...

– Przepuśćcie, co tam jest?

Z biblioteki tyłem wyszedł komandos, odwrócił do zgromadzonych pobladłą twarz, coś powiedział zduszonym głosem – nikt go nie zrozumiał – i pobiegł za róg domu.

– Co się stało? Kogo? Kto tam...? – zapytał Wiktor i nie czekając na odpowiedź wbiegł do biblioteki.
Na stole leżał zmasakrowany trup Kosmatego. Był po ramiona przykryty jakąś materią, ale i tak było widać, że nie miał lekkiej śmierci i że mordercy znęcali się już nad zwłokami.
To było tak nieoczekiwane, tak sprzeczne ze wszystkim, że Wiktor poczuł nawet coś w rodzaju histerycznej ulgi.
Młodzik siedział na ławce, na tym samym miejscu, co poprzednim razem. Siedział pochylony nad twarzą Kosmatego i kiwał się monotonnie. Wyglądał jakby zwariował. Jego wilgotne oczy pobłyskiwały w ciemności i były tak samo zastygłe i nieruchome jak oczy Kosmatego.
Stęknął, oblizał wargi, coś mamrotał pod nosem, jak umierający, w agonii.
– No? Pokazałeś co potrafisz? Brawo. Udowodniłeś Lisynkowi? Eh, ty. No i co teraz?
Kiedy wszedł Wiktor, Młodzik uniósł głowę, spróbował uśmiechnąć się uśmiechem winowajcy.
– Ja przecież nie wiedziałem... Ja... bym nigdy... on... nie rozumiem, nic nie rozumiem... Dlaczego?
– Przestań. Kto mógł przewidzieć?
– Przecież prosił cię, żebyś został.
Wiktor wzdrygnął się. Młodzik nie mógł tego wiedzieć. Tego nikt nie mógł wiedzieć. Znowu poczuł się jak człowiek, który nic nie wie, nie rozumie, ale o którym wszyscy wszystko wiedzą.
– Nie – powiedział z wysiłkiem – nie prosił.
– Prosił. Ja wiem. – Młodzik stracił zainteresowanie Wiktorem i znowu pochylił się nad trupem.
Ktoś dotknął ramienia Wiktora. Tłumiąc krzyk, odwrócił się gwałtownie. Za plecami Wiktora stał ten, który przyleciał z Młodzikiem, człowiek o dużej białej twarzy, jakby bardzo znajomej.
– Przepraszam bardzo, ale powiedziano mi, że dobrze pan zna tę planetę. Czy nie wie pan dokąd mogli odejść koloniści?
Wiktor spojrzał na Kosmatego, spróbował nie odpowiedzieć, ale nie potrafił.
– Do Peuli, no bo gdzie jeszcze?
– A... jeszcze raz przepraszam... Czy nie mógłby pan nas tam zaprowadzić?
Wiktor odmownie pokręcił głową, ale człowiek o białej twarzy czekał na konkretną odpowiedź.
– Nie.
Po chwili powtórzył:
– Przykro mi, ale nie. – I szybko wyszedł potrącając kogoś przy wyjściu.
Usłyszał za sobą rozkazujące: „proszę zaczekać", następnie powtórzone tonem prośby: „proszę poczekać, dokąd pan idzie?"
– Nie mogę – krzyknął Wiktor, burząc świat szeptów i pogrzebowych min. – Ja nie mogę.

Przed pójściem do Nor, Wiktor zajrzał do domu Olgi. Część mebli została, te, które on przywiózł. Cała reszta znikła. Ludzi najwidoczniej nie było tu już od dawna. Pod oknem ziała dziura.
– Nikitę też zabrali. Bez żadnej litości – wymruczał pod nosem.
Wyobraził sobie, jak musiał cierpieć Nikita na trzęsących się noszach, jak zaciskał zęby, jak tracił przytomność. Peule mają około stu Nor i w jednej z nich leży teraz ojciec Olgi, na futrzanej podściółce, obok tli się mikroskopijne ognisko, smród, wilgoć, zaduch, cuchnie dymem, biegają szpetne niebieskoskóre dzieci, matka w kącie naprawia ubranie, twarz ma zgorzkniałą, upartą (i tępą – z niespodziewaną złą satysfakcją powiedział na głos), a Olgę odprowadza na bok jakiś krępy Peul, jeden z tych, którzy chodzą na polowania z ludźmi i próbuje wyjaśnić jej, że od tej chwili ona zostaje jego żoną. Już omówił sprawę z kim należy, nikt z ludzi nie będzie się sprzeciwiać. Olga naturalnie patrzy w bok, uśmiecha się i zgodnie milczy.
Droga do Nor jest długa i należało się śpieszyć, żeby wyprzedzić komandosów, w razie gdyby zdecydowali się na poszukiwania – nie chciał rozmawiać z Olgą w ich obecności. Kiedy było już widać las, usypany kwiatami spragnionymi ciepła, jasne słońce Ozo rozpoczęło już swój wieczorny taniec. Wszystko zapowiadało spokojny wieczór – i łagodna sinusoida, którą rysowało słońce, i kolor obłoków, i wysoki wiatr, i wszystkie nocne kwiaty, które starannie chowały płatki w pączki z lakowej skóry.
– Może jeszcze zdążymy przed ciemnymi łowami – powiedział na głos.
Wiktor absolutnie nie rozumiał, co się stało w osiedlu, chociaż nic go nie dziwiło. Wydawało mu się, że wszystko wiedział od dawna, że przeczuwał właśnie coś takiego. I to, że Kosmaty zostanie zabity, też właściwie wiedział.
Gdyby Wiktor został, Kosmaty stanowiłby znacznie większą siłę niż myśliwi – jasne, tu nie obeszło się bez Omara i myśliwych. Omar od dawna ostrzył nóż na Kosmatego. Gdyby Wiktor został, byłby teraz z Olgą, doszłoby do walki z grupą przesiedleńczą, to znaczy nie do walki, tylko do przygotowań, nie można walczyć z polem paraliżującym. I tak by wszystkich wywieziono. Gdyby został, wszystko byłoby inaczej, żyłby Kosmaty, ale Kosmos byłby na zawsze zamknięty dla Wiktora i jego życie straciłoby sens.
Pół godziny przedzierał się przez plątaninę pełzających drzew, kiedy zobaczył pierwszą Norę. Nora była martwa, jej wejście zostało zawalone czarnymi błyszczącymi kamieniami, które oznaczały, że Gospodarz umarł i zabrał Norę ze sobą w ciemne słońce Loa, ojczyznę wysokich wiatrów. Trochę później Wiktor spotkał dwóch myśliwych Peulów, którzy ciągnęli na gałęziach chudą elektryczną świnię sarau. Wiktor nie znał miejscowego języka, ale myśliwi i tak zaprowadzili go do swojej Nory. Byli dość wysokiego wzrostu jak na tubylców, wyglądali bardzo dostojnie i widocznie byli nadzwyczaj dumni ze swojej zdobyczy, która składała się z dwudziestu kilogramów kości i najwyżej pięciu mięsa.
Nora znajdowała się na niewielkiej polanie, na której wykarczowano zarośla i wyglądała jak niewysoki kurhan z bardzo masywną drewnianą wiatą. Wejście zamykały drewniane drzwi, przy drzwiach z bronią w ręku stał wartownik, ciemnogranatowy Peul o długich uszach. Wiktora zdziwiła ta broń, ponieważ myśliwi mieli tylko kolce do miotania.
Na widok człowieka wartownik bardzo się zaniepokoił, wybiegł mu na spotkanie, ale zatrzymał się i wrócił po Gospodarza Nory. Ten pojawił się błyskawicznie, biegł, chociaż był już bardzo stary. Jego pozieleniałą ze starości skórę pokrywały drewniane naklejki. Wiktor nie znał ich znaczenia, przypuszczał, że są to ozdoby. Wyszli również inni Peule, a wśród nich maleńki błękitnoskóry człowieczek, niemal karzełek. To w nim właśnie Wiktor wzbudził szczególne zainteresowanie. Mały biegał wokół niego, pochylając na bok śmieszną swoją główkę. Uszy miał normalnej wielkości jak człowiek, a i nozdrza nie były przesunięte w bok jak u Peulów, w ogóle był właściwie kopią człowieka. Wiktor pierwszy raz widział mieszańca, chociaż niejednokrotnie o nich słyszał.
– Karaaona muaeou – powiedział na powitanie Wiktor wyczerpując w ten sposób znajomość peulskiego języka.
– Karaaona – szybko odpowiedział stary i zaterkotał w niebywałym tempie. Wiktor wzruszył ramionami.
– Nie rozumiem.
Wtedy Gospodarz powiedział:
– Dobreau. Ludua. A rozmawua z tobou. Mouwa co chceau. Sadau.
Wiktor usiadł na wskazanym pniu drzewa.
– Ludzie odeszli z kolonii. Tup-tup – powiedział podnosząc głos, jakby głośne słowa łatwiej było zrozumieć. – Ludua. Rozumiesz?
Gospodarz wykonał nieokreślony ruch głową.
– Ludua dobreau.
– Gdzie oni są? Jak ich znaleźć?
– Skound wiem? Siedzau Nora, ne wydzeau.
– Nie wiesz, że koloniści odeszli?
– Skound. Nora. Ciemnou.
Gospodarz Nory był niebywale dziarski jak na swoje lata. Wyrzucał z siebie słowa bardzo szybko i za każdym razem towarzyszyła im seria grymasów, które nie miały żadnej analogii z ludzką mimiką. Ale kiedy tylko Wiktor zaczynał mówić, stary natychmiast zastygał w idiotycznej pozie. Trudno było rozmawiać z nim jak z rozumną istotą, ciągle wydawało się, że mówi się do kukły.
– Półtora tysiąca. Dużo dużo. I ty nikogo nie widziałeś? Nie wierzę.
– Obrażau. Dlaczego na wieryu?
– Tam był chory. Choroba drzewna. Nasaoue. Rozumiesz?
– Nedobreau – kiwnął głową Gospodarz – nasaoue – nedobreau. Boleu. Mortwo.
– Widziałeś go?
– Skound wideu?
– Może myśliwi coś mówili?
– Ne. Myśliwy wideu sarau. Ludua – newideu. Ne.
Zgromadziło się już dość dużo Peulów, w większości kobiet i dzieci. Ale było też kilku mężczyzn. Jeden z nich głośno tłumaczył pozostałym o czym mowa. Spod zwierzęcej skóry wystawały mu poszarpane spodnie od dresu, a na głowie miał czerwoną skórzaną czapkę. Tłum śmierdział jakimś niewyobrażalnym smrodem.
– Kobieta! Olga! – błagalnie krzyczał Wiktor. – Musiałeś ją znać! Ona tu często przychodziła! Gdzie ona jest?
– Ne. Newidue.
Gospodarz wyraźnie coś ukrywał. Ne. Newideu, nora, ciemnou – nic więcej nie można było z niego wydobyć. Wiktor rozejrzał się dookoła. Zawsze na Uala czuł się nieswojo, jakby wszystko działo się we śnie, a teraz to uczucie osiągnęło punkt krytyczny. Otaczały go istoty, które chociaż podobne do ludzi, były jednak zupełnie inne. Szpetne twarze, zwariowana mieszanina zwierzęcych skór i ziemskich ubrań – to było do takiego stopnia obce, że aż zdawało się wymyślone. I jak oni patrzyli na niego – nie z ciekawością, ale jakby z całkowitym zrozumieniem. Kosmaty kiedyś powiedział Wiktorowi, że Peule są znacznie mądrzejsi od ludzi, dlatego że warunki są tu znacznie trudniejsze, potrzebny jest znacznie lepiej rozwinięty mózg, żeby wyżyć. Wiktorowi chciało się śmiać, ale jednocześnie zrobiło mu się nieswojo na samą myśl o tym. I od razu przeszła mu ochota, żeby coś od nich się dowiedzieć. Wstał, ze złością machnął ręką i skrzywił się.
– Tak. No cóż. W takim razie do widzenia. Pójdę dalej.
I odwrócił się do Gospodarza plecami.
– Stou! – krzyknął Gospodarz.

TOSHIKI
SAWADA
– Promocyjny teleclip



GALERIA

YOSHIKAZU
EBISU –
Ilustracja książkowa

– No, czego chcesz?
– Ozo nyzko. Ciemnoa będeu. Mortwo będuesz.
– Jakoś sobie poradzę. Chcę znaleźć inną Norę.
– Ne znaduesz. Ciemnoa bedeau. Musisz zostawau.
Wiktor uważnie, pytająco popatrzył na Gospodarza. Pułapka? Chyba nie.
– Nie mogę tu zostać. Nie gniewaj się. Do widzenia.
– Musisz zostawau ta Nora – upierał się stary.
Wiktor sam rozumiał, że niewiele czasu zostało do nocy, więc wreszcie zgodził się i mimo woli marszcząc nos wszedł do Nory.
Na dole płonęło niewielkie ognisko. Wokół skupili się szkaradni starcy i staruchy, którzy już nie mieli sił, aby wyjść na powierzchnię. W powietrzu wisiała wilgoć i zupełnie nie było czym oddychać.
Wiktor przywitał się, ostrożnie wciągając powietrze.
W kącie ktoś zakasłał, jakoś bardzo po ludzku. Wiktor nadstawił uszu.
– Kto tam? – zapytał z trwogą w głosie.
Peule oddychali ciężko, patrzyli w ognisko zastygłymi oczami. Ich uszy wisiały, jak uszy spanieli i wydawało się, że nie usłyszeli absolutnie nic.
Wiktor depcząc po kimś w ciemności przepychał się tam, skąd usłyszał kaszel.
Ktoś próbował wstrzymać oddech. Wiktor zapalił zapałkę, od której zrobiło się jeszcze ciemniej. Ale zdążył jednak zobaczyć coś w rodzaju fotela i człowieka (naprawdę człowieka!) siedzącego w tym fotelu.
– Kto ty jesteś?
– Bedne, stary, chory paula – odpowiedział znajomy głos.
– Wasyl, to ty? – Poznał ten głos, to mógł być tylko głos listonosza Wasyla, następcy Nikity, najgrubszego i najżyczliwszego człowieka w całym Wszechświecie.
– Ne, ne, ne Wasyla – odparł Wasyl z ciemności. – Bedne, stary chory paula. Aenoae.

(Wasyl, grubas Wasyl. Nie znosił najmniejszej niewygody, jego dom był zawalony fotelami, poduszkami, których zarodki przywiózł mu kiedyś Wiktor. Wasyl, który tak lubił mocną, może nawet zbyt mocną belt-herbatę, tak lubił dobrze zjeść, wygodnie pospać, uwielbiał swoją żonę, śliczną, pulchną Karmen, wiecznie zamawiał dla niej u Wiktora jakieś cacka z Ziemi. Bedne, stary, chora paula!)

Nic nie można było się od niego dowiedzieć. Gdzie Olga – skound wideu, gdzie wszyscy – skound wideou, dlaczego zabito Kosmatego – ne wieum, a ne robeu kosmata mortwo, a paula, kosmata ludua, ne wieum, ne. Wiktor stracił wreszcie cierpliwość i zaklął tak, że Wasyl nie wytrzymał i z uznaniem chrząknął.
– Ne rozumeu – powiedział z ciemności – mouw wolnou.
– Bydlę jesteś! – krzyknął z furią Wiktor. – Ostatnie bydlę! Proszę cię jak człowieka, przecież byłeś moim przyjacielem, powiedz, gdzie jest Olga?
– Ne wieum – ze skruchą odpowiedział Wasyl. – Ne wideu, ne słychau. Ciemnou. Głębokau. Bedny, stary, chory paula. Obrażau.
Ostatnie słowa Wasyl wypowiedział nawet z zadowoleniem, widocznie bardzo mu się spodobała jego rola, a tego już Wiktor nie mógł wytrzymać. Zostawił Wasyla, podbiegł do ogniska, porwał płonącą gałąź, nie, to nie to i tak będzie ciemno, rzucił ją i wrzasnął na całe gardło:
– Gospodarz! Gdzie jest Gospodarz?
Gospodarz znalazł się od razu, jakby tylko czekał na wezwanie.
– A więc powiadasz, że nie ma tu ludzi?
– Ne ma, ne ma, nikogou ne ma – zaterkotał Gospodarz.
– E, co tam z tobą gadać. Ciemno. Daj światła!
– Spat trebau. Jasno ne trebau. Odpoczywau.
Szybki ruch ręką, próbował schować coś pod skórą. Latarka! Ale Wiktor uprzedził go.
– Kłamiesz! Patrz! – Wyrwał Gospodarzowi latarkę, odwrócił się.
– Gdzie jesteś, Wasyl?
Promień oświetlił na ścianie wielką fotografię, mocno już uszkodzoną (trzech Peulów na wielkim przypominającym słonia cielsku), liznął lśniące, gołe ciało (jakiś myśliwy nacierał się świecącą maścią przed wyjściem na nocne polowanie), przemknął po koszmarnych granatowych mordach i wreszcie oświetlił Wasyla.
– A-a! – krzyknął Wiktor.
Wasyl siedział w swoim ulubionym fotelu, zasłaniał twarz dłonią i mrużąc oczy patrzył na Wiktora wciąż z taką samą życzliwością.
Lawirując między ciałami Wiktor podbiegł do niego.
– No? – zapytał dysząc ochryple, jak po długim biegu. – Starczy tej zabawy?
– Ne rozumeu – szeroko uśmiechnął się Wasyl.
– Ale przecież ja ciebie poznałem! Czego chcesz jeszcze?
– Bedny, stary, chory paula – przymilnie uśmiechnął się Wasyl. – Tata ludua, mama paula. Mesene.
– Kłamiesz, przecież kłamiesz? Dlaczego? Co ja ci złego zrobiłem?
– Ne wieum – z niejakim zdziwieniem odparł Wasyl i z jego twarzy widać było, że chciał powiedzieć zupełnie coś innego, nie przejmuj się stary, samemu mi głupio, prawdę powiedziawszy okropnie głupio, lepiej pogadajmy o czymś innym.
– Nie wiesz. No dobra, ja... nie zostałem z wami, ale przecież to był niczego nie zmieniło! Trzeba było stąd odejść, rozumiesz!
Grubas milczał. Po jego twarzy błąkał się życzliwy uśmiech, ale oczy niepewnie mrugały.
– Ne rozumeu – powiedział cicho.
– Czego nie rozumiesz? Czego?
Wasyl ostatecznie spłoszony obejrzał się.
– A-a, zrozumiałem. – Wiktor uderzył się dłonią w czoło. – Oczywiście, nie możesz tu przecież być sam, muszą tu jeszcze być inni, twoja żona i... jeszcze ktoś... oczywiście, oczywiście, po prostu boisz się ich!
– Ne rozumeu, co ty mouwa. Paula głupyu, ludua moudrau, tak?
Ale Wiktor już nie słuchał.
– Oczywiście, oczywiście – mruczał jak w gorączce, wędrując promieniem po Norze. – Jest! To on! Gdzie tutaj...
Promień latarki oświetlił czyjeś plecy, które bez wątpienia mogły należeć tylko do człowieka. Plecy zesztywniały.
– Odwróć się, odwróć, proszę cię!
Człowiek nie odwracał się, a Wiktor już szedł w jego stronę. Peule rozmawiali ze sobą, najwyraźniej niezadowoleni, ale nie przeszkadzali. Myśliwy nadal tak samo flegmatycznie smarował się maścią.
Człowiek jakby nie słyszał.
– I ty się też boisz. Czy ja jestem waszym wrogiem, czy co?
Wiktor podszedł bardzo blisko i zobaczył, że człowiek ten klęczy wtulając twarz w wilgotne belki ściany. Jego poza była tak nienaturalna i tak dziwaczna, że Wiktor się przestraszył. Już bez poprzedniej stanowczości ostrożnie dotknął ramienia człowieka, który nagle ochryple wrzasnął i błyskawicznie odwrócił twarz. Wiktor też krzyknął i odskoczył.
Patrzył na niego mieszaniec, ten karzełek, który kręcił się opodal w czasie rozmowy z Gospodarzem Nory. Teraz nie było już śladu życzliwości na tej rozwścieczonej, obłąkanej twarzy. Karzełek też się bał. Zamierzał drogo sprzedać swoje życie.
– Dynke, Dynke – rozległ się w ciemności uspokajający głos Gospodarza.
Wiktor machnął ręką.
– Nie, to nie to. Nieważne.
Odwrócił się tyłem do mieszańca i rysując promieniem latarki krzywe kręgi zaczął mówić. Zatykało go ze złości, którą wzmagało jeszcze uczucie nierealności tego, co się działo. Mówił z bólem, z gniewem, nie dobierając słów: – Wiem, że tu jesteście, słuchajcie, słuchajcie głupcy, bydlaki. Miał rację Lisynek! Co wyście zrobili i w imię czego, czy zastanawialiście się chociaż przez chwilę?! – Powiedział im wszystko to, co chciał powiedzieć Kosmatemu i Oldze, ale nie wiadomo dlaczego nie powiedział, wszystko co o nich myślał, chociaż wcale nie był pewien czy ma rację, ale było mu wszystko jedno, przeklinał ich za to, że nie chcieli mu odpowiedzieć, za ich kretyńską pychę, przecież nie jest zdrajcą, naprawdę nie jest!
Wiedział, że jest śmieszny, że zachowuje się jak wariat, ale nie mógł się opanować. Musiał to z siebie wyrzucić. Przeleciało mu przez myśl: „oszalałem".
I wtedy znów podbiegł do Wasyla. Potrząsnął nim, prawie płakał.
– Gdzie jest Olga, powiedz tylko, gdzie jest Olga, niczego więcej nie chcę od ciebie. Do diabła z waszymi pretensjami, nic nie rozumiecie. Gdzie Olga?
Wszystko, wszystko dookoła było obce, nawet swoi.
– Ne wieum – obojętnie i ponuro powiedział Wasyl już bez cienia życzliwości w głosie.
Nagle mieszaniec roześmiał się. Zaśmiał się basem zupełnie jak człowiek i Wiktorowi wydało się, że pozostali z trudem powstrzymują śmiech, zaciskają czarne wargi, dłońmi zasłaniają usta, żeby nie chichotać. Myśliwy wreszcie zakończył nacieranie i ruszył do wyjścia, tam gdzie ryczała już straszna ualska noc. Szedł powoli, dostojnie i im dalej odchodził od ogniska, tym mocniej świeciło jego przysadziste, asymetrycznie zbudowane ciało.

Wiele rzeczy pozostanie dla Wiktora tajemnicą. Nie dowie się nigdy, że koloniści byli tuż obok, pięćdziesięciu ludzi znajdowało się kilka metrów od Wiktora. Nie dowie się, że Nory składają się przeważnie z mnóstwa pieczar i w jednej z takich pieczar siedzieli ci, których szukał. Był tam i Omar, i Olga także tam siedziała. Jeszcze nie przy ognisku, jeszcze ze świecznikami i potężnymi latarniami, jeszcze każdy ze swoimi gratami, ale już razem w jednej wielkiej sali. Wszyscy zajmowali się swoimi sprawami, mogło się zdawać, że nikt nie zauważył nadejścia Wiktora.
Nie dowie się także, dlaczego Wasyl udawał Peula. A było to bardzo proste – według obyczaju każdy kto przychodzi mieszkać z Peulami, otrzymuje nowe imię, nowych rodziców i nową przeszłość, a o swoim poprzednim życiu – zapomina. Taki miejscowy zwyczaj.
Również niczego nie dowie się o Omarze, nie zrozumie go, więc tym dziwniejsza będzie ta rozmowa po noclegu w Norze.
Wiktor wracał rano do osiedla, mieszaniec przydzielony mu, żeby pokazać drogę, znowu miły i zaciekawiony, biegał dookoła i z byle powodu rozciągał usta w dobrodusznym uśmiechu, jakby chciał powiedzieć – nie gniewaj się za to co było wczoraj, wiesz

jak jest, a w ogóle wcale nie jestem taki szpetny, potrafię być naprawdę bardzo miły.

I nagle – cichy głos, prawie szept, nie wiadomo skąd w zamarzniętym zimnym lesie. Mieszaniec coś zaszczebiotał, podskoczył. Wiktor stanął, rozejrzał się – nie od razu dotarło do niego, że to woks.

– Witek!

Nikt go tak nie nazywał na Uala.

– To ja. Słucham. Kto mówi?

Zatrzymał się zachłannie patrząc na płaskie pudełko.

– Kto mówi?

– Jak on krzyczał, Witek, jak on krzyczał!

– To ty, Omar?

– Tak. Chcę powiedzieć... chcę, żebyś powtórzył swoim, aby się tu więcej nie pokazywali, że ja Omar przeklinam ich i życzę im wszystkiego najgorszego.

– Gdzie ty jesteś?

Omar nigdy tak z nim nie rozmawiał, zresztą z nikim innym również. Zawsze był bardzo skryty.

– Gdzie jesteś, Omar?

– Ja go sam. Nikomu nie pozwoliłem. Zrobiłem z tego rytuał. Puelski. W ich języku – guffau. Oni przecież też mają sądy, nie wiedziałeś o tym, nic nie wiecie o Peulach, nawet koloniści, nawet oni... Peulów trzeba traktować poważnie.

– Omar, gdzie jesteś? Musimy porozmawiać. Jak mam cię znaleźć?

– Nie szukaj. Odejdź i nigdy tu nie wracaj. Bo i ciebie też... Niezły z ciebie chłop, ale i ty jesteś zatruty Ziemią. Nie jesteś tu potrzebny.

– To ty zabroniłeś rozmawiać ze mną?

– Właściwie, tak. To bardzo skomplikowane. Musiałbym tłumaczyć, a nie chce mi się. Tyle krwi, nie spodziewałem się, że aż tak, tutejsze stworzenia mają znacznie mniej krwi niż ludzie.

– Omar!

– Przekaż im koniecznie. Najważniejsze, niech się nie pokazują. Tak właśnie powiedz – Omar przeklina was.

– Gdzie Olga?

– Ona go broniła. Była tuż obok. Odepchneli ją, a jego... Krzyczę – nie ruszajcie go, poczekajcie...

– Co z Olgą?

– Nic. Wszystko dobrze. A dlaczego zrobiłem z tego rytuał? Dla większej powagi. Jeśli czujesz, że możesz sfałszować, wszystko przekształcaj w rytuał. Wspaniała rzecz. Pożyteczna. Nawet piękna.

– Chcę porozmawiać z Olgą. Gdzie ona jest?

– Kłamiesz. Ty niczego nie chcesz. On tak strasznie krzyczał. To najgorsze, kiedy człowiek krzyczy z bólu. Trudno wymyślić coś straszniejszego. Według wszelkich zasad. Nawet taniec był. A jakże inaczej? A tu tyle krwi.

– Omar, wszystko rozumiem, ale...

– Widzisz, co z ciebie za drań. Przecież kłamiesz, że rozumiesz, nawet mnie nie słuchałeś, ale wszystko ci jedno, możesz załatwić swoje sprawy nawet z mordercą. Nie oddam ci Olgi. Wynoś się.

– A ja nigdzie teraz nie pojadę, odszukam cię i wtedy ty za takie słowa...

– Nie idź nigdzie, zabiją cię. Jedną masz drogę – na Ziemię. A wiesz co jest najstraszniejsze? Ja też jestem zatruty. Myślałem – zlikwiduję Kosmatego i wtedy wszystko się zacznie. A wszystko się skończyło. Nawet człowieka nie potrafię zabić.

– Ale przecież zabiłeś?

– Zabiłem! Dlatego, bo jeszcze nie do końca zostałem zatruty. Przeżyję, my wszyscy przeżyjemy, wypalimy w sobie to, co ziemskie. Kosmaty chciał tu mieć Ziemię, marzył o miastach na Uala – przekaż swoim, że będą i miasta, tylko nie takie, zupełnie nie takie.

– Omar!

– Wynoś się!

Wiktor nie dowie się nigdy, że Omarowi niewiele już życia zostało, że polegnie w głupiej bójce z myśliwymi, zginie szybko i bezsensownie, że nic już nie zdąży zrobić, a co najważniejsze nikt nie zdąży go zrozumieć. Zresztą czy to w ogóle było możliwe? Czego chciał, za co tak nienawidził Ziemię, jakie świetlane miasta roiły się w jego mózgu – nikt się tego nigdy nie dowie.

W ciągu stu osiemdziesięciu lat przywieziono na Uala mnóstwo rozmaitych zwierząt, ale tylko konie i ichneumony przeżyły na tej planecie. Zresztą i one wyginą. Maleńki, dwadzieścia sztuk liczący tabun koni, będzie uciekać z miejsca na miejsce, uciekając przed ciemnymi łowami i konie po prostu nie zdążą mieć potomstwa.

Kiedy Wiktor po raz ostatni przyleci tutaj, jego kuter zniszczy norę ichneumonów i cała rodzina, oprócz jednego zginie. Mały ucieknie klucząc między ogromnymi grubymi liśćmi. Nie przyzwyczajony do światła, przerażony będzie skakał z boku na bok, zanim wreszcie dotrze do miejsca, które koloniści nazywali „psią paliandą".

A Wiktor przejdzie przez osiedle, przekona się, że dawno zostało już opuszczone, powie sobie – nie mam tu nic do roboty, w dodatku nie złożyłem skrzydeł, trzeba się śpieszyć z powrotem. Zauważy, że słońce Ozo, które dopiero przed chwilą było tak wysoko, gwałtownie spadło w dół, a to znaczy, że zaraz nadejdzie noc i trzeba uciekać stąd jak najszybciej.

Nagle w perspektywie ulicy zobaczy kobietę ubraną jak Ziemianka. Przestraszony wyciągnie ręce, krzyknie – stój, podejdź do mnie, ale ona nie odpowie, zniknie w tej samej sekundzie, zdziwiony Wiktor nie będzie wiedział – czy była tu naprawdę czy tylko mu się przywidziało.

– Olga! – zawoła bez żadnej nadziei i oczywiście nikt nie odpowie, tylko stadko turczenek wzleci ku niebu i piskliwie powtórzy jego wołanie.

– Olga! Olga!

Słońce Ozo będzie gwałtownie spadać i na nic już nie zostanie czasu. Wybiegnie z osiedla, ale znowu zobaczy kobietę, teraz już będzie wiedział na pewno, że to Olga. A ona pobiegnie ulicą.

– Ola! Stój! Poczekaj!

Pobiegnie jej śladem, ale nikogo nie znajdzie.

– Gdzie jesteś? Nie chowaj się, Olga!

Wiktor będzie biegał po ulicach nie pamiętając o niebezpieczeństwie, a kiedy zakłuje go w boku, złapie się za resztkę płotu, stanie i przymknie oczy.

– Jestem tu! – krzyknie Olga.

Odwróci się gwałtownie w kierunku tego głosu i wtedy słońce Ozo zakończy swój dzienny taniec. Ciemność zapadnie tak szybko, jakby na planecie nie było atmosfery. Nocne kwiaty otworzą pąki i wypuszczą na wolność świecące płatki. Zmienią się zapachy, zmieni się powietrze, nawet wysoki wiatr zanuci inną melodię.

Wiktor, po raz pierwszy zaskoczony ciemnością na Ualauala przylgnie do płotu, dotknie dłonią pistoletu, zacznie nasłuchiwać.

Zwierzęta na Ualauala boją się światła. Nikt nie wie, dlaczego tak jest. Śpiewają o tym kraczące tubylcze pieśni. Nie pozbawione uroku, ale absolutnie nieprawdopodobne – zwyczajne bajki. Istnieje hipoteza, że w odległych czasach światło drugiego słońca – teraz wystygłego pulsara, było niebezpieczne i że wszystkie stworzenia mogły żyć tylko w ciemności. To jedynie hipoteza, której nikt nie sprawdził.

Tak czy inaczej, prawdziwe życie na Ualauala zaczyna się po zachodzie słońca. Jakby ktoś uderzył na alarm, wszystko się budzi i przygotowuje do śmiertelnej walki. Z palianda wypełzają gady – charmaty, pigony, lwy paprociowe. Wzlatują w powietrze stada koszmarnych potworów, gdzie już czekają na nie dzikie koty i ogromne ptaki uebo. Ciszę wypełnia kaskada najróżniejszych dźwięków – złowieszcze okrzyki, łopot skrzydeł, chrypienie, wycie, gamy wyśpiewane nieomal ludzkim głosem, ale jednak tylko nieomal. I nagle rozlega się wystrzał. Całą ciemną stronę planety zalewa fala nienawiści, wszystko co żyje, drżąc z głodu, strachu i miłości, walczy o swoje życie.

Wiktor, kiedy rozpoczną się ciemne łowy zapomni o Oldze, ale ona sama przypomni o sobie i nie wiadomo skąd, może z góry dobiegnie jej głos.

– Nie bój się. Chodź do mnie.

I wtedy zobaczy ją, swoją Olgę, swoją postarzałą dziewczynę. Zrzuci sukienkę i jej ciało zacznie nagle świecić, zabłyśnie przed nim liliowym blaskiem, jak ciało myśliwego wtedy w Norze.

Rozlegnie się pisk, wszystko co żywe zacznie uciekać z tego przeklętego miejsca, ale nie ucieknie daleko, tak jak nie ucieka zwierzyna przed Peulami, tylko odsunie się na bezpieczną odległość.

Jeśli słońce Ozo spada bardzo szybko, to może jeszcze pojawić się nad horyzontem – na dziesięć minut, na piętnaście, na pół godziny, na cały dzień. Wiktor przypomni sobie o tym i nie patrząc na świecącą Olgę będzie z niecierpliwością oczekiwać wschodu. Nie będzie myślał o Oldze, niechby nawet nie była przywidzeniem, najważniejsze to nie przegapić krótkiej chwili, która może przynieść ocalenie. Wtedy można będzie nie bać się ataku, Zwierzęta przypadną do ziemi, zamkną ślepia i ostrożnie poczołgają się w gęstwinę. Być może po raz pierwszy w życiu Wiktor poczuje prawdziwy strach.

Ichneumonek będzie biegł na złamanie karku, zapomni nawet o głodzie. Będzie mu się zdawało, że wszyscy polują na niego, że na całym świecie nie ma dla niego schronienia. I w tej strasznej chwili poczuje zapach napływający od strony osiedla, zapach jakoś znajomy, a jednocześnie odczuty po raz pierwszy w życiu. Nie zmniejszając szybkości, skręci w tym kierunku, w niedługim czasie znajdzie się blisko domów. Teraz będzie biegł w kurzu wystawiając na zewnątrz tylko podrapany nos. Znajomy zapach będzie coraz wyraźniejszy. I nagle na horyzoncie pojawi się cienkie pomarańczowe pasemko. To jasne słońce Ozo postanowi ucieszyć świat swoim blaskiem. Jeszcze nie opadnie wściekłość ciemnych łowów, sen jeszcze się nie skończy, kiedy rozlegnie się głośny krzyk:

– Słońce!

I ichneumonek wystawi z kurzu wąski pyszczek, zobaczy biegnącego człowieka, a za nim nagą kobietę. Jej świecąca skóra będzie szybko matowieć w promieniach Ozo, wyciągnie ręce do mężczyzny, będzie coś wołać do niego, ale mężczyzna nie odwróci głowy.

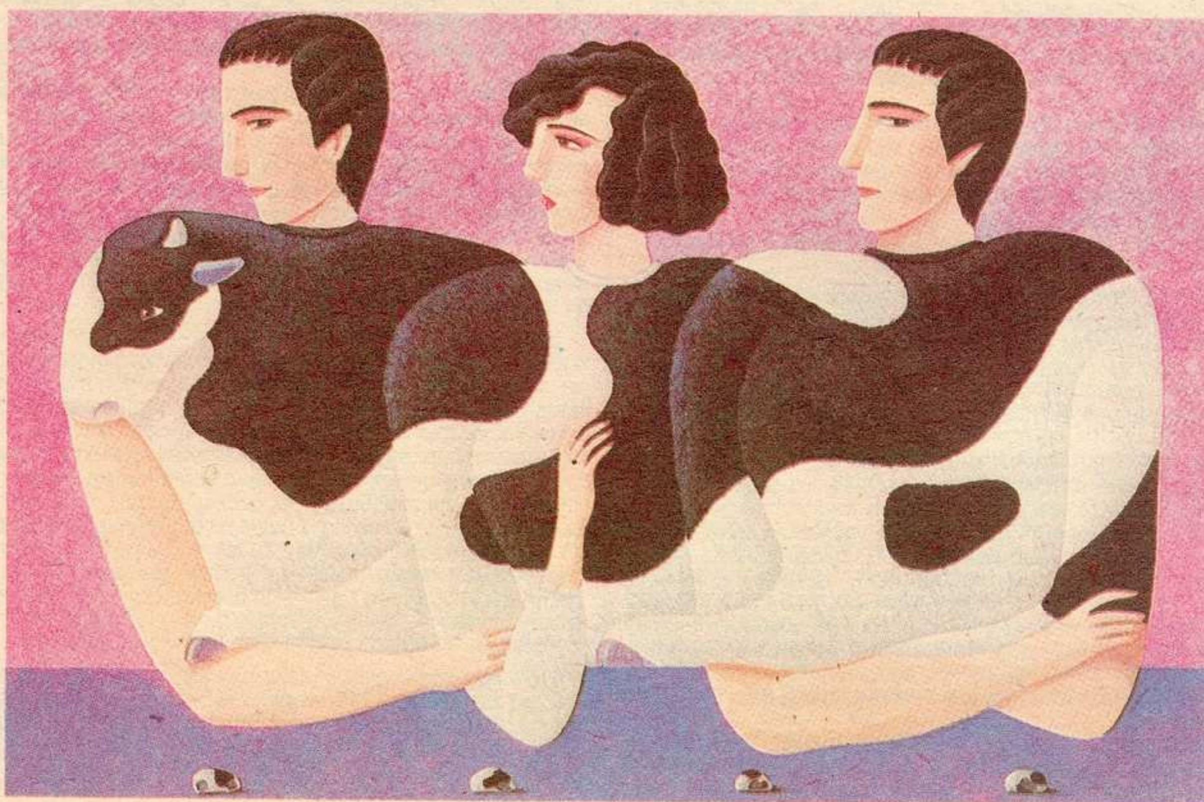
– Zdążyć, zdążyć, zdążyć...

Przełożyła **Irena Lewandowska**

SHIGERU TAMURA – Pocztówka

GALERIA

HISAKO NAIKI – Pocztówka



Poul Anderson

MARIUSZ

(Marius)

Znowu lał deszcz. W ostrym powietrzu czuć było przedsmak nadchodzącej zimy. Latarnie uliczne ciągle jeszcze nie działały i wczesny zmierzch wciskał się między zrujnowane mury, zacierając sylwetki obdartych, zamieszkujących wygrzebane jaskinie, ludzi. Etienne Fourré, przywódca francuskiej Résistance, a co za tym idzie, przedstawiciel Francji w Najwyższej Radzie Zjednoczonej Europy wyrżnął palcem u nogi w wystający brukowiec. Ostry ból przeniknął całą stopę. Fourré zaklął. Otaczająca go pięćdziesięcioosobowa obstawa – kudłaci mężczyźni odziani w dziwaczne łachmany skompletowane z części umundurowania co najmniej tuzina armii, wśród których jedynym rodzimym elementem była wyszyta ręcznie trójkolorowa kokarda, drgnęli w napięciu. Była to reakcja odruchowa – wyrobili ją w sobie od dawna. Tak samo jeży się wilk, gdy usłyszy jakiś nieoczekiwany szmer.

– Eh, bien – mruknął Fourré – przypuszczam, że Rouget de Lisle komponując Marsyliankę potknął się o taki sam kamień.

Jednooki Astier wzruszył ramionami. W panujących ciemnościach gest ten był ledwie widoczny.

– Kiedy przypłynie nowy transport ziarna? – spytał.

Przy akompaniamencie grających marsza z głodu kiszek trudno było myśleć o czymkolwiek poza jedzeniem, a w czasie tych beznadziejnych lat Wyzwoliciele zdążyli wyzbyć się resztek etykiety wojskowej.

– O ile na barki nie napadną piraci, myślę, że jutro, może pojutrze – odparł Fourré. – Ale nie wierzę, by piraci podeszli tak blisko Strasburga.

Spróbował uśmiechnąć się.

– Bądź dobrej myśli, mój stary. Następny rok przyniesie nam obfite plony. Amerykanie wysyłają nam nowy środek przeciwko zarazie zbożowej.

– Ciągle ten przyszły rok – mruknął Astier. – Czemu nie przyślą nam czegoś do jedzenia już dziś?

– Sami ucierpieli od zarazy. To wszystko, co mogą dla nas zrobić. Gdyby nie oni, wciąż jeszcze siedzielibyśmy po lasach.

– Niewiele nam przyszło z tego zwycięstwa.

– Dzięki Profesorowi Valtiemu wcale nie tak mało. Nie sądzę, by którekolwiek z państw walczących po naszej stronie wygrało w pojedynkę, bez innych.

– Jeśli nazywasz to zwycięstwem... – ponury głos Altiego umilkł i zapadła cisza.

Przechodzili właśnie obok zburzonej katedry, w ruinach której zwykły kryć się bandy bezdomnych dzieci. Te małe dzikusy napadały czasem nawet na uzbrojonych ludzi, atakując ich zardzewiałymi bagnetami i wyszczerbionymi butelkami z obtłuczonym denkiem. Jednak pięćdziesięciu żołnierzy stanowiło siłę zdecydowanie zbyt pokaźną. Fourrému zdawało się, że słyszy jak coś przemyka się między kamieniami – jednaak mogły to być tylko szczury. W najśmielszych nawet domysłach nie spodziewał się, że może istnieć tyle szczurów.

Drobny ponury deszcz siekł mu twarz i Fourré nieomal fizycznie czuł, jak ciąży mu nasiąknięta wodą broda. Świtało. Brzask przychodził jak posłanie z terenów, pogrążonych w chaosie i rzeziach.

„Ale my się odbudowujemy" – pomyślał, jakby broniąc się przed samym sobą.

Z tygodnia na tydzień władza Rady Strasburskiej rozciągała swe opiekuńcze skrzydła nad coraz to nowymi połaciami krajów zrujnowanej Europy. W ciągu dziesięciu lat, być może nawet już za pięć (automatyzacja była tak niesamowicie wydajna, byle tylko na początek udało się zdobyć maszyny) ludzie staną się z powrotem pokój miłującymi farmerami i sklepikarzami, a ich kultura czymś żywym i godnym uwagi. Jeżeli reprezentujący różne nacje Członkowie Rady będą podejmować właściwe decyzje. A nie podejmują. Valti przekonał wreszcie o tym Fourrégo. Dlatego teraz on, Fourré szedł w strugach deszczu, otulając się starą peleryną, a ludzie w barakach oceniali chłodno, ilu im ruchów potrzeba, by dopaść ustawionej w kozły broni... Musieli bowiem pokonać tego, który odmawiał zgody.

Zauważył ironicznie, że aby wprowadzić w życie prawidła nowej matematyki, którą na całym świecie było w stanie pojąć ledwie parę tysięcy umysłów, należało odwołać się do feudalnej zasady osobistej wierności wobec wodza. Ale nie można przecież spodziewać się, że normandzki chłop Astier, czy Renault, apasz paryski, poświęcą te kilka wolnych chwil, jakie uda im się znaleźć w ciągu roku, by studiować równania socjologii symbolicznej. Trzeba im po prostu powiedzieć „chodźcie", a pójdą, bo darzą cię miłością.

Kroki odbijały się głuchym echem w pustych ulicach. Światu, temu właśnie światu obca była wszelka logika. To, że wiejskiemu aptekarzowi Etienne Fourrému udało się przeżyć, było dziełem przypadku i ten przypadek sprawił, że stał się on de facto przywódcą Francji. Mógł sobie jedynie życzyć, aby los dotknął jego, a oszczędził Jeanette – ale w końcu żyło jego dwóch synów i pewnego dnia, o ile nie wchłonęli zbyt wielkiej dawki promieniowania, doczeka się wnuków. Stanowczo, Bóg nie jest aż tak mściwy.

– Jesteśmy. To tam, przed nami – powiedział Astier.

Fourré nie zadał sobie trudu, by odpowiedzieć. Powszechny, ludzki nawyk mówienia bez przerwy był mu obcy.

Strasburg stał się siedzibą Rady tak z powodu swojego położenia, jak i dlatego, że niezbyt ucierpiał. Osiemnaście miesięcy temu rozegrała się tu zwykła, konwencjonalna bitwa, podczas której użyto jedynie broni chemicznej. Uniwersytet wyszedł z niej prawie nietknięty, on też przekształcony został w kwaterę główną Jacquesa Reinacha. Jego ludzie snuli się tu na posterunkach (swoją drogą ciekawe, co pomyślałby Goethe, gdyby wrócił do krainy swych lat studenckich). Teraz byli tu właśnie tacy ludzie – ludzie trzymający wypucowane karabiny w pokrytych zastarzałym brudem rękach. Oni byli cywilizacją. To właśnie im podobni mieli przywrócić prawo i falujące na wietrze łany zbóż. Kiedyś... być może...

Pierwszego posterunku strzegło gniazdo karabinów maszynowych. Oficer dyżurny rozpoznał Fourrégo i zasalutował mu niedbale. (Tak, już sam fakt, że Reinach zdołał narzucić tej bandzie chociaż tyle dyscypliny, mówił wiele o zaletach jego charakteru).

– Pańska straż musi zaczekać tutaj, generale – powiedział oficer na wpół przepraszająco. – Nowe przepisy.

– Wiem – odparł Fourré.

Musiał jednak uciszać gniewne pomruki swojej obstawy, bowiem jego ludzie n i e wiedzieli.

– Jestem umówiony z Głównodowodzącym.

– Tak, generale. Proszę trzymać się oświetlonych przejść. W przeciwnym razie mogą wziąć pana za rabusia i zastrzelić.

Fourré kiwnął głową i ruszył naprzód pomiędzy budynkami. Marzył o tym, by wydostać się wreszcie z tego deszczu, mimo to szedł wolno, chcąc opóźnić moment spotkania. Jacques Reinach był nie tylko jego krajanem, ale i przyjacielem. Z takim, powiedzmy, Helgensenem ze Związku Nordyckiego, Włochem Tottim, czy Rojańskim z Polski, łączyły go nieporównanie słabsze więzi, a Niemca Auerbacha po prostu nienawidził.

Budowla mieszcząca najważniejsze biura majaczyła w ciemnościach, ledwie kilka oświetlonych okien rzucało słaby blask na Fourrégo. Reinach, słusznie zresztą, zainstalował tam generator elektryczny, często bowiem zdarzało się, że mimo skrajnego wy-

czerpania, on sam i jego przemęczony personel zmuszeni byli pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Strażnik przepuścił go do wartowni, gdzie z pół tuzina mężczyzn zajętych było dłubaniem w zębach i grą w kości. Stawką były naboje. Zniszczona gruźlicą sekretarka pokasływała nad stertą fiszek sporządzonych ze starych kwitów z pralni, ulotek i wszelkich innych skrawków papieru, jakie znalazły się akurat pod ręką. Wszyscy podnieśli się, a Fourré wyjaśnił, że przybył, by spotkać się z Głównodowodzącym, prezesem Rady.

– Tak, panie generale.

Oficer nie skończył nawet dwudziestki. Jego twarz, której nie zdążył jeszcze pokryć zarost, była pomarszczona jak twarz starca. Jego francuszczyzna była fatalna.

– Proszę zostawić broń i wejść.

Fourré odpiął pistolet i pomyślał, że to ostatnie żądanie, by rozbrajać dowódców przed spotkaniem z Prezesem Reinachem, doprowadziło do pasji Alvareza i popchnęło go do spisku. Z drugiej strony, rozkaz ten nie był bezzasadny. Reinach musiał wiedzieć o narastającej opozycji, a każdy był aż zanadto skory do rozstrzygania wszelkich sporów siłą. Poza tym... Alvarez nie był filozofem, lecz szefem ochotników hiszpańskich, wykorzystywano taki materiał ludzki, jaki był osiągalny.

Oficer zrewidował go – było to zupełnie nowe poniżenie, które dopiekło Fourrému do żywego. Zdławił gniew, myśląc jak dalece trafne okazały się przepowiednie Valtiego. Potem dalej, ciemnym cuchnącym pleśnią korytarzem, aż do wejścia, przy którym stał kolejny wartownik. Fourré skinął mu głową i otworzył drzwi.

– Dobry wieczór, Etienne. Czym mogę ci służyć?

Wysoki blondyn spojrzał na niego zza biuraka i uśmiechnął się. Był to zadziwiająco nieśmiały, niemal młodzieńczy uśmiech. Coś boleśnie skurczyło się w Fourrém.

Przed wojną gabinet należał do jakiegoś profesora. Książki wypełniające całą powierzchnię ściany pokrywała gruba warstwa kurzu. Tak... powinni troszczyć się o książki, nawet gdyby miało to oznaczać mniej czasu poświęconego na walkę z głodem, zarazą i bandytyzmem. W głębi widać było zamknięte okno; ciemne strugi deszczu spływały po jakimś cudem ocalałej szybie.

Fourré usiadł. Fotel zatrzeszczał pod ciężarem jego wychudzonego, ale grubokościstego ciała.

– Nie domyślasz się, Jacques? – spytał.

Przystojna twarz Alzatczyka, jedna z nielicznych ogolonych twarzy na świecie, zwróciła się ku niemu badawczo.

– Nie byłem pewien, czy i ty jesteś przeciwko mnie – powiedział Reinach. – Helgesen, Totti, Alexios... tak... ta banda... ale ty? Przez wiele lat byliśmy przyjaciółmi, Etienne. Nie spodziewałem się, że wystąpisz przeciwko mnie.

– Nie przeciwko tobie – Fourré westchnął i poczuł, że ma ogromną chęć na papierosa, ale tytoń był pieśnią odległej przeszłości. – Nigdy przeciwko tobie, Jacques, tylko przeciwko twojej polityce. Jestem tu, by wyrazić opinię nas wszystkich...

– Niezupełnie wszystkich – przerwał mu Reinach. Jego głos był spokojny, beznamiętny. – Teraz widzę jasno jak zręcznie usunąłeś z miasta moich wiernych sprzymierzeńców. Brevoort wysłany, by nawiązać kontakty z rządem rewolucyjnym; Ferenczi zakopany w Genui, gdzie gromadzi okręty dla naszej floty handlowej; Janoskowi rozkazano dowodzić ekspedycją karną przeciwko bandom w Szlezwiku. Tak, tak... przygotowaliście to nadzwyczaj starannie. Ale jak myślisz, co oni powiedzą po powrocie?

– Zaakceptują fakt accompli – odparł Fourré. – To pokolenie ma wojny powyżej dziurek w nosie. Ale powiedziałem ci już, że jestem tu, by ci przekazać zdanie moich towarzyszy. Mieliśmy nadzieję, że przynajmniej wysłuchasz naszych argumentów.

– Jeśli to w ogóle są jakieś argumenty. – Reinach przeciągnął się w fotelu jak kot. Jego dłoń spoczywała na kaburze rewolweru. – Zresztą przedyskutowaliśmy je na zebraniu Rady i jeśli teraz wracasz do tego, to...

– ... to dlatego, że muszę. – Fourré siadł, utkwiwszy spojrzenie w pokiereszowane, kościste dłonie, które splótł na kolanach. – Wszyscy zdajemy sobie sprawę, Jacques, że prezes Rady musi sprawować najwyższą władzę w czasie stanu wyjątkowego. Zgadzamy się przyznać ci głos rozstrzygający. Ale nie j e d y n y !

Błysk wściekłości mignął w błękitnych oczach Reinacha.

– Czy już nie dość mnie oczerniano? – spytał. – Oni uważają, że chcę zrobić z siebie dyktatora! Etienne, jak sądzisz, dlaczego po drugiej wojnie światowej wybrałem karierę wojskową, podczas gdy ty wystąpiłeś z armii i stałeś się skromnym cywilem? W żadnym wypadku dlatego, bym czuł specjalne upodobanie do wojska. Przewidziałem za to, że nasz kraj będzie znów w niebezpieczeństwie, jeszcze za mego życia i chciałem po prostu być na to przygotowany. Czy mówię jak... jak jakiś nowy Hitler?

– Oczywiście, że nie, mój drogi. Postąpiłeś za przykładem de Gaulle'a, to wszystko. I gdy zdecydowaliśmy, że będziesz dowodził naszymi zjednoczonymi siłami zbrojnymi, nie mogliśmy dokonać lepszego wyboru. Bez ciebie – i Valtiego – wciąż jeszcze trwałyby walki. My... ja... myślimy o tobie jak o naszym zbawcy, jesteśmy ci wdzięczni tak, jak może być wdzięczny tylko chłop, któremu zwrócono zagrabiony wcześniej kawałek ziemi. Ale ty popełniasz błąd.

– Każdy popełnia błędy – Reinach uśmiechnął się – ja również widzę swoje własne. Na przykład kompletnie spartoliłem sprawę ostatecznego załatwienia się z tymi...

Fourré uparcie potrząsnął głową.

– Nie rozumiesz, Jacques. Nie o takie błędy mi chodzi. Twój podstawowy błąd polega na tym, że nie zdajesz sobie sprawy z tego, że mamy pokój. Wojna się skończyła.

Reinach kpiąco uniósł brwi.

– Ani jedna barka nie płynie Renem, nie odbudowaliśmy ani kilometra trakcji kolejowej, musimy za to zwalczać bandytów, lokalnych watażków i wpółszalonych fanatyków najrozmaitszego autoramentu. To są te twoje pokojowe czasy?

– Widzisz, to kwestia odmiennych założeń – odparł Fourré. – Ludzie są zwierzętami tego rodzaju, że najważniejszą dla nich sprawą jest rezultat, a nie prowadzące doń środki. Wojna jest moralnie nieskomplikowana – masz jeden cel: narzucić swą wolę wrogowi, nie skapitulować przed słabszym. Ale spójrz choćby na instytucję policji. Policjant strzeże c a ł e g o społeczeństwa, którego integralną częścią są również kryminaliści. A polityk? Musi uciekać się do kompromisów nawet z niewielkimi stronnictwami, nawet z ludźmi, których osobiście lekceważy, czy którymi gardzi. Ty, Jacques, myślisz jak żołnierz – a my nie chcemy, by dalej rządzili nami żołnierze.

– Cytujesz tego zgrzybiałego głupca Valtiego – warknął Reinach.

– Gdyby nie profesor Valti i jego logika socjosymboliczna, użyta przy planowaniu naszej strategii, wojna ciągnęłaby się do dziś. W owym czasie nie mieliśmy żadnej szansy na to, by wyzwolił nas ktoś z zewnątrz. Po pierwszym starciu nuklearnym Anglosasi nie mieli prawie żadnych rezerw. Inwazja na Europę była nieprawdopodobieństwem. Musieliśmy wyzwolić się sami, mając do dyspozycji naszych łachmaniarzy, bataliony rowerowe i samoloty, składane do kupy ze stosów starych wraków. Gdyby nie plany Valtiego i – by być sprawiedliwym – gdyby nie twoja ich realizacja, nigdy byśmy tego nie dokonali.

Fourré znów potrząsnął głową. Jacques w żadnym wypadku n i e m ó g ł wyprowadzić go z równowagi.

– Myślę, że daje to profesorowi prawo do szacunku – skończył.

– Dobrze... niech ci będzie... – Reinach zaczął mówić gwałtownie, podniesionym głosem. – Ale teraz to starzec! Starzec bełkoczący coś o przyszłości i trendach długofalowych... Czy najemy się przyszłością? Ludzie giną z głodu, od chorób i anarchii! Teraz!!!

– Valti przekonał mnie – odparł Fourré. – Jeszcze rok temu myślałem identycznie, lecz on wykształcił mnie w podstawach swej nauki i wskazał mi ku czemu zamierzamy. Eino Valti to stary człowiek, ale pod tą łysą czaszką kryje się pierwszorzędny umysł.

Reinach wyraźnie się odprężył. Jego twarz przybrała wyraz życzliwej wyrozumiałości.

– Bardzo dobrze, Etienne, ku czemu zatem zmierzamy?

Fourré zdawał się patrzyć na wylot przez niego, wprost w ciemności nocy.

– Ku wojnie – wyjaśnił miękko – nowej wojnie jądrowej za jakieś pięćdziesiąt lat. I nie ma żadnej pewności, czy rodzaj ludzki w ogóle ją przetrwa.

Deszcz, znów gęsty, walił w okiennice. W opustoszałych uliczkach wył wiatr. Fourré spojrzał na zegarek. Zostało niewiele czasu. Musnął palcami zawieszony na szyi gwizdek policyjny. Reinach wzdrygnął się, lecz po chwili znów złagodniał.

– Gdybym sądził, że tak jest w istocie – odparł – podałbym się do dymisji w tej chwili.

– Wiem – wymamrotał Fourré – dlatego właśnie moja rola tak mi ciąży.

– Ale wcale tak nie jest! – Reinach machnął ręką, jakby chciał odpędzić od siebie koszmarną zjawę. – Ludzkość odebrała tak koszmarną lekcję, że...

– Ludzie, jako zbiorowość, nigdy niczego się nie uczą – przerwał Fourré. – Czy Niemcy wyciągnęły jakieś wnioski z Wojny Stuletniej albo my z Hiroszimy? Jedyną metodą zapobieżenia przyszłej wojnie jest ustanowienie pokojowej władzy o zasięgu ogólnoświatowym. Należy odbudować ONZ i wyposażyć ją w realną siłę...

– Doskonale, doskonale – niecierpliwie odezwał się Reinach. – To zrozumiałe. Wytłumacz mi tylko, w czym to ja się mylę?

– W bardzo wielu rzeczach, Jacques. Słyszałeś o nich w Radzie. Naprawdę muszę powtarzać tę długą listę?

Głowa Fourrégo obróciła się z wolna, jakby z wysiłkiem pokonując opór nieposłusznych kręgów szyjnych; jego oczy wbiły się nieruchomo w mężczyznę po drugiej stronie biurka.

– Improwizacja w czasie wojny – kontynuował – to zupełnie inny problem. Ale ty działasz bez zastanowienia w czasie pokoju. Przeforsowałeś decyzję o wysłaniu zaledwie dwóch osób, które miałyby reprezentować nasz sojusz na konferencji w Rio. Czemu? Bo nie mamy środków transportu, wykwalifikowanych urzędników, papieru, ba, nawet przyzwoitych ubrań! Tę sprawę należało starannie rozważyć. Być może traktowanie Europy jako całości jest słuszne, być może nie; prawdopodobnie spowodowałoby to wzrost tendencji nacjonalistycznych, nie o to zresztą chodzi. Ty natomiast podjąłeś decyzję dosłownie w chwili, gdy pojawił się sam problem i zakazałeś jakiejkolwiek dyskusji.

– Oczywiście – odparł szorstko Reinach. – Jeśli sobie przypominasz, było to tego dnia, w którym dowiedzieliśmy się o neofaszytowskim zamachu stanu na Korsyce.

– Korsyka istotnie nie mogła dłużej czekać. Tak... byłoby ją znacznie trudniej odbić, gdybyśmy nie zaatakowali od razu. Ale sprawa naszych przedstawicieli w ONZ może zadecydować o całej przyszłości naszego...

– Wiem, wiem! To Valti i jego teoria „opcji kluczowych". Eeee...

– Ta teoria sprawdza się, mój stary!

– Do pewnego stopnia. Przyznaję, Etienne, jestem człowiekiem praktycznym. – Reinach pochylił się nad blatem biurka i wsparł podbródek na dłoniach. – Czy nie uważasz, że czasy wymagają zdrowego rozsądku? Kiedy wokół szaleje piekło, nie ma czasu, by zawracać sobie głowę filozofiami lub... lub próbować wyborów do parlamentu, co jak rozumiem, jest kolejnym zaniedbaniem, jakie zarzuca mi Valti.

– Tak właśnie – odparł Fourré . – Czy lubisz róże? – dodał.

– Co?... Dlaczego?... Tak. – Reinach zamrugał w osłupieniu. – W każdym razie lubię się im przyglądać. – Przez jego twarz przemknął cień zadumy. – Skoro już o tym wspomniałeś, to wiele lat minęło od momentu, gdy po raz ostatni widziałem różę.

– Ale nienawidzisz pracy w ogrodzie! Pamiętam to dobrze z dawnych dni.

Dziwna czułość mężczyzny w stosunku do mężczyzny, uczucie, którego nikt jeszcze do końca nie wytłumaczył, boleśnie targnęła Fourrém. Odepchnął ją od siebie, nie śmiąc postąpić inaczej i dodał bezosobowo:

– Lubisz także rządy demokratyczne, ale nigdy nie interesowała cię czarna robota, jakiej wymaga ich wprowadzenie. Teraz właśnie nadszedł czas, by posiać ziarno. Jeśli tego nie uczynimy, zrobi się za późno i rządy twardej ręki staną się nawykiem nie do wykorzenienia.

– Tak, ale teraz trzeba także przeżyć. Po prostu pozostać przy życiu. Nic więcej.

– Jacques, nigdy nie oskarżałem cię o nieczułość. Przeciwnie, jesteś sentymentalny; gdy zobaczysz dziecko opuchłe z głodu lub dom oznaczony krzyżem mówiącym, że przeszła przezeń zaraza, Czarna Śmierć, przepełnia cię litość i tracisz zdolność myślenia. To my... Valti, ja i inni... my jesteśmy beznamiętni, gotowi teraz poświęcić kilka tysięcy istnień ludzkich więcej, pozbawiając ich tego, co niezbędne, po to, by uratować całą ludzkość za lat pięćdziesiąt.

– Być może masz rację – odparł Reinach. – Mam na myśli to, co powiedziałeś o swoim braku uczuć ludzkich – mówił to tak cicho, że głos jego gubił się w szumie padającego deszczu.

Fourré znów zerknął ukradkiem na zegarek. Wszystko to trwało dłużej niż pierwotnie przewidywał.

Poul ANDERSON

Pisarz amerykański, który uczestniczył w fandomie jeszcze przed II wojną światową, a jako autor debiutował w roku 1947, był dotychczas prezentowany tylko w „Fantastyce" nr 2/84 („Najdłuższa podróż"), jednak wkrótce opublikowaliśmy inne jego opowiadanie „Sam Hall" oraz powieść „Trzy serca i trzy lwy".

Opowiadanie „Mariusz" to jeszcze jeden wariant świata po katastrofie wojennej. Na ogół fascynację tym tematem tłumaczy się lękiem przed wojną i potrzebą ostrzegania ludzkości. Zaproponowałbym konkurencyjną interpretację: zamiłowanie do kataklizmów – jeżeli nie zawsze, to często – wynika z potrzeby uproszczenia świata do stanu, w którym znów liczy się pojedynczy człowiek, jego osobista odwaga i inicjatywa. Wyjaśnienie to pasowałoby szczególnie do Andersona, członka Stowarzyszenia Twórczego Anachronizmu kultywującego zaginione umiejętności w rodzaju władania różnymi rodzajami średniowiecznej broni.

L.J.

– Bezpośrednią przyczyną wszystkiego, co dzieje się tej nocy, jest sprawa Pappasa – wyrzucił z siebie pospiesznie, kalecząc słowa...

– Tak też myślałem – przyznał Reinach spokojnie. – I ja go nie znoszę. Wiem równie dobrze jak ty, że to zbrodniczy łajdak, którego nienawidzą nawet właśni żołnierze. Ale, do jasnej cholery! Człowieku, czy ty wiesz, że szczury robią rzeczy znacznie gorsze niż wyżeranie naszej żywności i oczu naszym śpiącym dzieciom?! Nie zdajesz sobie sprawy, że to one roznoszą zarazę?!... A Pappas zaofiarował nam usługi jedynej zdolnej do działania kompanii deratyzacyjnej w całej Europie! W zamian za to nie żąda niczego, poza uznaniem istnienia Wolnej Macedonii i zapewnieniem mu miejsca w Radzie.

– To zbyt wysoka cena – sprzeciwił się Fourré. – Za dwa lub trzy lata sami poradzimy sobie ze szczurami.

– A zanim to nastąpi?

– Musimy mieć nadzieję, że nikt z tych, których kochamy nie zachoruje.

Reinach uśmiechnął się smutno.

– To nie jest wyjście. Nie mogę się na to zgodzić. Jeżeli kompania Pappasa pomoże nam, przyspieszy to odbudowę przynajmniej o rok, uratuje tysiące istnień ludzkich.

– Po to, by zniszczyć ich miliony w przyszłości.

– A, daj spokój! Malutka prowincja w rodzaju Macedonii.

– Nie! Jeden bardzo wielki precedens!!! Nie możemy po prostu przyznać jakiemuś podrzędnemu kacykowi prawa do tego, co zrabował. Wtedy zgodzilibyśmy się na – Fourré uniósł pobrudzoną dłoń i zaczął wyliczać na palcach – na prawo istnienia dyktatur, a takie, o ile zaistnieją, oznaczają wojnę, wojnę i jeszcze raz wojnę; na przestarzałą i zgubną w skutkach zasadę nieograniczonej suwerenności narodowej; na obrazę zaprzyjaźnionej Grecji, która odpłaciłaby nam pięknym za nadobne; na nieuniknione reperkusje polityczne w rejonie Bliskiego Wschodu – i tak wystarczająco niespokojnego; w konsekwencji na wojnę z Arabami, bowiem musimy mieć ropę naftową; na miejsce w Radzie dla zdolnego i bezwzględnego łajdaka, który, bądźmy szczerzy, Jacques, może myśleć o wykończeniu ciebie; na... Nie!

– Teoretyzujesz na temat jutra. Szczury są dziś i tu! W takim razie czego domagasz się ode mnie?

– Odrzuć tę propozycję. Poślij tam mnie z jedną brygadą. Możemy wykopać tego Pappasa do wszystkich diabłów... chyba, że pozwolimy mu zanadto urosnąć w siłę!

Reinach dobrodusznie potrząsnął głową.

– I kto tu jest podżegaczem wojennym? – zapytał.

– Nigdy nie zaprzeczałem, że mamy przed sobą jeszcze długą walkę – w głosie Fourrégo zabrzmiał smutek. W życiu swym widział zbyt wielu ludzi, którzy jęcząc tarzali się po ziemi z wyprutymi flakami. – Chcę tylko mieć pewność, że posłuży ona do osiągnięcia celu ostatecznego, do tego, by świat nigdy więcej nie zaznał wojny. Żeby moje wnuki i prawnuki nigdy więcej nie musiały chwytać za broń.

– A równania Valtiego pokazują ci, w jaki sposób to osiągniesz? – cicho spytał Reinach.

– Tak. Uczą jak do maksimum zwiększyć prawdopodobieństwo pożądanego rezultatu.

– Wybacz, Etienne. – Reinach pokręcił głową. – Po prostu w to nie wierzę. Sprowadzić społeczeństwo ludzkie do... jak to się nazywa...? Aha... jakiegoś tam pola potencjalnego i dokonywać w jego obrębie działań z zakresu logiki symbolicznej... To dla mnie zbyt odległe, abstrakcyjne... Ja istnieję realnie, w konkretnej powłoce cielesnej, czy raczej tym, co z niej zostało przy naszej diecie, a nie w stertach gryzmołów stworzonych przez jakąś bandę długowłosych teoretyków.

– Podobna banda odkryła energię jądrową – zareplikował Fourré. – To prawda, że nauka, którą stworzył Valti jest młoda. Ale w ramach przyjętych założeń jej twierdzenia sprawdzają się. Gdybyś tylko zechciał zająć się nią...

– Mam zbyt wiele innych spraw na głowie. – Reinach wzruszył ramionami. Nagle jego twarz skamieniała. – Straciliśmy już znacznie więcej czasu niż mogłem sobie na to pozwolić. Czego konkretnie chcą ode mnie wszyscy ci twoi wojskowi?

Fourré odpowiedział w sposób, jaki musiał przypaść do gustu jego przyjacielowi – twardo i bez ogródek, jakby wymierzał cios pięścią między oczy.

– Żądamy byś ustąpił. Oczywiście, zachowasz miejsce w Radzie, ale jej przewodniczącym zostanie Valti i rozpocznie wcielanie w życie reform, których się domagamy. Mamy zamiar formalnie potwierdzić, że wiosną zostanie zwołana Konsytuanta, a obecny gabinet poda się do dymisji najdalej za rok.

Pochylił głowę i spojrzał na zegarek. Zostało mu jeszcze półtorej minuty.

– Nie! – odpowiedział Reinach.

– Ale...

– Milcz! – Alzatczyk uniósł się z fotela. – Lampa rzucała jego nadnaturalnej wielkości, groteskowy wręcz cień na rzędy zakurzonych tomów. – Czy przypuszczałeś, że jestem ślepy na to, co dzieje się wokół mnie? Jak ci się wydaje, dlaczego wpuszczam do siebie tylko po jednej osobie, a i to jeszcze każę ją rozbrajać? Niech szlag trafi twoich pułkowników! Prości ludzie znają mnie dobrze, wiedzą, że to ja pierwszy stanąłem w ich obronie – i do diabła z twoimi mglistymi wizjami przyszłości. Przyszłości stawimy czoła wtedy, kiedy nadejdzie!

– Ludzkość czyniła tak zawsze – tłumaczył mu błagalnie Fourré. – I dlatego nasz gatunek jak ślepiec zmierza od jednej katastrofy ku drugiej. Być może mamy ostatnią szansę, by przerwać ten zaklęty krąg!

Reinach nerwowym krokiem przemierzał w tę i z powrotem przestrzeń dzielącą okno od biurka.

– Czy tobie się wydaje, że lubię tę parszywą robotę – odparował. – Dzieje się tak dlatego, że nikt inny nie jest w stanie jej sprostać.

– No tak, stałeś się niezastąpiony – szepnął Fourré. – Miałem nadzieję, że uda ci się tego uniknąć.

– Wracaj, Etienne... – Reinach zatrzymał się. Znów był wcieleniem uprzejmości. – Wracaj i powiedz im wszystkim, że osobiście nic do nich nie mam. Mieliście prawo przedstawić wasze żądania. No i w porządku – przedstawiliście je i... odmówiono wam. – Reinach w zamyśleniu skinął głową. - Zresztą myślę, że możliwy jest szereg zmian w naszej organizacji... Nie zamierzam być dyktatorem, ale..

GODZINA ZERO. Fourré poczuł się bardzo, bardzo zmęczony. Odmówiono mu, nie mógł zatem zadąć w gwizdek na znak powstrzymania rebelii. Z tą chwilą dalszy przebieg wypadków przestawał zależeć od niego.

– Usiądź – powiedział – usiądź, Mariuszu. Pogadamy chwilę o starych, dobrych czasach.

Reinach spojrzał na niego zdziwiony.

– Mariuszu? Co to ma znaczyć?

– Ot... taki sobie przykład z historii starożytnej. Słyszałem go od Valtiego...

Fourré przyjrzał się uważnie podłodze. Tuż obok jego lewej stopy majaczył potrzaskany legar. Potrzaskany i w każdej chwili grożący zawaleniem – rozchwiany szczątek cywilizacji... „W jaki sposób ten sam gatunek mógł stworzyć katedrę w Chartres i bombę wodorową?" – przemknęło mu przez myśl. Mówił z wyraźnym wysiłkiem:

– ... W II wieku przed Chrystusem z północy runęli Cymbrowie i ich sojusznicy, teutońscy barbarzyńcy. Przez kilkadziesiąt lat grasowali po Europie siejąc mord i pożogę. Armię rzymską, wysłaną by ich powstrzymać, roznieśli w strzępy. W końcu wkroczyli do Italii. Wydawało się, że nic nie zdoła ich powstrzymać, póki nie opanują samego Rzymu. Lecz jednemu z dowódców, Mariuszowi, udało się zgromadzić nową armię. Stawił czoła barbarzyńcom i unicestwił ich.

– No wiesz? Dziękuję ci... – Reinach usiadł, zbity z tropu. – Ale...

– Daj spokój... – Wargi Fourrégo skrzywiły się w uśmiechu. – Pogadajmy sobie jeszcze kilka minut. Pamiętasz tę noc, tuż po zakończeniu II wojny? Byliśmy chłopakami, tuż po partyzantce... Wałęsaliśmy się po uliczkach Paryża i piliśmy na cześć wschodzącego słońca z Sacré Coeur.

– Tak! A jakże! To była szalona noc! – Reinach roześmiał się. – Wydaje mi się, że było to wieki temu... Jak miała na imię ta twoja dziewczyna? Nie mogę sobie przypomnieć...

– Maria. A twoja Simone. Śliczna mała laleczka Simone. Ciekaw jestem, co się z nią stało?

– Nie wiem. Ostatnie słowo, jakie od niej usłyszałem brzmiało „Nie". Pamiętasz, jaki zakłopotany był kelner, kiedy...

Suchy trzask wystrzału przedarł się przez szum ulewy. W ślad za nim gniewnie zaterkotał karabin maszynowy. Jednym tygrysim susem Reinach znalazł się przy oknie, kryjąc się za jego framugą. W ręce trzymał rewolwer. Fourré nie ruszał się z miejsca.

Strzelanina przybliżała się i stawała coraz głośniejsza. Reinach odwrócił się. Wylot lufy jego rewolweru spoglądał pusto na Fourrégo.

– Słucham, Jacques.

– B u n t ? ! ! !

– Musieliśmy. – Fourré ze zdziwieniem odkrył, że znów może spoglądać Reinachowi prosto w oczy. – Sytuacja stała się krytyczna. Gdybyś ustąpił... Gdybyś chociaż zechciał przedyskutować tę sprawę... dałbym wtedy sygnał gwizdkiem i nic by nie nastąpiło. Teraz zaszliśmy już za daleko – chyba, że poddałbyś się. Jeśli tak – nasza propozycja pozostaje w mocy. Chcielibyśmy widzieć w tobie współpracownika.

Gdzieś w pobliżu eksplodował granat.

– Ty...

– Strzelaj. To i tak nie ma już znaczenia.

– Nie! – Muszka rewolweru opadła. – Nie, dopóki... Zostań tam, gdzie jesteś! Nie ruszaj się! – Reinach przetarł czoło ręką i wzdrygnął się. – Przecież wiesz, jak dobrze strzeżone jest to miejsce. Wiesz, że ci ludzie są po mojej stronie.

– Myślę, że nie. Uwielbiają cię, ale są zmęczeni i głodni. A gdyby nawet, to zaplanowaliśmy całą akcję na noc. Do rana wszystko będzie skończone. – Fourré mówił jak nie naoliwiony automat. – Koszary właśnie zostały zdobyte. Te dalsze odgłosy oznaczają, że przechwyciliśmy artylerię. Uniwersytet jest otoczony i nie wytrzyma szturmu.

– Ten budynek wytrzyma!

– A więc nie chcesz zrezygnować, Jacques.

– Gdybym chciał, nie byłoby mnie tu dzisiaj.

Okno otworzyło się z trzaskiem. Reinach odwrócił się, jednak człowiek, który wskakiwał do środka strzelił pierwszy. Do pokoju wpadł stojący przed drzwiami wartownik. Broń trzymał w pogotowiu, lecz nim zdążył jej użyć, już nie żył. Ciemno ubrane sylwetki o zamaskowanych twarzach wspinały się na parapet.

Fourré ukląkł obok Reinacha. – „Kula w głowę, przynajmniej szybko" – pomyślał. Czuł, że ma ochotę zapłakać. Zapomniał jednak jak się to robi.

Rosły mężczyzna, który zastrzelił Reinacha, zostawił swoich komandosów i razem z Fourrém pochylił się nad ciałem zabitego.

– Przykro mi, generale – wyszeptał. Słowa te z trudem przechodziły mu przez gardło, zwłaszcza że zdawał sobie sprawę do kogo je mówi.

– To nie twoja wina... – głos Fourrégo się załamał.

– Skradaliśmy się w cieniu, tuż pod ścianą. Dałem susa przez okno. Nie było jak wycelować... Nie miałem pojęcia, kto to, dopóki...

– Powiedziałem, w porządku. Obejmij dowództwo nad oddziałem i oczyśćcie budynek. Gdy go opanujemy, reszta natychmiast się podda.

Olbrzym skłonił się i wyszedł na korytarz.

Fourré pozostał, skulony u boku Jacquesa Reinacha. Seria kul zabębniła po zewnętrznej stronie muru. Dosłyszał ją jakby przez mgłę. Zastanawiał się coraz poważniej, czy przypadkiem, to, co się stało nie było najlepszym ze wszystkich możliwych rozwiązań. Teraz będą mogli zapewnić swojemu przywódcy pogrzeb z pełnymi honorami wojskowymi, nieco później wzniesie się pomnik człowiekowi, który uratował Europę i... Ale przekupienie upiora może okazać się niełatwe.

„Jednak muszę spróbować" – pomyślał.

– Nie opowiedziałem ci całej historii, Jacques – zaczął. Gdy skrajem skafandra ocierał krew z rany przyjaciela, wydawało mu się, że jego ręce należą do kogoś innego. – Myślę, że powinienem – ciągnął obcym głosem. – Może byś wtedy zrozumiał... może zresztą nie... Wiesz, Mariusz zajął się potem polityką. Stała za nim chwała jego zwycięstw, był najpotężniejszą postacią w Rzymie. Intencje miał jak najszlachetniejsze, tyle że na sprawach rządzenia nie znał się zupełnie. Nastąpił obłędny festyn przekupstwa, mordów politycznych, wojen domowych – pięćdziesiąt lat tego wszystkiego – i ostateczny upadek republiki. Cezar dał po prostu tylko swoje imię temu, co już się dokonało. Chciałbym wierzyć, że zaoszczędziłem Jacquesowi Reinachowi miana Mariusza.

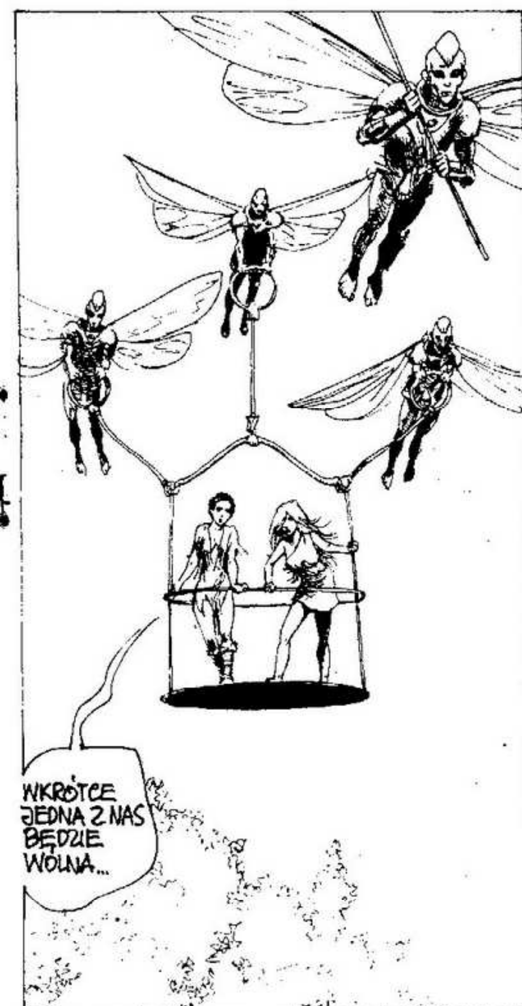
Deszcz zacinał ostro przez wybite okno. Fourré wstał i przymknął podkrążone oczy. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek uda mu się zamknąć także oczy swemu sumieniu...

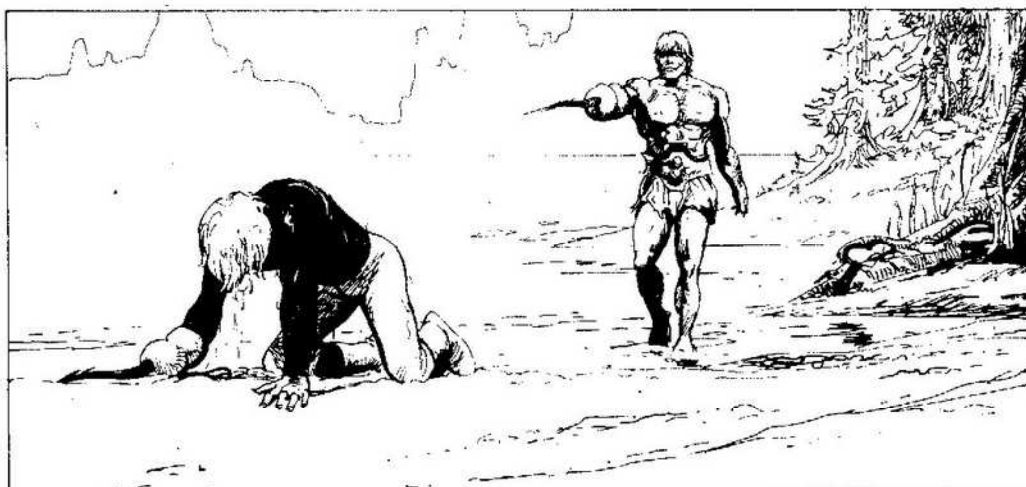
Przełożył Marek Urbański





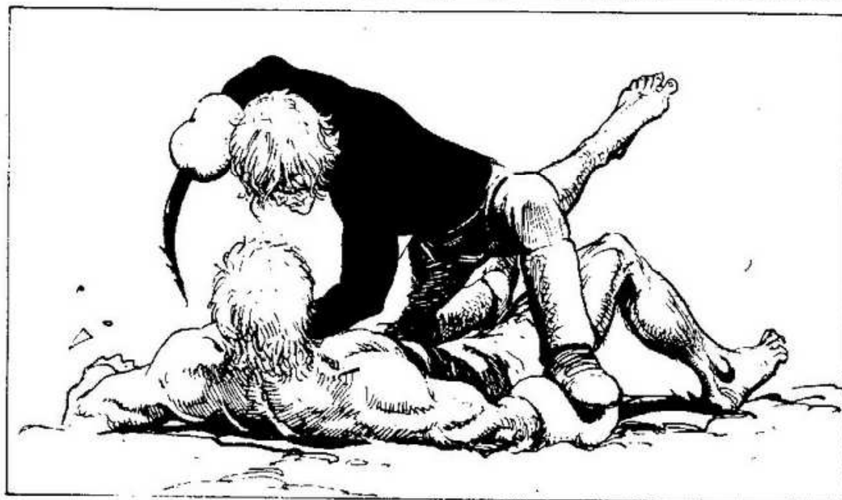

POWIETRZE, WODA, TERAZ DZIKI LAS... JEŚLI WALKA SIĘ PRZEDŁUŻY AŻ DO LASU...


WKRÓTCE JEDNA Z NAS BĘDZIE WOLNA...




ZAMKNIJ OCZY, PRZYJACIELU... NIE PATRZ NA MNIE, PROSZĘ CIĘ... TO NIE POTRWA DŁUGO!






WIDZISZ, NIE CHCĘ CIĘ ZABIĆ...
JA RÓWNIEŻ NIE... SŁUCHAJ, MOŻE SPRÓBOWAĆ UCIECZKI... DZIKI LAS...


UWOLNIJMY NAJPIERW KORDELIĘ I ORCHIDEĘ...










ZATRZYMAĆ ICH!
STÓJCIE! ZDRAJCY!
NIE DAJCIE IM UCIEC!

DZIĘKUJĘ, RABNIX... MYŚLISZ, ŻE TUTAJ BĘDZIEMY BEZPIECZNI?
BYĆ MOŻE... ISTOTY LEŚNE SĄ ZBUNTOWANE PRZECIWKO RZĄDOM KRÓLOWEJ ARDELII...


ZACHOWAJ SPOKÓJ! TO SĄ ISTOTY LEŚNE... JEŚLI SIĘ BĘDZIEMY SZAMOTAĆ, UDUSZĄ NAS!

YANS!
ROSINSKI & DUCHATEAU 30






MOI ZWIADOWCY POWIADOMILI MNIE, ŻE JESTEŚCIE ZBIEGŁYMI WIĘŹNIAMI... WYNOŚCIE SIĘ STĄD NATYCHMIAST!


JEŚLI NIE WRÓCICIE NA PLAŻĘ, ARDELIA ZAATAKUJE MÓJ LUD!


POZWÓLCIE NAM ZOSTAĆ... KRÓLOWA JEST RÓWNIEŻ NASZYM WROGIEM. MOŻEMY SIĘ WAM PRZYDAĆ! JA JESTEM SILNY A TEN CHŁOPAK TEŻ MA OGROMNE ZALETY!

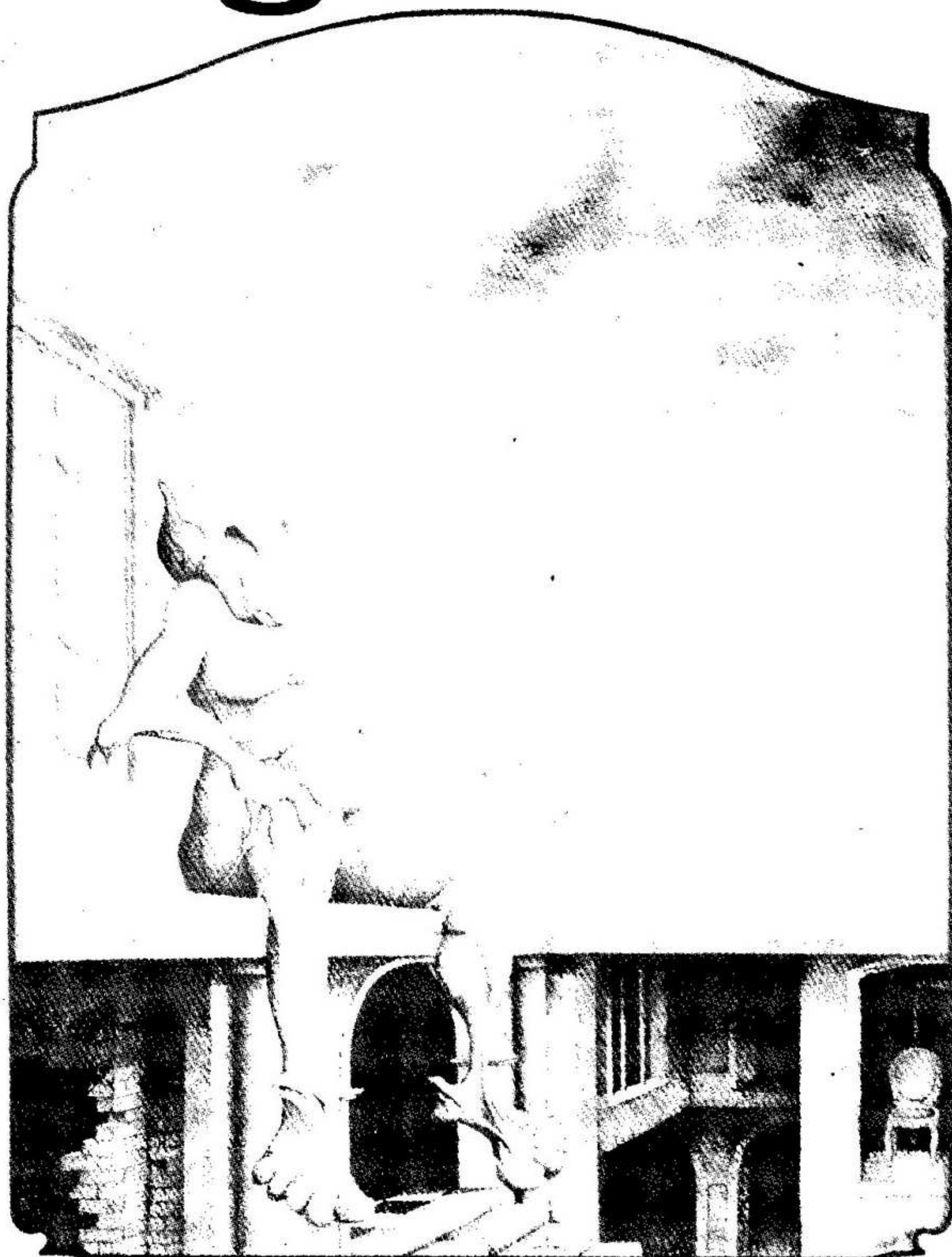

NIE! ZAWARLIŚMY PAKT Z KRÓLOWĄ, NIE MOŻEMY INGEROWAĆ W JEJ GRY... JEJ ZEMSTA BYŁABY NASZĄ ZGUBĄ... MUSICIE ODEJŚĆ!


SCHWYTAĆ UCIEKINIERÓW... ŻYWYCH! WYBIĆ LEŚNYCH JEŚLI SIĘ ODWAŻĄ PRZECIWSTAWIĆ!



Zbigniew Prostak

Olbrzym z gór



Góry stały ciche i ciemne. Tylko pokryte wiecznym śniegiem wierchy płonęły w promieniach słońca. Niżej stały się dywany kosodrzewiny, a tu i ówdzie odcinały się jasnymi plamami hale i niewielkie połoniny. Wszechwładnie królował tu chaos i dzikość.

Gorm przystanął na krawędzi urwiska i pochylony czujnie omiatał wzrokiem każdy załom, każdy krzak. Pod nim rozwierała się czeluść parowu, dnem którego płynął niewidoczny teraz spod mgły strumień. Do uszu wojownika dolatywał jedynie huk przebijającej się przez rumowisko wody. Spojrzał wyżej. Nie znał tych okolic. Zbyt daleko zapuścił się od pastwisk i łowisk swojego ludu.

Już dziewiątą dobę szedł uparcie tropem Wielkiego Górskiego Lwa, który od miesięcy szarpał im stada lam i alpak. Któregoś ranka rozdarł Cona – ulubionego psa Kri-i-ti, czarownika i kapłana plemienia. Nie zrobił tego z głodu. Tej samej nocy, nieco wcześniej rozszarpał tłustą lamę i nażarł się do syta. To były po prostu drwiny z bezradnych łowców. I tak to zrozumieli. Rada Starszych Plemienia kazała zabić Lwa. Ich wola była święta. Gorm, najlepszy łowca plemienia, poszedł tropem drapieżnika.

Życie w górach nie było lekkie. Ale na ogół głód nie zaglądał do kamiennych góralskich chat. I byli wolni. Tak, to najważniejsze. Byli wolni.

Na wschód od ich siedzib rozciągała się aż ku Wielkiej Wodzie kraina Atlantów. Szły stamtąd oddziały wojowników odzianych w błękitne tuniki. Nie był tam nigdy. Dochodziły do nich tylko wieści, niesione przez górski wiatr, wędrownych handlarzy i zbiegłych niewolników, o plecach pooranych razami bata. Starcy uczyli, że wrogiem człowieka jest Wuu, bóg mrocznych podziemi, i Atlanci.

Pierwsze promienie wschodzącego słońca padły na krawędź urwiska. Dopiero teraz można było dostrzec wspaniałe mięśnie młodego wojownika i brąz opalenizny. Ogromnego wzrostu, o rozrosłych ponad zwykłą miarę barach, stosunkowo szczupłej talii i biodrach. Sprawiał wrażenie groźnego i takim był w istocie, pomimo młodego wieku. Nagą pierś oznaczoną trzema plemiennymi bliznami przecinał rzemień, na którym zarzucony przez plecy wisiał kołczan. Biodra opinał szeroki pas nabijany mosiężnymi płytkami, przy którym wisiał miecz o szerokim ostrzu i skórzana podróżna torba. Trzymany w lewej ręce łuk z rogu i zatknięty za pasem nóż dopełniały uzbrojenia. Ciemne włosy opinała tuż nad czołem plecionka ze złocistego oryszalku. Spod niej patrzyły na świat niebieskie oczy.

Gdzie mógł schronić się kuguar? Wielki Kot był przebiegły. Wielki Kot był mądry. Wlókł za sobą łowcę jakby od niechcenia bawiąc się z nim i drwiąc. Trop czasem znikał na długo wśród skał, by nagle pojawić się bliski i wyraźny.

Lew Górski nie uciekał przed człowiekiem. Czasem Gorm po bezskutecznym tropieniu odnajdywał jego świeże ślady wokół obozowiska i noclegu. Nie napadał. Najwyraźniej czekał na sposobną do porachunków chwilę.

Człowiek był jednak zbyt doświadczony, by dać mu okazję. Na nocleg obierał trudno dostępne szczeliny i osłaniał się ogniem. Zwierzę czekało cierpliwie.

Jeszcze raz rozejrzał się bacznie i zaczął schodzić w głąb parowu. Ręką podtrzymywał klingę, by nie uderzyła o kamień. Choć jeszcze młody, miał prawo noszenia miecza. Pochodził z rodu władców. Jego ojciec, Wielki O-gorm, władał tą górską krainą i setkami mężnych wojowników.

Wąska ścieżyna, trudna do sforsowania nawet dla górala, zawiodła go nad skraj potoku, niewielką, piaszczystą łachę, stratowaną dziesiątkami racic.

Przyklęknął na jedno kolano i zaczerpnął dłonią wody. Pił chciwie, kiedy dobiegł go szmer. Skoczył na równe nogi z mieczem w dłoni, gotów do natychmiastowej obrony. Woda srebrnymi kroplami ściekała mu z nagiej piersi.

W odległości może dwustu kroków, na niewysokiej skale stał Wielki Kot. Prężył leniwie swoje płowe cielsko wlepiając zielonkawe ślepia w człowieka. Długi ogon nerwowo wił się po skale. Stali tak długą chwilę mierząc się wzrokiem.

Wreszcie kuguar, jakby znudzony przedłużającą się sceną dał za wygraną. Parsknął pogardliwie i jednym susem znikł za zakrętem. Widocznie nie nadeszła jeszcze pora.

Gorm powoli opuścił miecz i dobył strzały. Trzymając napięty łuk ruszył bezszelestnym krokiem górala.

Za zakrętem parów rozszerzał się nieco. Ściany były tu i ówdzie poprzecinane głębokimi szczelinami i pęknięciami. W każdej z nich mógł się przyczaić Wielki Kot.

Nie. Wielki Kot był na to za mądry. Wiedział, że w pełnym świetle nie ma najmniejszych szans. Nie napadnie teraz.

Łowca nagle usłyszał ciche stuknięcie. Stanął nadsłuchując, ale stuknięcie się nie powtórzyło. Cóż to? Zwodzą go Duchy Gór? Nie. W najbliższej szczelinie coś drgnęło. Dobył miecza. Na ścieżkę, na czworakach wypełzł człowiek, ubrany w szatę niegdyś błękitną, teraz brudną i postrzępioną. Wokół łysej czaszki wianuszkiem rozwiewały się pasma siwych włosów. Twarz przycisnął do kamieni.

– Nie zabijaj mnie, panie! Jestem twoim przyjacielem – zaskrzeczał w języku O-kula, którego używali Atlanci w rozmowach z jego plemieniem.

– Przyjacielem? Kim jesteś, starcze? – spytał Gorm pochylając się ku niemu.

– Rozumiem twoją mowę, panie! – zagadał szybko starzec. – Jestem Shanon. Mag.

– Atlanta?

– Nie, panie... tak, panie... Byłem Atlantą, choć nie pełnej krwi. Moja matka pochodziła z rodu Sem. Uciekłem z Roodtl. Jestem Magiem, panie.

– Ty? Magiem? – Gorm spojrzał zdumiony. – Łżesz. Magów nie ściga się jak zwierzęta. Jesteś Atlantą. Musisz zginąć. – Podniósł miecz.

– Nie zabijaj, panie! Zaczekaj! Boisz się Atlantów?

– Nie boję się nikogo.

– Słusznie. Jesteś wielkim wojownikiem. Po co ci moja śmierć, panie? Uciekłem z Roodtl.

– Co to jest Roodtl?

– To miasto, panie. Duże miasto. Uciekłem tym psom i właśnie chciałem iść w góry. Do O-gorma. Jesteś jego poddanym panie? Popatrz, co zrobili ze mną Atlanci.

Dopiero teraz Gorm dostrzegł, że starzec jest skuty. Przeguby otaczały żelazne obręcze połączone długim łańcuchem. Nie przeszkadzały zbytnio skutemu, ale były widocznym znakiem niewoli. Opuścił miecz i zawahał się. Co plecie ten stary? Uciekał do O-gorma? Nie, on po prostu łże ze strachu. Co prawda zbiegowie z krainy Atlantów chronili się czasem w jego ojczystych górach. Jeśli Atlanci zakuli starca w kajdany, więc to ich wróg. A wróg Atlantów to przyjaciel jego i jego plemienia. Zdecydował.

– Spróbuję uwierzyć ci, starcze. Pokaż kajdany,

Starzec skwapliwie wyciągnął ręce ku wojownikowi.

– I w tych łańcuchach udało ci się przejść przez góry? – W głosie młodego wojownika znów zadrgało podejrzenie.

– Tak, Ozdobo Gór. Jestem skuty już od sześciu księżyców. Nie pilnowali mnie zbyt pilnie, nie wierzyli, że ucieknę. Po prawdzie to i ja nie bardzo w to wierzyłem. Ukradłem konia. Padł mi daleko stąd. Wierz mi – potrząsnął okowami patrząc w oczy młodemu łowcy.

Gorm wzruszył potężnymi ramionami. Przez chwilę obmacywał kajdany i nagle jednym ruchem rozerwał łańcuch, jakby to była nitka. Bez najmniejszego wysiłku.

– Pierścienie muszą zostać. Rozkujesz je potem. Teraz ruszaj.

– Jak to ruszaj? Dokąd ruszaj?

– Do O-gorma.

– A ty, wojowniku?

– Jestem na tropie Wielkiego Lwa. Muszę go zabić.

– Zabierz mnie ze sobą. Stary Shanon ci się przyda.

– Na co?

– Znam tajemne zaklęcia. Na pewno ci pomogę. Dzięki zaklęciom uciekniemy tym psom w niebieskich tunikach.

Gorm zastanowił się. Mimo wszystko stary był podejrzany. Uciekł w kajdanach? Przez dzikie górskie bezdroża? Nie ścigali go?

– Nie wysłali za tobą pogoni?

– Wysłali. A jakże. Ciągną gdzieś tam – starzec wskazał gestem za siebie. Gorm położył dłoń na rękojeści miecza.

– W takim razie w drogę, stary człowieku.

– Słusznie, panie! W drogę. Do O-gorma!

– Nie!

– Jak to nie? Dlaczego nie? Jesteś przecież, panie, góralem?

– Nie. Już ci mówiłem. Muszę wpierw zabić Wielkiego Górskiego Lwa. Jestem od wielu dni na jego tropie.

– Co ci teraz po Kocie? Musimy uciekać.

– To ty musisz uciekać. Ja muszę zabić Lwa.

– Wierz mi, dokończysz polowania w sposobniejszym czasie. Teraz wystarczy, że na nas polują Atlanci. A to nieźli myśliwi, ja ich znam. Musimy jak najprędzej dotrzeć do Księcia Gór.

– Nie! Najpierw Górski Lew.

– A niech cię... To jest, trudno, skoro tak się uparłeś. – Starzec z politowaniem pokiwał głową. – Musisz, to musisz. Wobec tego polujmy.

Opuścili parów tą samą drogą, którą przed niespełna godziną zszedł Gorm. Młody wojownik uważnie obserwował skaliste podłoże w poszukiwaniu tropu wielkiego drapieżnika. Był pewien, że zwierzę jest gdzieś w pobliżu. Stary Shanon mrucząc coś pod nosem podążał za nim.

Szli ostro. Młody wojownik z pozoru nie zwracał uwagi na swego towarzysza, forsując tempo według własnych, zdawałoby się niespożytych sił. Słyszał coraz cięższe posapywanie starca, nie zwolnił jednak. Chciał wiedzieć z kim ma do czynienia i w jakim stopniu może liczyć na jego siły i wytrzymałość. W to, że stary jest Magiem, nie wierzył ani przez chwilę.

Mijali właśnie ostry zakręt wąwozu, w który przed chwilą weszli, kiedy Shanon chwycił go za łokieć.
– Nie tędy, wojowniku. Nie podoba mi się ta droga.
Gorm przystanął zdziwiony, oglądając się jednak czujnie na boki.
– Czego? – warknął.
– Stój, Światłości Moich Źrenic. A niech cię, to jest, chciałem powiedzieć... Stój, wojowniku! Te skały źle mówią.
– Skały nie mówią – burknął Gorm. Był wściekły. Co za bogowie podrzucili mu tego niedołęgę i tchórza? – Skały nie mówią. Do skał trzeba mówić. W swoim Roodtl może i byłeś Magiem. Tu jesteś niczym...
– Uspokój się, Najwspanialszy z Wojowników – zaskamlał stary. – Nie chciałem cię urazić, ale zaufaj mi chociaż raz. Co za prostak – zamruczał w gęstwinę brody. – Zaufaj. Tu gdzieś jest niebezpieczeństwo. Ja wiem... Ja...
Nie przebrzmiało to „ja", kiedy zza zakrętu wychynęła trójka obcych wojowników. Atlanci! Byli oddaleni zaledwie o dwieście kroków i mieli w rękach miecze. To byli wojownicy państwa, które zawojowało świat. Nie mieli równych w walce i wiedzieli o tym, dlatego nie znali strachu.
Gorm był doświadczonym łowcą. Zbyt doświadczonym, by nie zrozumieć, że nie ma szans. Nadchodziła jego ostatnia walka. Stary Shanon nie mógł mu tu nic pomóc. Wprost przeciwnie, był tylko zawadą. Odepchnął go za siebie i dobył miecza.
Pierwszy z Atlantów, którego twarz prawie w całości zasłaniał okap srebrzystego hełmu, uniósł lewą dłoń w geście powitania.
– Nie mamy nic do ciebie, wojowniku z gór. Ale ten niewolnik jest nasz. Oddaj go nam i ruszaj w swoją drogę.
Gorm nie raczył odpowiedzieć. Spoglądał spode łba na przeciwników. Tak. Nie mógł im sprostać w żadnym wypadku. Trzeba zginąć. Ale te psy muszą zapamiętać na zawsze, że walczyli z Gormem, synem O-gorma, Władcy Gór. O wydaniu Shanona nawet nie pomyślał. Uśmiechnął się drwiąco.
– Chodźcie i weźcie go sobie.
Atlanci zbliżali się wolno wysunąwszy przed siebie miecze. Gorm tkwił nieporuszony jak gdyby zamienił się w skałę. Za nimi ciągnął się parów o niskich, choć stromych zboczach. Jak ściany grobowca. Tak, to chyba będzie jego grobowiec. Ale i wrogów.
Za plecami Gorma szeptał coś ochryple Shanon.
– O Jahwe! O Anathe! O Sem... Niech...
Gorm nie modlił się. Gorm czekał. Wpatrywał się w nienawistne hełmy wrogów swego plemienia i ich błękitne tuniki. Dyszał z niecierpliwości i nienawiści, chciał walki. Gdyby jakiś bóg dał mu możność ucieczki, naplułby mu pod boskie stopy.
I wtedy wmieszał się Wielki Kot. Rozległo się wściekłe parsknięcie, a potem górami przetoczył się dziki ryk. Potężne płowe cielsko wylądowało na środkowym napastniku. Rozległ się chrzest miażdżonych kości i wojownik runął twarzą do przodu. Pozostali błyskawicznie zwrócili się ku nowemu wrogowi. Wtedy skoczył Gorm. Jednym ciosem miecza odwalił głowę Atlanty, aż krew trysnęła na ścianę wąwozu i zwarł się z ostatnim. Ten jednak był doświadczonym szermierzem. Przyjął atak na tarczę i sam pchnął, mierząc w brzuch Gorma. Młody łowca z trudem odparował pchnięcie i pochylony do przodu nie mając miejsca na ponowne użycie miecza, z całej siły uderzył przeciwnika gołą pięścią w hełm. Atlanta runął z głuchym stęknięciem. I już było po walce.
Teraz Gorm rozejrzał się za Wielkim Kotem. Ale ten znikł tak nagle, jak się pojawił. Shanon klęczał ukrywając twarz w dłoniach.
– Wstań! – Gorm trącił starego końcem miecza. – Już po wszystkim.
– O bogowie! – Stary Shanon dźwignął się z wysiłkiem. Spojrzał z odrazą, ale i mściwą radością na pomordowanych.
– Zatłukłeś ich jak ślepe szczenięta, wojowniku z gór. Ocaliłeś mi życie. Shanon ci tego nigdy nie zapomni.
Gorm wzruszył ramionami i pochyliwszy się otarł skrwawiony miecz o tunikę najbliżej leżącego Atlanty. Rozejrzał się i uniósł lewą rękę ku górze.
– Dziękuję ci, Wielki Kocie. Gorm, syn O-gorma jest twoim przyjacielem. Zejdę z twego tropu. Nie zabija się przyjaciół.
– Tak, tak – zagadał Shanon. – Ten kociak przysłużył nam się. Teraz do waszych siedzib.
– Nie.
– Dlaczego? Przecież powiedziałeś, że schodzisz z tropu kuguara?
– Nie zabiłem Wielkiego Kota i nie zabiję. Nie wykonałem rozkazu Rady Starców. Nie wrócę do swoich, dopóki nie dokonam czegoś wielkiego. Nie mógłbym teraz stanąć przed obliczem O-gorma. Rozkaz Starców to rzecz święta.
– Dużo jeszcze masz tych „nie", wojowniku? O bogowie! I co ja teraz pocznę? Co więc zamierzasz, Wodzu?
– Ziemia jest wielka i wiele na niej ludów. I krain. Pójdziemy tam.
– Pójdziemy... pójdziemy. Pewnie, że pójdziemy. Ale dokąd mamy pójść? Co ma robić biedny Mag z rodu Sem? Idę z tobą. Przecież cię nie opuszczę. Wnet dopadliby mnie pozostali.
– Jacy pozostali?
– Tacy. To nie jedyna trójka, jaką za mną wysłali. Jest ich jeszcze kilkunastu, a nie chciałbym dostać im się w łapy.
– Kilkunastu? Na ciebie?
– A tak, Ozdobo Gór. Oni wiedzą, jaki jestem niebezpieczny dla nich, będąc na wolności.
– Kto oni?
– Krąg Rady Magów z Roodtl. Byłem jednym z nich dopóki... Ech.. To cię nie interesuje...
– Ty? – Gorm nie ukrywał niedowierzania. – Porozmawiamy o tym później. Teraz w drogę. Idziemy.
– Jeszcze chwilę, Gormie. Pozwolisz, że będę ci tak mówił? – Stary odzyskiwał siły i tupet. Roześmiał się zgrzytliwie i pochylił nad jednym z leżących.
– Ulżę mu cokolwiek. Umarłym to i tak niepotrzebne.
Odpasał zabitemu ozdobny pas z wiszącą przy nim pochwą z jaszczurczej skóry i podniósł leżący opodal miecz.
– Wprawdzie wolę walczyć głową niż tym drągiem – zachichotał – ale i to potrafię. Jeszcze torba, też mu niepotrzebna. No, teraz możemy już iść, Wodzu. Naprzód, Wielki Gormie, synu Wielkiego O-groma.
Gorm bez słowa odwrócił się doń tyłem i przeskakując zabitych ruszył w głąb parowu. Chciał odsadzić się od miejsca potyczki jak najdalej. Nie obchodzili go zresztą teraz ani Atlanci, ani Wielki Kot.

W pełgających odblaskach ogniska ledwie majaczyły załomy jaskini. Na końcach stalaktytów zapalały się migotliwe iskierki gaszone strzępami sinoburego dymu. Pustka. Nawet wszędobylskich nietoperzy tu brakło.
A jednak ta jaskinia widziała wiele. Gdyby umiały mówić jej okopcone setkami ognisk ściany. Niestety, nie mówiły do śmiałków ani zagadkowymi hieroglifami, ani odciskami umazanych sadzą rąk, ani naskalnym rytem, scenami z rytualnych tańców czy polowań. Jednak Shanon czuł się tu nieswojo.
Od ścian ciągnął przenikliwy, zimny wiew. Z wnętrza jaskini bił wszechmocny, wszechogarniający strach.
Wyczulone zmysły Maga odbierały sygnały niebezpieczeństwa. Niewiele mogła nań poradzić obecność olbrzymiego wojownika, z rozkoszą grzejącego się przy ognisku podsycanym zbutwiałymi kośćmi ludzi i zwierząt. Innego paliwa w jaskini nie było. Mag czuł, że niebezpieczeństwo jest blisko. Jakie? Skąd?
Olbrzymi Gorm nie zaprzątał sobie głowy bzdurami. Wystarczało mu ciepło i uczucie sytości. Tuż przed wieczorem i znalezieniem jaskini powalił celną strzałą rosłego kozła i teraz woń kapiącego w ognisko tłuszczu sprawiała, że czuł się przyjacielem całego świata, wyjąwszy wojowników spod znaku Trzech Świętych Gór. Czuł się zupełnie bezpieczny.
Shanon starał się przywołać na pomoc całą swoją tajemną wiedzę. Byle tylko wyrwać się stąd. Nie będzie przecież przez całe życie we władzy tego młodego barbarzyńcy. Znajomość, a nawet zażyłość z synem księcia O-gorma jest, jeśli już nie zaszczytem, to w każdym razie czymś, co warto i trzeba kontynuować. Trzeba tylko nim odpowiednio pokierować, co nie powinno być trudne. A jednak?...
Gorm też rozmyślał. Nie upolował Wielkiego Kota. Wielki Kot jest mądry. Ocalił im życie. Nie zabija się kogoś, kto ocala nam życie, walczy za nas. Ale jednak rozkaz Rady Starców rzecz święta. Nie wykonał go i nie wykona. I co teraz? Ano... Świat jest szeroki. Jeżeli tak postanowili bogowie, to nie powróci już nigdy na pastwiska ojców. Pójdzie z tym szalbierzem Shanonem w obce krainy.
A tymczasem stary szalbierz zadumał się mocno. Wygodnie tu i spokojnie, mimo iż duchy tych, których kośćmi podsycają ognisko, z całą pewnością nie są z tego zadowolone. Mogą chcieć zemścić się na śmiałkach. Może jednak lepiej było pozostać na zewnątrz. Mimo woli podniósł wzrok ku wejściu i zmartwiał. Tam panował już prawie mrok, ale na jednak nieco jaśniejszym tle nieba dostrzegł niebieskawe tuniki Atlantów. Popatrzył na nich jak na zjawy nie z tego świata. Bogowie! Jednak trafili na ich trop. Teraz wszystko stracone.
Nie doceniał jednak Gorma. Ten nie tracił czasu na analizę sytuacji czy zbędne pytania. Nie; po prostu skoczył. W półobrocie chwycił miecz i nim trójka napastników zdążyła się zastawić tarczami już jeden z nich wił się na kamiennej posadzce z rozpłataną głową. Dwaj pozostali uskoczyli na boki i zaatakowali jednocześnie, nie zwracając uwagi na starca. I to ich zgubiło. Shanon bowiem pod wpływem strachu zdobył się na niezwykły wyczyn.

Dobył miecza i z wysiłkiem rzucił nim w plecy najbliższego Atlanty. Wojownik odwrócił się zdumiony. To wystarczyło, by jego głowa potoczyła się po warstwie kości. Trzeci z Atlantów nie czekał na swoją kolej. Z wykrzywioną przerażeniem twarzą runął do wyjścia z jaskini gubiąc po drodze hełm i tarczę.

– A mówią, że Atlanci nigdy nie uciekają – mruknął Gorm obojętnie ocierając miecz o tunikę zabitego. Shanon z otwartymi ustami łapał spazmatycznie powietrze. Powoli jednak doszedł do siebie. Podniósł ku oczom obie ręce i przyjrzał im się uważnie.

– O synu O-gorma! – zwrócił się do wojownika. – Czy ja naprawdę przelałem krew tego człowieka?

– E, tam – mruknął lekceważąco Gorm. – Podrapałeś go tylko po plecach, ale dzięki i za to. Przynajmniej starczyło ci odwagi. Zresztą sam bym ich wykończył. Łatwo umierają.

Przerwał, bo z zewnątrz doleciał przerażający krzyk mordowanego człowieka i krótki, gniewny ryk kuguara. Shanon padł na kolana i wyciągnął ręce ku wyjściu z jaskini.

– O Anathe! – Wielki Kot poluje... Już teraz nie wydostaniemy się stąd. Nie wyjdziemy żywi.

– Wyjdziemy? Teraz? Po co? – Gorm był zdumiony.

– Jak to po co? – starzec wskazał na zabitych. – Chcesz nocować w ich towarzystwie?

– Nie – roześmiał się młody góral. – Tylko to nie my wyjdziemy, lecz oni...

Ujął pod ramiona leżącego najbliżej.

– Stój! Co chcesz zrobić? – Shanon zerwał się z klęczek i zamachał w oburzeniu rękami.

– Po prostu wyrzucić ich stąd. Sam mówiłeś...

– Mówiłeś... mówiłeś. Zaczekaj. Jednak młodość jest głupia. Mają przy sobie wiele rzeczy, które mogą się nam przydać. Wielkiemu Kotu i Duchom Gór nie są potrzebne torby, tuniki. Ani zawartość ich sakw.

Młody wojownik puścił trupa i wzruszył ramionami.

– Gorm nie obdziera swoich wrogów.

– Bo głupi.

– Jeżeli chcesz, to sam ich przeszukaj. Tylko pospiesz się. Jestem śpiący.

– Dobra, dobra. – Stary Mag już zupełnie przyszedł do siebie. Z wprawą rzezimieszka zaczął przetrząsać im ubiory. Odpiął bogato zdobione pasy wraz z pochwami mieczy i podróżnymi sakwami, potem zaczął rozsznurowywać sandały.

– Taki człowiek jak ja nie może chodzić boso, jak pierwszy lepszy góral, choćby syn księcia...

– Co mówisz? – bez zainteresowania spytał Gorm.

– Nic, nic, Ozdobo Gór. To takie zaklęcia, aby nie mściły się na nas ich duchy.

– Psy nie gryzą po śmierci.

– Nie masz racji, wojowniku. Nie drwij z duchów. – Shanon spoważniał. – Żywym nie przepuszczaj, ale zmarłych czcij, choćby byli twoimi wrogami. Tfu... Teraz możesz już wyrzucić to ścierwo. Niech ich...

Gorm pochylił się i ujął za fałdy tunik oba trupy. Dźwignął je bez specjalnego wysiłku, jakby miał do czynienia ze słomianymi kukłami, a nie rosłymi wojownikami.

– Głowę wyrzuć sam – uśmiechnął się drwiąco – albo sobie zostaw na pamiątkę. A może przyda ci się do twoich magicznych praktyk? Co, Shanonie Magu?

Stanął u wejścia do jaskini i z rozmachem cisnął zwłoki po kolei przed siebie. Słyszał jak staczają się z chrzęstem po kamienistym zboczu, by zatrzymać się na dnie rozpadliny. I wtedy rozległ się znów ryk Wielkiego Kota.

– Jeszcze tu jest – jęknął Shanon. – Czego ten demon tak się do nas przyczepił? Mało mu krwi?

– Może i mało – wzruszył ramionami Gorm. – Spać mi się chce.

Podniósł głowę Atlanty za włosy. Chwilę przypatrywał się jej z obrzydzeniem i wreszcie cisnął w głąb jaskini.

– Leży tam tyle starych, że i jedna świeża się zmieści – mruknął. Idziemy spać, starcze.

Gorm zasnął prawie natychmiast, ale stary Mag wiercił się długo wpatrzony w żar dogasającego ogniska. Nie przywykł do sypiania na gołych kamieniach ze stertą szkieletów i niedawno uciętą głową w sąsiedztwie. Ale i jego zmorzył w końcu sen.

Obudziło go głuche stęknięcie. W pierwszej chwili nie mógł zorientować się czy głos ten doleciał z głębi jaskini, czy też jest to resztka ciężkiego, pełnego zmór snu. Przerażony spojrzał na Gorma. Młody góral nie spał. Na wpół uniesiony, z dłonią na rękojeści miecza spoglądał czujnie w głąb jaskini. Przespali już chyba noc, bo przez otwór wejściowy wlewały się blaski wczesnego poranka. Tu, w jaskini panował jeszcze mrok.

Głos nie powtórzył się już, ale wyczulony instynkt Maga bezbłędnie wyczuwał zbliżające się niebezpieczeństwo. Gorm wstał bezszelestnie i przyłożywszy palec do ust, oczami wskazał na leżący na kamieniach zdobyty na Atlancie miecz. Shanon skinął głową. Podniósł się, również starając się nie czynić hałasu i ujął oręż. Lecz czy starzec nie był dostatecznie zręczny, czy obsunął się jakiś kamień, dość że rozległ się wyraźny brzęk. Zastygli obaj w bezruchu. Ale w głębi jaskini trwała niczym nie zmącona cisza i bezruch. Nadsłuchiwali jeszcze długą chwilę. Nic. Żadnego szmeru. I wtedy właśnie z czarnej pustki bezgłośnie wyleciał jakiś okrągły przedmiot. Upadł dwa kroki od nich. Stary Shanon wrzasnął przeraźliwie. Przed nimi, szczerząc zęby i błyszcząc w mroku białkami oczu, leżała odcięta głowa Atlanty.

Gorm nie patrzył na nią. Całą uwagę skierował na gęstą czerń wnętrza jaskini, skąd przyleciał upiorny podarunek. Lekko pochylił się do przodu i wysunął miecz. Czekał na atak. Nie bał się ani trochę. Nie bał się nigdy nikogo i niczego. Duchów ani ludzi. Ale przed tymi pierwszymi czuł pełen szacunku respekt.

Tymczasem w jaskini panowała niczym nie zmącona cisza. Tylko głowa Atlanty szczerzyła zęby w bezgłośnym uśmiechu, jakby drwiąc ze swego zabójcy.

Gorm zaczął powoli wycofywać się w kierunku wyjścia. Stary Mag starając się wiernie naśladować ruchy wojownika i wcale zręcznie dzierżąc miecz, uczynił to samo.

Wtedy za ich plecami rozległo się groźne parsknięcie. Gorm błyskawicznie zrobił półobrót opierając się jednocześnie plecami o kamienną ścianę. Shanon zmartwiał. W pełnym świetle poranka, zagradzając im drogę na zewnątrz stał Wielki Kot.

Gorm szybkim jak myśl ruchem ręki puścił miecz w troki i zerwał z pleców łuk. Dobył strzały, naciągnął cięciwę i... opuścił broń. Wielki Kot ocalił im życie. Wielki Kot był ich przyjacielem i sprzymierzeńcem. Nie wolno zabijać Wielkiego Kota.

Znaleźli się w pułapce. Specjalnie wolnym ruchem, nie spuszczając wzroku ze zwierzęcia, Gorm umieścił strzałę w kołczanie i oparł się na łuku. Shanon stał jak słup. Stary Mag umiał i mógł jeżeli nie siłą, to chytrością i znajomością zaklęć walczyć z duchami i ludźmi. Wobec dzikich zwierząt był całkiem bezradny. Owszem, wiedział, że są w Atlantydzie Magowie wyższego wtajemniczenia, którym podporządkują się zwierzęta i wszystko co żyje. Niestety, miał niski, bardzo niski stopień wtajemniczenia. Właśnie sięgnięcie do pilnie strzeżonych tajemnic Magów Ostatniego Kręgu spowodowało jego uwięzienie.

Wielki Kot tymczasem, jakby znudziło mu się wyczekiwanie i niezaradność dwunogich istot przestał zwracać na nich uwagę. Leniwie odwrócił się bokiem i zupełnie już nie patrząc na ludzi położył płowy łeb na wyciągniętych łapach i zapatrzył się gdzieś, gdzie wstawał jasny, pogodny dzień.

Shanon opuścił miecz.

– I co teraz? – spytał obserwując jednocześnie z obawą nieruchome płowe cielsko drapieżnika. – Idziemy walczyć z kuguarem?

– Nie, Wielki Kot to przyjaciel. Walczył za nas. Gorm nie krzyżuje miecza z przyjaciółmi.

– Więc co?

Olbrzym wzruszył obojętnie ramionami.

– Nie wiem. Może Wielki Kot odejdzie jak zgłodnieje?

– Nie odejdzie – zamruczał Shanon. – Nażarł się atlantydzkiego ścierwa. On nie chce byśmy opuścili jaskinię. A może tam w głębi ma swoje legowisko? Może tam czeka na niego samka?

– I samka kuguara rzuca w nas martwą głową?

– Masz rację, wojowniku. Tam jest człowiek. – Starzec jakby otrząsnął się ze strachu. – Głowy zabitych Atlantów nie fruwają same.

– Syn O-gorma nie lęka się ani duchów, ani ludzi. Ale nie będzie walczył z Wielkim Kotem ani jego braćmi. Idziemy tam – wskazał ciemną czeluść jaskini.

– Nie! – Starzec podniósł głos do krzyku, zapominając o zwierzęciu. Kuguar parsknął ostrzegawczo. Odwrócił łeb ku ludziom.

– Tak, tak – zagadał pośpiesznie, cofając się odruchowo. – Zgoda. Masz rację. Idziemy tam. Jak chcesz głupcze... to jest... Niech ci będzie, wojowniku. Ale tam ciemno...

– Zrobimy światło. – Góral wskazał na leżący pod ścianą stos, który uszedł jakoś uwagi Maga. Teraz ledwie powstrzymał się od okrzyku. To nie były kości. To były rzucone bezładnie na kupę łuczywa, jakby specjalnie dla nich przygotowane. A może nie dla nich, może dla tych, którzy często korzystali z tej drogi? Shanon poczuł się raźniej. Duchy nie potrzebują światła. Tam są ludzie, a tych bał się obecnie nieporównanie mniej, wierząc w siłę i zręczność młodego górala.

Gorm wydobył z sakwy krzesiwo i skrzesał ognia. Łuczywo zajęło się od razu, płonąc jasnym płomieniem. Wielki Kot ani drgnął. Nie zwracał na nich uwagi. Zatarasował wyjście i to mu wystarczyło.

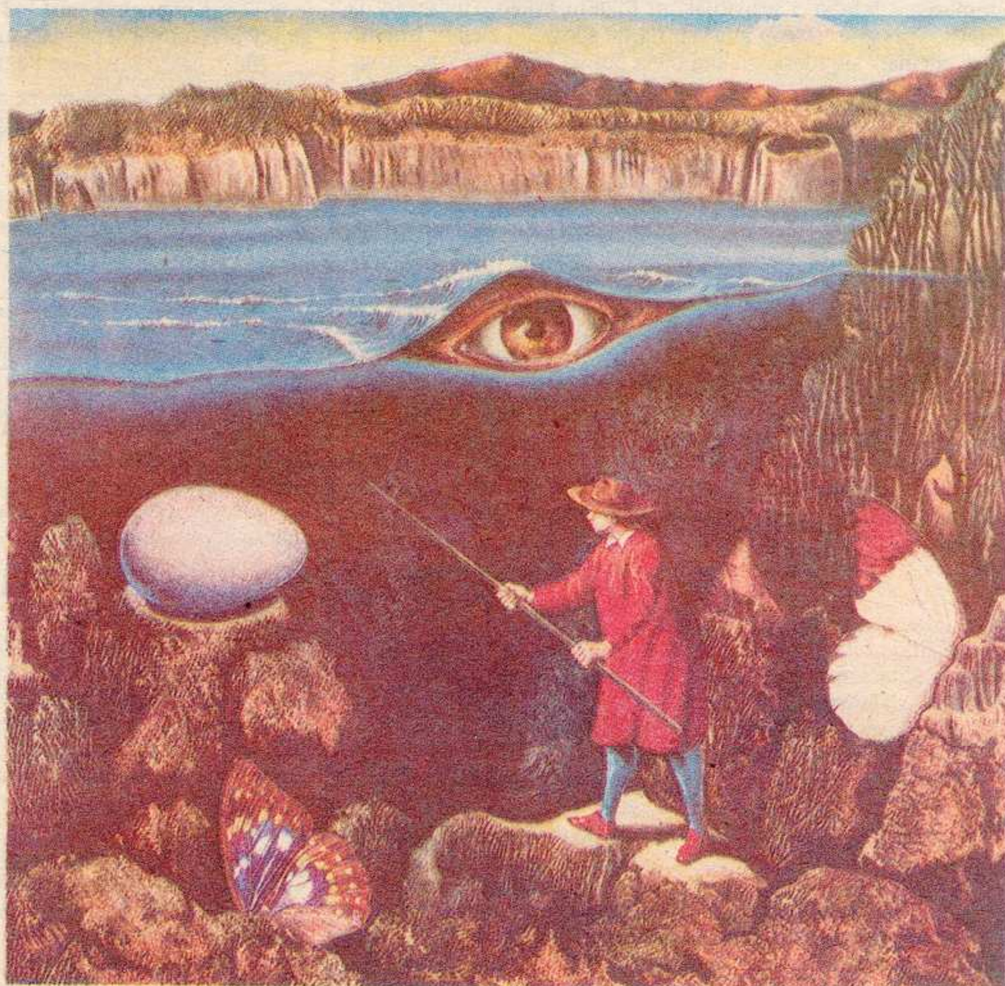
SEIJI NAKAMURA –
Ilustracja
książkowa

GALERIA



HIDEO YAMASHITA –
DM Pamphlet

SHIRO NISHIGUCHI – Ilustracja prasowa



GALERIA

TADAMI YAMADA – Album autorski

gepo, a on, Shanon, ma mu w tym pomóc. Co to może być? Trzeba się tego dowiedzieć za wszelką cenę. Koniecznie! Spojrzał na Gorma.

Góral spał beztrosko. Nieprawdopodobne! Po takich przejściach i w takim położeniu spać? A może coś w jedzeniu? Nie. Przecież jadł to samo co i Gorm i nie czuje wcale senności. Widocznie ten osiłek ma nerwy jak postronki. Może to i lepiej. Niech się prześpi. Tego co teraz będzie robił nie powinien oglądać nikt, nawet Gorm.

Wydobył spod tuniki niewielki, skórzany woreczek. Podszedł do stołu i odsunął tacę. Na jeden z rogów nasypał odrobinę zielonego proszku. Schował starannie woreczek i ująwszy jeden z pucharów ulał z niego kilka kropel wina na proszek. Rozległ się głośny syk, Shanon cofnął się o krok do tyłu i czekał. Z kupki proszku zaczął unosić się dym. Cieniutką strużką biegł ku górze, by tam rozlać się w ulotną, seledynową mgiełkę. W komnacie zaśmierdziało jakby siarką i piżmem. Dym, chociaż znikła już prawie kupka zielonego proszku, sączył się nadal. Już zaczęły zacierać się kontury sprzętów, wejścia...

...Sala nie miała końca... Podłogę zaścielały strzępy jakichś łachmanów i kości... Całe góry kości... Czaszek, piszczeli, żeber. Gorm stał rozkraczony ze zbrukanym krwią mieczem wzniesionym do ciosu... Z jego lewego boku wzdłuż łopatki ku biodrom ściekała cieniutka strużka krwi... Z głębi coś pełzło. Połyskliwe, chwytliwe macki, ogromne ślepia i trupi odór... Olbrzymia, bezkształtna masa czegoś obrzydliwego, groźnego, złowrogiego... Jak los... Jak śmierć... Gorm uniósł wyżej miecz... krew z barku zaczęła sączyć się żywiej... Bezkształtna masa była tuż, tuż...

Shanon nie wytrzymał napięcia. To było ponad jego siły, nadwątlone ostatnimi przejściami. Krzyknął przeraźliwie.

– Co?! – Gorm już stał z gołym mieczem w dłoni pochylony jak do skoku rozglądając się bacznie w poszukiwaniu przeciwnika. Dym wypełniający komnatę rozwiał się bez śladu. Zniknął też zapach siarki. Jedynie w rogu stołu czerniła się kupka popiołu.

W progu komnaty stał czarnoskóry niewolnik spoglądając pytająco.

– Nic, nic. – Shanon przetarł czoło dłonią. – Zasnąłem i przyśniło mi się coś paskudnego.

Gorm uśmiechnął się drwiąco i opuścił miecz w troki. Podszedł do stołu, ujął dzban i odwrócił do góry dnem.

– Nie ma. Pić – zwrócił się do niewolnika.

– Tak, panie.

Shanon usiadł wolno na posłaniu. Trzęsły mu się nogi i w piersiach czuł jakiś zimny ciężar. Wiedział teraz jeszcze mniej niż na początku. Tylko jednego był pewien. Grozi im śmiertelne niebezpieczeństwo.

Obudzili się obaj jednocześnie. W komnacie nic się nie zmieniło. Nadal jednakowym światłem płonęły mleczne kule i panowała niczym nie zmącona cisza. Tylko na kamiennym stole stał półmisek z gorącą pieczenią i leżał chleb. Ktoś zadbał o ich śniadanie. Ktoś, kto doskonale wiedział, kiedy się obudzą.

Gorm usiadł i przeciągnął się, aż chrupnęło w stawach. Wyciągnął miecz i obejrzał go uważnie. Pokiwał głową uspokojony. Spojrzał na Shanona.

– Nie ucięli nam głów, to i nie utną. Znowu zgłodniałem.

– Tylko byś jadł. I to ma być książę, syn księcia.

– Muszę być najedzony i wypoczęty, jeżeli mam walczyć.

– Walczyć? Skąd ci to przyszło do głowy?

– Czuję. Zawsze przed walką jestem głodny.

– Może to i... – Shanon przerwał, bo kotara u wejścia uchyliła się i do komnaty wszedł Ixtl, Wielki Kapłan Bogini Ku. Ubrany był w długą tunikę z ciężkiego materiału koloru błękitu, znienawidzonego koloru Atlantydy. Przepasany ciężkim łańcuchem z kutego złota, a na nogach miał sandały również złotego koloru. Takaż obręcz zdobiła wyniosłe czoło. Z pooranej zmarszczkami twarzy patrzyły czarne jak węgiel oczy. Dwóch kapłanów o gładko wygolonych głowach wniosło za nim bogato rzeźbiony drewniany stolec. Ostrożnie ustawili go pośrodku komnaty, po czym ukłoniwszy się nisko wyszli. Stary kapłan usiadł i poprawił tunikę otulając szczelnie stopy. Długo patrzył na stojących przed nim, kolejno przenosząc wzrok z jednego na drugiego. Wreszcie zatrzymał spojrzenie na olbrzymiej postaci Gorma.

– Gormie, synu O-gorma – przemówił cichym, starczym głosem. – Sprowadziła was do tej Krainy wola Bogini Ku, wasze przeznaczenie i stare przepowiednie. Wiedzieliśmy, że przyjdziecie i oczekiwaliśmy was. Ja, Wielki Kapłan Bogini Ku i Jego Wysokość Rigdenejgepa Władca Shamballach i Agharty. Jedyni czekający i jedyni żywi tej Krainy.

– Jedyni żywi? Jak to, jedyni żywi? – wyszeptał Shanon zduszonym szeptem. – Jak to?

– Nie przerywaj! Wszystkiego dowiecie się w swoim czsie. Był kiedyś po tamtej stronie Wielkich Gór kontynent zwany Mu. Rządził tam bóg Manu. I była pośrodku Agharta. Wschodem władało potężne Państwo Atlantów. Nie ma już Mu, Wielkiego Kontynentu. W niebyt odeszła Agharta, ale ciąży na nas przekleństwo. Nasłany przez demony Gga... I ty go musisz zabić, Gormie. Tylko ty możesz to zrobić.

– Dlaczego tylko ja?

Starzec milczał długo jakby się nad czymś głęboko zastanawiał.

– Niecierpliwi jesteście, Ludzie z Tej Strony Życia. Niecierpliwi. Gga to sumienie Agharty, jej grzech. Tak głosi przepowiednia. Zabić go może tylko człowiek młody, nieustraszony i książęcego rodu, jeżeli pomoże mu w tym któryś z Magów. Nie ma już na świecie walecznych i nieustraszonych ludzi książęcego rodu. Zniewieścieli w przepychach swoich pałaców, w tyleż wspaniałym co bezmyślnym życiu i grzechu. Tylko ty możesz to zrobić Gormie, synu O-gorma. Pomoże ci Shanon Mag. Ziści się święta przepowiednia. Ty zabijesz Gga... I wtedy stanie się.

– Co?

Stary kapłan nie odpowiedział. Siedział wpatrzony w coś ponad ich głowami, a na jego wargach zastygł pełen melancholii i smutku nikły uśmieszek.

– Stanie się, co się stać musi – wyszeptał. – Nie będzie już Agharty, tylko Atlantyda. Ale i ona... Nadejdzie jeden dzień okropny i noc... Zapomną ludzie, tak jak zapomnieli o Agharcie, aż po najdalsze pokolenia. Czas już, synu O-gorma i ty Magu. Wezwij na pomoc całą swoją moc i wiedzę – tu spojrzał przelotnie na kupkę szarego popiołu na rogu stołu. – Ugr, niewolnik wskaże wam drogę. Niech łaska Bogini Ku będzie z wami.

Klasnął w dłonie. Na ten sygnał zjawili się znów ci sami dwaj kapłani o ogolonych głowach. Ixtl wstał i bez słowa opuścił komnatę. W drzwiach pojawił się czarnoskóry niewolnik i skrzyżowawszy ręce na piersiach spojrzał na Gorma.

Gorm przewiesił kołczan ze strzałami przez plecy i ujął łuk. Popatrzył na Shanona i uśmiechnął się szeroko.

– Idziemy, Magu. Miałeś rację. Tu za jedzenie trzeba płacić.

Staremu Magowi ze zdenerwowania trzęsły się ręce. Szeptał do siebie jakby modląc się. Twarz miał bladą jak kreda. Nerwowymi ruchami to macał głownię miecza, to obciągał tunikę pod szyją.

– Boisz się, starcze. Nie trzeba. Już ci powiedziałem, że umiera się tylko raz. Zawsze. Czy ten Gga silniejszy jest niż kuguar? Albo wojownicy Atlantów? Gorm ma dwie ręce i miecz. Pójdziemy. Prowadź, niewolniku – zwrócił się do czarnoskórego. Ten skłonił się nisko i cofnął, robiąc im przejście.

Szli długim ciągiem komnat i sal. Mijali zamknięte murami dziedzińce w milczeniu, bez słowa. Wreszcie stanęli w ogrodzie. Kłębiła się w nim zieleń, w obłędnym chaosie tropikalnej dżungli. Szła stamtąd ohydna woń gnijącego mięsa i czegoś jeszcze, czego określić nie byli w stanie. Duszący, słodkawy zapach nieznanego. Czubkami drzew nie zakołysał nawet najsłabszy podmuch wiatru. Było cicho. Brakło w tej dżungli wrzasku małp i skrzeczenia papug. Nie było ptaków ani motyli. Tylko rośliny pięły się ku niebu, na którym nie było słońca.

Tu pożegnał ich czarnoskóry niewolnik. Ze zdziwieniem spostrzegli, że ze strachu poszarzała mu twarz, a wzrok stał się rozbiegany, nieprzytomny. Nie odzywając się ani słowa wskazał na brunatne mury i baszty jakiejś budowli wyłaniającej się z gąszczu i odwróciwszy się gwałtownie oddalił się biegiem jakby ścigały go demony.

Zagłębili się w gąszczu. Bystre oczy młodego wojownika wypatrzyły ścieżkę wiodącą w kierunku tajemniczych budowli, gdzie najprawdopodobniej oczekiwał na nich groźny Gga. Przodem szedł Gorm z napiętym łukiem, gotów do natychmiastowej akcji. Za nim posuwał się skulony Shanon. Ale na razie nic się nie działo. Ścieżyna, aczkolwiek zarośnięta, pozwalała na szybki marsz.

Wreszcie gąszcz skończył się. Stanęli na skraju pasma porośniętego skarlałą, wyszarzałą roślinnością, wśród której walały się gdzieniegdzie zbutwiałe kości zwierząt. Na nikłej, zwiędłej trawie znać jednak było wyraźny szlak prowadzący do uchylonej bramy w nadkruszonym murze.

Obaj jednocześnie przekroczyli progi ponurej budowli. Gmach, chociaż chylił się ku upadkowi, nie sprawiał wrażenia zupełnie opuszczonego. Wprawdzie pokryte liszajami wilgoci mury oplatała dziko rosnąca i niepielęgnowana roślinność, ale przestrzeń koło bramy była wydeptana, a ku niedalekiej ścianie dżungli prowadziła wyraźna ścieżka.

Salę, do której weszli zalegał drażniący półmrok, w którym nie można było dostrzec żadnych szczegółów wyposażenia czy sprzętów. Poprzez zarośnięte szczelnie okna nie wpadał najmniejszy nawet promyk światła. Czuło się tylko, że sala ta nie jest pusta. W mroku czaiło się coś odpychającego, emanowała zeń groza. Ale i ta złudna cisza już prysła: rozległ się chrobot ociera-

jących się o siebie rogowych łusek i ciężkie stąpanie. Coś szło ku nim poprzez czerń komnaty, zbliżało się w mroku, nieustępliwie, nieubłaganie jak przeznaczenie, jak śmierć.

Olbrzym osłonił się wysuniętym do przodu mieczem i czekał. Jego bystrym oczom nie uszedł powolny ruch w ciemnościach. Wiedział, że przeciwnik jest blisko, w zasięgu miecza. Spreżył się w sobie, ale wciąż jeszcze nie dostrzegał niczego...

Nagle, jak czarne błyskawice, prawie ze wszystkich stron wyprysnęły ku niemu dziesiątki giętkich macek. Odskoczył i ciął mieczem. Czuł jak ostrze przecina coś miękkiego, a jednocześnie sprężystego. Jedna z macek przedarła się przez zakreślony stalowym ostrzem krąg i chlasnęła go po ramieniu. Poczuł piekący ból, spotęgowało to jego zawziętość. Z pomrukiem podobnym do wściekłego parsknięcia kuguara dał dwa szybkie kroki do przodu i miecz w jego ręku zaświstał tnąc powietrze.

Shanon przykucnął na wpół przytomny ze strachu. Wprawdzie ufał sile i odwadze Gorma, ale zdawał sobie sprawę z faktu, że przeciwnik ich nie jest z tej Ziemi. I chyba nie miecz tu rozstrzygnie. Musi pomóc wojownikowi. Tak chce przepowiednia. Pomóc za wszelką cenę i to jak najskuteczniej, jeżeli mają ocalić głowy i wrócić żywi z tego przeklętego kraju.

Gorm pracował. Walka była jego żywiołem, był dla niej stworzony. Nie pamiętał, nie myślał teraz o niczym. Walczył.

Macki nagle znikły. Rozległo się stęknięcie. Podłoga zadrżała mocniej i gdzieś z góry posypały się odłamki muru. Dwa grube jak udo dorosłego męża ramiona wychynęły z mroku. Każde zakończone rozcapierzoną dłonią uzbrojoną w zakrzywione szyny z długim, ostrym jak brzytwa pazurem miast kciuka.

Gorm płytkim, mierzonym ciosem odwalił końcówkę jednego ramienia, półobrót, cios i dłoń drugiego zwisła bezradnie na skrawku łuskowatej skóry. Wtedy ciemność eksplodowała nagle blaskiem dwojga ogromnych, zielonkawych źrenic. Miotały one zielone promienie i w sali zrobiło się prawie widno. Tak patrzeć mogła tylko śmierć.

Całą komnatę wypełniało kłębiące się i przelewające cielsko gada i dziesiątki rogowych wypustek, z których wyciekała ciemna cuchnąca ciecz, zmierzając wąskim strumyczkiem ku walczącemu Gormowi. Szczątki roślin na jej drodze i drobne paprochy momentalnie zamieniały się w popiół. Znów wyskoczyło mrowie giętkich jak bicze macek.

Gorm stał rozkraczony ze zbrukanym mieczem uniesionym do ciosu. Dyszał z wysiłku. Groźne ślepia były coraz bliżej. Pełzły z nieubłaganym postanowieniem i konsekwencją, pełne błysków, zwycięskie i zdawało się – niepokonane. Atak kłębowiska macek. Szybkie jak błyskawica cięcia miecza. Lepka ciecz sącząca się po podłodze i cuchnąca piżmem. A płonące oczy są coraz bliżej... Mdleją mięśnie. Niespożyta, zdawałoby się, siła młodego wojownika jest już na wyczerpaniu. Walka trwa już długo. Za długo...

Shanon desperackim ruchem sięgnął do woreczka z zielonym proszkiem. Zanurzył w nim dłoń, wydobył i z rozmachem sypnął w błyszczące ślepia. Rozległ się ogłuszający ryk bólu. Gorm skoczył ostatkiem sił i ciął dwoma rozpaczliwymi ciosami, aż oko rozbryznęło się. Znów przerażający ryk. Trzecie cięcie i drugie oko spłynęło pod stopy walczącego wojownika. Opadły ruchliwe macki. Zmęczenie jak ciężka płachta legło na barkach młodzieńca. Usiadł podpierając się skrwawionym mieczem.

Po chwili nie było już roślin. Poprzez uwolnione od zielonych kotar okna wdarło się do sali światło pełnego, choć chmurnego dnia. Podłogę zaścielały sterty suchych liści, spośród których sterczały tu i ówdzie potwornej wielkości kręgi żeber.

Shanon stał z uniesionymi ku górze rękami.

– Żyjemy! Żyjemy, Gormie. Zabiliśmy Gga!

Olbrzymi Gorm podniósł się wolno. Wsparty na mieczu spojrzał z góry na Shanona.

– Zabiliśmy? Ale masz rację, starcze – wychrypiał z trudem. – Żyjemy. Gorm zwyciężył, ale gdzie trup tego potwora? Gdzie podział się zabity Gga?

Stary Mag opuścił ręce i rozejrzał się.

– O bogowie! Co tu się dzieje? To straszne... Te kości... Uciekajmy stąd! Przeklęta kraina!

Wycofali się z sali. Na zewnątrz, jak i w sali znikły rośliny. W miejscu tropikalnej dżungli słał się porośnięty skarlałą trawą step. Za nim rozciągały się ruiny tego, co jeszcze przed kilkoma godzinami było wspaniałymi pałacami.

Szli szybkim krokiem, potykając się na gruzach. Przebiegali puste sale z ledwie trzymającymi się stropami i posadzkami usłanymi szczątkami sprzętów. Wreszcie stanęli w sali tronowej Rigdenejgepa. Poznali ją od razu, choć była tak różna od tej, jaką widzieli za pierwszym tu pobytem.

Na tronie z czarnego marmuru siedziała wyprostowana mumia Władcy Shamballach. Jak wczoraj, czoło jego opinała złota obręcz i lśnił szafir. Tylko pod obręczą rzucały cienie puste oczodoły i szczerzyła pożółkłe zęby obciągnięta pomarszczoną skórą czaszka. Biała niegdyś tunika poszarzała od pokrywającego ją wielowiekowego kurzu. U stóp Władcy leżał szkielet kuguara.

– Na wszystkich bogów Agharty i Atlantydy! Uciekajmy stąd!

– Tak! Uciekajcie! Spełniło się przeznaczenie...

Zdumieni spojrzeli w stronę skąd doleciał ich wyraźny głos. W niszy z lewej strony tronu Władcy stał Najwyższy Kapłan Bogini Ku, Ixtl. Stał bez ruchu wpatrując się w Gorma przenikliwym spojrzeniem. Olbrzymi wojownik wzdrygnął się jakby go przeszedł nagły chłód, chociaż wkoło panował tropikalny upał.

– Dlaczego? Co tu... – nie dokończył, bo sylwetka kapłana zszarzała i zbladła. Zaczęły przez nią przeświecać kamienie ściany i po niedługiej chwili nisza po lewej stronie tronu była pusta. Ixtl zniknął.

Teraz ruszyli już biegiem. Świetne Shamballach było kupą gruzów i ruin. Mury, zwałami kamieni i cegieł. Bez przeszkód hulał tu wiatr wznosząc tumany kurzu.

– Tam! – krzyknął Shanon wskazując odcinającą się od blasku nieba samotną skałę. – Tam jest ta przeklęta brama, którą weszliśmy!

Szybko przebyli umarły step. Kiedy dysząc ze zmęczenia dotarli do skały, stanęli bezradni. Masywne, kute w jakimś nieznanym im metalu wrota były zamknięte..

Shanon w bezsilnej rozpaczy osunął się na kolana.

– Na nic! Wszystko na nic! Nie wydostaniemy się stąd nigdy.

– Nie stękaj – szorstko mruknął Gorm. – Nic nam na razie nie grozi...

Przystąpił do bramy i zaczął ją uważnie obmacywać. Solidne zawiasy były zardzewiałe, ale trzymały jeszcze mocno. Za mocno jak dla nich. Młody góral namyślał się chwilę i wyciągnął nóż. Ostrożnie wetknął go w szparę i nacisnął. Nóż pękł z suchym trzaskiem. Wrota ani drgnęły.

– Na nic. To na nic – wyszeptał Shanon zdławionym głosem.

– Nie stękaj – powtórzył Gorm. Sięgnął po miecz. Ponownie włożył ostrze w szczelinę. Tym razem wrota drgnęły ledwie dostrzegalnie. Nacisnął mocniej i jedno skrzydło odsunęło się odrobinę. Shanon skoczył na nogi.

– Na Anathe! Dalej, synu księcia! Mocniej!

Młody góral opuścił miecz na ziemię. Palcami obu rąk wczepił się w wąską szparę. Mocniej zaparł się muskularnymi nogami w ziemię aż stopy po kostki zagłębiły się w sypkim piachu. Na plecach i barkach nabrzmiały mu grube sploty mięśni. Shanon z okrzykiem dopadł bramy, usiłując pomóc młodemu siłaczowi. Szarpnęli wspólnie i wrota rozsunęły się z przenikliwym wizgiem na szerokość wystarczającą, by przecisnął się przez nią dorosły człowiek.

Jaskinia też nie była ta sama. Oba gongi leżały potrzaskane w pyle zalegającym grubą warstwą podłogę. Gładka, jak gdyby od wieków nie dotknęła jej stopa ludzka ani łapa zwierzęcia. Tylko przez otwór w sklepieniu wpadało wciąż to samo światło słonecznego, pogodnego dnia. Na jednym z postumentów leżały ich niedopalone łuczywa. Zapalili je i ruszyli pod górę znanym im chodnikiem.

Głowa zabitego Atlanty leżała tam, gdzie ją pozostawili. Z ogniska sączyła się ku sufitowi zwiewna smużka dymu. Mag pochylił się i dotknął dłonią popiołu. Był gorący.

– Ktoś tu jest!

– Nie, synu O-gorma. Nie ma tu i nie było nikogo oprócz nas. To nasze ognisko.

– Jak to?

– A tak! Jesteś niezwyciężonym wojownikiem, ale myślenie pozostaw mnie. Podnieś głowę Atlanty.

Gorm usłuchał bez słowa protestu i spojrzał pytająco na starego Maga.

– Jesteś doświadczonym łowcą, Gromie. Kiedy ten człowiek zginął?

Młody góral uniósł głowę zabitego do góry i obejrzał starannie. Przejechał palcem po skrwawionej szyi.

– Na wszystkich bogów! Jak to możliwe? Ten człowiek zginął wczoraj.

– Tak, synu O-gorma! – Staremu Magowi trochę drżał głos. – Tego człowieka zabiłeś wczoraj własnymi rękami.

– Ale wczoraj...

– Nie przerywaj! To prawda. Wczoraj. Wczoraj weszliśmy tam – wskazał w głąb jaskini. – Weszliśmy do Krainy Której Nigdy Nie Było. Krainy, w której nie istnieje czas. Nie było nigdy dwóch dni spędzonych w Shamballach i walki ze złym Gga. Zrozum, wojowniku. Nie było!

– Rozumiem – mruknął Gorm dotykając świeżej rany na barku, śladu po ciosie macki...

– Rozumiem – powtórzył. – Nigdy Nie Było.

Zbigniew Prostak

DNI FANTASTYKI

Warszawa 1986

To już czwarte „Dni Fantastyki", a drugie organizowane w Warszawie. Impreza dla nas tym ważniejsza i tym bardziej uroczysta, że urządzana tuż przed ukazaniem się pięćdziesiątego numeru. Mimo to jednak nasze tegoroczne święto miało nastrój bardziej niż kiedykolwiek kameralny.

Kameralność ta nie była naszą winą (czy też zasługą, bowiem niektórzy uczestnicy imprezy bardzo ją sobie chwalili), ale wynikiem rozmaitych trudności obiektywnych. Nie będę ich tu wyliczał, bo po cóż zanudzać Czytelników skargami. Dość, że trzeba było w tym roku ograniczyć liczbę najwdzięczniejszej publiczności, jaką zawsze stanowili dla nas fanowie z rozrzuconych po kraju klubów, co też skłoniło nas do odejścia od klasycznej formuły konwentu. Tegoroczne „Dni Fantastyki" miały stanowić przede wszystkim okazję do spotkania się profesjonalistów, do dyskusji nad nurtującymi nas problemami i do wymiany doświadczeń.

Sposobność taką dawał szczególnie pierwszy dzień imprezy, piątek 14 listopada. O godzinie czternastej rozpoczęło się w Pałacu Kazimierzowskim zorganizowane przy współpracy Instytutu Literatury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego seminarium krytyczne pod hasłem „Koncepcje i modele fantastyki współczesnej". Przewodniczący sesji – dziekan wydziału filologii polskiej, docent Andrzej Makowiecki podczas jej otwarcia przypomniał, iż jest to już drugie takie spotkanie i wyraził nadzieję, że tradycja ta będzie w przyszłości kontynuowana. Nadzieję tę uzasadnia też fakt, że seminarium nasze spotkało się ze stosunkowo dużym, jak na tego typu przedsięwzięcie, zainteresowaniem, a na sali oprócz literaturoznawców i naszych gości znalazło się także sporo studentów i szeregowych miłośników SF.

Sesję rozpoczął profesor Juliusz Palczewski mówiąc o XIX-wiecznych koneksjach współczesnej fantastyki. Zaraz po nim zabrał głos nasz redakcyjny kolega, doktor Andrzej Niewiadowski. Jego referat, mimo że najdłuższy, był przez publiczność przyjęty chyba najlepiej. Nie miejsce tu i nie czas, by streszczać tę wypowiedź, a jej tytuł „Science fiction: między prometeizmem a katastrofizmem" niewiele zapewne naszym Czytelnikom powie. Zarówno ten, jak i inne referaty zamieścimy w naszym dziale krytyki. Warto tu wspomnieć, że nasi goście z Węgier wszystkie materiały z seminarium kupili na pniu, zapowiadając rychłe wydanie ich u siebie.

Wróćmy jednak do piątkowego popołudnia. Po Andrzeju Niewiadowskim głos zabrał docent Jerzy Jarzębski, omawiając niektóre aspekty twórczości Stanisława Lema, a po półgodzinnej przerwie doktor Adam Elbanowski (referat: „Inwencje fantastyczne Borgesa") i doktor Agnieszka Ćwikiel („Science fiction jako gatunek filmowy"). Seminarium krytyczne okazało się znakomitym, chyba najmocniejszym punktem programu tegorocznych „Dni Fantastyki".

Następny dzień – sobotę, rozpoczęliśmy oficjalnym otwarciem imprezy, połączonym z wręczeniem nagród „Fantastyki". Nie będę tu wyliczał laureatów (werdykt jury podaliśmy w „Fantastyce" nr 11/86), gdyby natomiast wszyscy nasi Czytelnicy mogli uczestniczyć w tej uroczystości, mieliby okazję dowiedzieć się o nich czegoś więcej, niż można znaleźć w zamieszczonych przy utworach notkach.

Większa część programu „Dni Fantastyki" przewidzianego na sobotę i niedzielę odbywała się w klubie studenckim Politechniki Warszawskiej „Riviera-Remont". W zasadzie wywiązał się on z przyjętych zobowiązań, choć mamy trochę żalu o nie najlepsze rozreklamowanie imprezy. Przypuszczamy, że znalazłoby się znacznie więcej chętnych do obejrzenia ciekawej wystawy i wyświetlanych na szerokim ekranie filmów.

Wystawa malarstwa i grafiki SF wzbudziła spore zainteresowanie. Nie wszystkie jednak przygotowane prace można było w udostępnionych nam pomieszczeniach zaprezentować. Może to i dobrze, gdyż pokazano tylko te naprawdę najlepsze. Wśród autorów znaleźli się często goszczący w naszym piśmie plastycy: Andrzej Brzezicki, Mirosław Golędzinowski, Janusz Gutkowski, Marzena i Jacek Kawalerowiczowie, Grzegorz Komorowski, Jerzy Kurczak, Bogusław Polch, Lidia i Witold Popielowie, Zbigniew Stanisławski i Marek Zalejski.

Przygotowany przez Macieja Parowskiego i Grzegorza Pieńkowskiego zestaw filmów daleko odbiegł od tradycyjnej konwentowej wideo-przeglądarni, będącej zazwyczaj prezentacją szmiry i złego gustu. W sali kinowej „Riviery" pokazano filmy naprawdę znakomite: „Odyseję Kosmiczną 2001", „Zardoza", „Charly'ego" (ekranizacja znanego opowiadania Davida Keyesa „Kwiaty dla Algernona") oraz „Władcę much" według powieści sławnego angielskiego pisarza, laureata nagrody Nobla Williama Goldinga.

Równolegle z projekcją filmów odbywało się w innej sali spotkanie z naszą redakcją. Zamieniło się ono w gorącą dyskusję wydawców. Tak się bowiem złożyło, że oprócz nas i naszych węgierskich gości, którzy odpowiadali na wiele pytań dotyczących fantastyki w ich kraju, na sali znaleźli się przedstawiciele prawie wszystkich głównych wydawnictw zajmujących się fantastyką (między innymi „Wydawnictwa Literackiego", „Iskier", „Wydawnictwa Poznańskiego" oraz „Książki i Wiedzy"). Wierzymy, że coś z tej dyskusji wejdzie na stałe do wydawniczej praktyki, obok bowiem tradycyjnych już utyskiwań na kłopoty z poligrafią i papierem padło w niej sporo spostrzeżeń cennych i istotnych. Choćby to, po raz pierwszy przez samych wydawców wypowiedziane publicznie, że w warunkach chronicznego braku papieru nie ma sensu wydawanie w dużych nakładach nielicznych pozycji, tylko bowiem szeroka i różnorodna oferta może zadowolić i autorów, i czytelników. Mówiono też o konieczności wznawiania znaczących dla naszej fantastyki, a niedostępnych już na rynku utworów współczesnych. Może w przyszłości rzadziej będą się zdarzać wydawcom takie wpadki, jak z „Wehikułem czasu" Wellsa, wznowionym jednocześnie przez „Wydawnictwo Literackie", „Ossolineum" i „Iskry".

Dobrą tej dyskusji ilustracją było czynne przez cały czas trwania imprezy stoisko PSMF, gdzie obok wydawnictw amatorskich, kolejnych numerów „Feniksa" i „SFery" oraz przeróżnych bibelotów znalazły się także nowości książkowe. Przeglądając je można się było pocieszać, że bywało gorzej. Można też było ubolewać, że sytuacja w tym względzie jest nadal co najwyżej stosunkowo niezła.

Pracowity ten dzień zamknęło spotkanie z naszą redakcją w KMPiK-u przy ulicy Bagatela, które przebiegło pod hasłem: „Fantastyka – oczekiwania i rzeczywistość". W gronie dyskutantów znaleźli się także laureaci nagród „Fantastyki": Wiktor Żwikiewicz i Marek Oramus. Publiczność dopisała, a spotkanie należy zaliczyć do udanych.

Ostatni dzień imprezy upłynął we mgle i deszczu. Część gości gdzieś się zawieruszyła, część zmuszona była wcześniej wyjechać. Ci, którzy zostali mogli w całodziennym przeglądzie w „Filmotece Polskiej" obejrzeć klasyczne już filmy Méliésa, René Claire'a, Fritza Langa i Paula Wegenera. Cały czas trwała też w „Rivierze" wystawa i czynne było stoisko PSMF.

Na zakończenie wreszcie wyrazy sympatii dla naszych gości z Węgier, znanego edytora i redaktora „Galaktyki" Pétera Kuczki oraz jego redakcyjnego kolegi Ferenca Herczega. Ufamy, że wywieźli z Warszawy równie dobre wspomnienia, jak te, które nasza delegacja wywiozła przed kilkoma miesiącami z Budapesztu wraz z umową o współpracy. Tym bardziej że – co rzadko się zdarza – hotel i wyżywienie nie były zmorą imprezy. Przynajmniej tu „trudności obiektywne" nie dały o sobie znać. Zdaje się, że to z ich strony poważne niedopatrzenie. ■

Seminarium krytyczne na Uniwersytecie Warszawskim (od lewej Andrzej Niewiadowski, Adam Hollanek, Andrzej Makowiecki).



fot. Zbigniew Latała

Marczyński Antoni (1899–1968)

Powieściopisarz, dziennikarz

Urodził się 1 czerwca 1899 r. w Poznaniu. Studiował na Wydziale Prawnym Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. W 1924 r. uzyskał doktorat. W latach 1922–1926 pracował w przemyśle. Od 1926 do 1928 r. zatrudniony w Polskim Banku Rolniczym: Poznań-Warszawa. W 1929 r. podjął serię podróży po Europie, Afryce, Ameryce. W 1938 r. przebywał w Stanach Zjednoczonych i tu zastała go wojna. W 1940 r. założył polski miesięcznik satyryczno-humorystyczny „Osa" (istniejący do roku 1945). Był redaktorem naczelnym tygodnika „Jedność-Polonia" (wydawanego w Baltimore), „Czas" (w Brooklynie) i „Przewodnika Katolickiego" (New Britain). Jako „ghost-writer" wynajmował się anonimowo do pisania skeczów radiowo-telewizyjnych. Zmarł w Nowym Jorku 17 listopada 1968 roku.

Jeden z najpopularniejszych pisarzy dwudziestolecia międzywojennego – autor wielu książek o tematyce sensacyjnej, kryminalnej, m.in.: „Aloha" (1929), „Czarci jar" (1932), „Iperyt zwycięzca" (1936), „Miłość szejka" (1932), „Mścicielka" (1928), „Niewolnice z Long Island" (1930), „Przygoda w Biarritz" (1934), „Skarb Garimpeira" (1938). Twórca kilku książek o tematyce fantastyczno-naukowej: „Wyspa nieznana" (cz. 3 – Królowa Othe. Powieść fantastyczna; Zamość 1929), „Upiory Atlantyku" (pierwodruk w: „Ilustrowany Kurier Codzienny" 1928 (260-361), 1929/ 2-215; wyd. zwarte: Warszawa 1929), cz. 2 – „Lot nad oceanem" (Warszawa 1930), „Świat w płomieniach. Powieść z niedalekiej przyszłości" (Warszawa 1928), „Nowa Atlantyda. Powieść dla młodzieży" (Kraków 1932), „Gaz 303" (w: „Głos Narodu" 1931/197-287; wyd. zwarte: Poznań 1932), „Jutro" (Kraków 1934), „Byczy sen. Humoreski" (tu m.in.: „Odgadywacz płci", „Genialny wynalazek", Kraków 1933): „Bezgłośny piorun" (Warszawa 1937).

W swoich popularnych, komercyjnych utworach sensacyjno-fantastycznych nawiązuje Marczyński do konwencji „cudownego wynalazku", posługuje się typowymi rekwizytami science fiction, ale jego pisarstwo zawiera wiele odwołań do spraw polskich, jest również aluzją do aktualnych problemów społeczno politycznych. Ukazując przyszłość przedstawia ją autor w kontekście typowo polskich rozwiązań. Jest Marczyński jednym z najpopularniejszych twórców międzywojennej fantastyki naukowej w jej odmianie militarnej, zarysowując w ogromnych freskach batalistycznych zmagania na frontach II wojny światowej, starcia wrogich ideologii, działania szpiegów nie przebierających w środkach dla zdobycia tajnej broni wynalezionej przez Polaków i mającej decydujące znaczenie dla ostatecznego rozstrzygnięcia losów wojny (zob. np. „Świat w płomieniach"). Z sensacyjnych powieści militarnych Marczyńskiego najciekawsza wydaje się książka „Jutro" – kreślona barwnym, żywym stylem, z intuicją i przenikliwością ukazująca genezę wybuchu II wojny światowej. Dla młodzieży przeznaczona jest „Nowa Atlantyda", w której pojawia się jeszcze jeden mit niepodległej, międzywojennej Polski: marzenie o kolonii zamorskiej, dalekiej wyspie odkrytej przez załogę statku „Chrobry". Marczyński jest również autorem humoresek, w których ośmiesza zwariowanych wynalazców i ich niezwykłe pomysły, co zdaje się świadczyć o sceptycznym traktowaniu tematu i świadomości jego literackich ograniczeń.

Bibliografia wybrana:

– (...) „Radio" 1928/33,
– (...) „Rzeczpospolita" 1928/180.

Działo się to dnia 19-tego maja, roku pańskiego 1931, o godzinie 9-tej wieczorem. Salę koncertową hotelu „Majestic" przy Avenue Kleber zapełniła szczelnie gromada dziennikarzy, francuskich i paryskich korespondentów pism zagranicznych, by wysłuchać prelekcji naszego rodaka, dra Kazimierza Radwana-Prągłowskiego na temat „p s y c h o f o n i i" i być świadkiem jego eksperymentów.

GENIALNY WYNALAZEK

Antoni Marczyński

[Również i ja] otrzymałem uprzejmy bilet dra Radwana i zaproszenie na ów wykład w hotelu „Majestic". [I co się okazało?]

Według dra Radwana „psychofonia" jest sobie całkiem po prostu jego wynalazku metodą psychicznej... gimnastyki. Jest to najzwyczajniejsza sugestia, zaaplikowana obiektowi w drodze mechanicznej, mianowicie za pośrednictwem gramofonu.

Dr Radwan wychodzi z założenia, że nie każdy śmiertelnik może sobie pozwolić na to, by w momentach psychicznej depresji jechać do jakiegoś solidnego hipnotyzera i płacić mu niemniej solidne honorarium. Że wystarczy, jeśli będzie posiadał w domu gramofon i nagra sobie płytę, w której jest zaklęte odpowiednie przemówienie takiego magika z sugestywnym brzmieniem jego bezcennych strun głosowych włącznie. Że w tak mechaniczny sposób zastrzyknięta porcja energii życiowej skrzepi wyblakłą duszę równie skutecznie, jak niesamowite, a kosztowne sam na sam z takim fakirem... przepraszam, z hipnotyzerem.(...)

Powiedzmy nawet, że sugestie można na razie stosować tylko do ludzi o słabej woli i chorowitej „psyche". Cóż z tego? Przecież to dopiero początek, przecież Radwan czy jego następcy mogą ulepszyć owe płyty gramofonowe (a może gramofony?) i na pewno je ulepsza. A kiedy „psychofonia" wyjdzie raz z okresu ząbkowania, to dalszy jej rozwój pójdzie już w błyskawicznym tempie, podobnie jak się rzecz miała z rozwojem samochodu, czy choćby parowozu, którego protoplastą jest ów niezdarny samowarek Stevensona, budzący ongiś powszechne zdumienie, ba nawet zabobonną trwogę.

I oczyma duszy widzę już tę błogosławioną dla ludzkości epokę, w której psychofonia znajdzie najszersze zastosowanie w życiu codziennym. Widzę olbrzymie fabryki i sklepy Państwowego Monopolu Psychofonicznego bowiem ani trochę w to nie wątpię, że na tej najrentowniejszej gałęzi przemysłu położy państwo swoją ciężką rączkę. Widzę długie ogonki ludzi, wyczekujących przed kioskami ulicznymi, w których będzie się sprzedawało płyty gramofonowe, tak jak się dziś papierosy sprzedaje. A teraz spróbujmy sobie odtworzyć kilka scenek z tej niedalekiej już przyszłości.

1) Mąż - pantoflarz zasiedział się w knajpie i dusza (psyche) w nim zamiera z przerażenia na myśl o gorącym przyjęciu, jakie go czeka w domu. Nieborak aż się zatacza (oczywiście z powodu przestrachu), gdy wtem jego mętny wzrok pada na świetlistą reklamę nocnego lokalu Państwowego Monopolu Psychofonicznego. Pędzi tam, otrzymuje kabinę z gramofonem i odpowiednią płytą. Puszcza ją i z napiętą uwagą słucha, a tubalny głos hypnotyzera ryczy mu prosto do ucha:

– *Nie jesteś pantoflarzem! Nie! Ani trochę! Jesteś odważny! Bardzo odważny! Bohater! Wszyscy w domu drżą przed tobą! Zwłaszcza żona! Teraz leży w łóżku skulona z przerażenia i z biciem serca czeka na twój powrót. Idź śmiało! Trzewików nie zdejmuj na schodach, lecz w sypialni - wyrżnij nimi w szałę, aż drzazgi polecą! Tyś jest pater familias! Ty jesteś panem i władcą! Żona nie ma nic do gadania! Tylko ty, ty i jeszcze raz ty! Idź śmiało do domu, trzaskaj drzwiami, śpiewaj na całe gardło. Przelewam w ciebie fluid nadludzki! Uwaga! Uwaga! Raz! Dwa! Trzy! Cztery! Teraz jesteś uosobieniem męstwa. Odejdź w pokoju, ale przedtem zatrzymaj gramofon.*

Ex-pantoflarz wypada na ulicę, ale jakże innym krokiem teraz maszeruje. Latarnie biją mu pokłony aż do ziemi, kamienice dygają przed nim jak stare panny, policjant odwraca się umyślnie, zaś ON, rycząc na całe gardło, podchodzi do czekających taksówek. Woli jednak wracać taksówką, gdyż cud psychofoniczny działa skutecznie tylko przez godzinę, a nigdy nie można powiedzieć, jak długo potrwa małżeńska rozmowa.

Taksówka stanęła. Ex-pantoflarz przystanął na schodach, zaczął rozwiązywać sznurowadła, ale w samą porę sobie przypomniał, że jest uosobieniem męstwa. Ryknął więc jak tygrys, trzasnął drzwiami, wszedł do sypialni i zarechotał śmiechem Mefista.

– No? Może mi zamierzasz robić wymówki? – wrzasnął prowokująco w stronę małżonki, która wyskoczyła z łóżka z trzepaczką.

Lecz ten instrument, który tak dobrze znają dywany i niektórzy mężowie, wypadł od razu z ręki energicznej żony. Zrozumiała, że tym razem przegrała kampanię.

– Nędznik. Był w automacie psychofonicznym – wyszeptała i zrezygnowana położyła się na powrót. Bez jednego słowa.

2) Z pomocą tak zmechanizowanej sugestii będzie można również wpływać na szerokie masy. Wyobraźmy sobie na przykład, że dzisiejszy kryzys dojdzie do takiego zenitu rozwoju, że wszyscy ludzie bez wyjątku staną się bezrobotnymi. Nawet komornicy, gdyż wszelkie nieruchomości i ruchomości przejdą na własność państwa zajęte za podatki. Bezrobotny wojewoda będzie [illegible] [illegible] w [illegible] [illegible], [illegible] [illegible]

– (...) „Kurier Literacko-Naukowy" 1932/44,
– (...) „Kultura" 1932/19,
– (...) „Nowe Książki" 1935, z. 1,
– (...) „Polonista" 1934, z. 1–2,
– (...) „Gazeta Warszawska" 1934/172.

Markowski Michał

(ur. 1956)

Prozaik, autor sztuk scenicznych

Prozaik, autor sztuk scenicznych. Urodził się w Warszawie 22 maja 1956 r. Debiutował w latach siedemdziesiątych sztukami dramatycznymi (m.in. „Prywatne życie Piotrusia Pana", „Przejście dla pieszych", „Król i królowa"). Jest autorem prozy kryminalno-sensacyjnej, jego słuchowisko „Garaż śmierci" ukazało się na kasecie „Tonpressu" (KAW, 1985). W 1980 r. Michał Markowski wydał powieść poetycką „Ożeniłem się z brzydką dziewczyną" (KAW). Baśnią fantastyczno-naukową są jego kolejne powieści: „Ocean niespokojny" (KAW, 1982) i „Pajęczyna. Po drugiej stronie Księżyca" (KAW, 1983). Autor z wyraźną swobodą miesza tu różne sfery motywacyjne fantastyki, począwszy od baśni, przez fantasy, literaturę grozy, kończąc na fantastyce naukowej. Treścią wspomnianych książek staje się próba ucieczki od szalonej, chaotycznej nietolerancyjnej cywilizacji oraz budowa nowego świata, który ocala wiele indywidualnych cech człowieka.

Bibliografia wybrana:

- A. Niewiadowski, *Głębie i mielizny oceanu niespokojnego* (w:) – „Fantastyka" 1982/1,
– A. Niewiadowski, *Pajęczyna. Po drugiej stronie Księżyca*, (w:) „Fantastyka" 1984/10.

Markowski Tadeusz

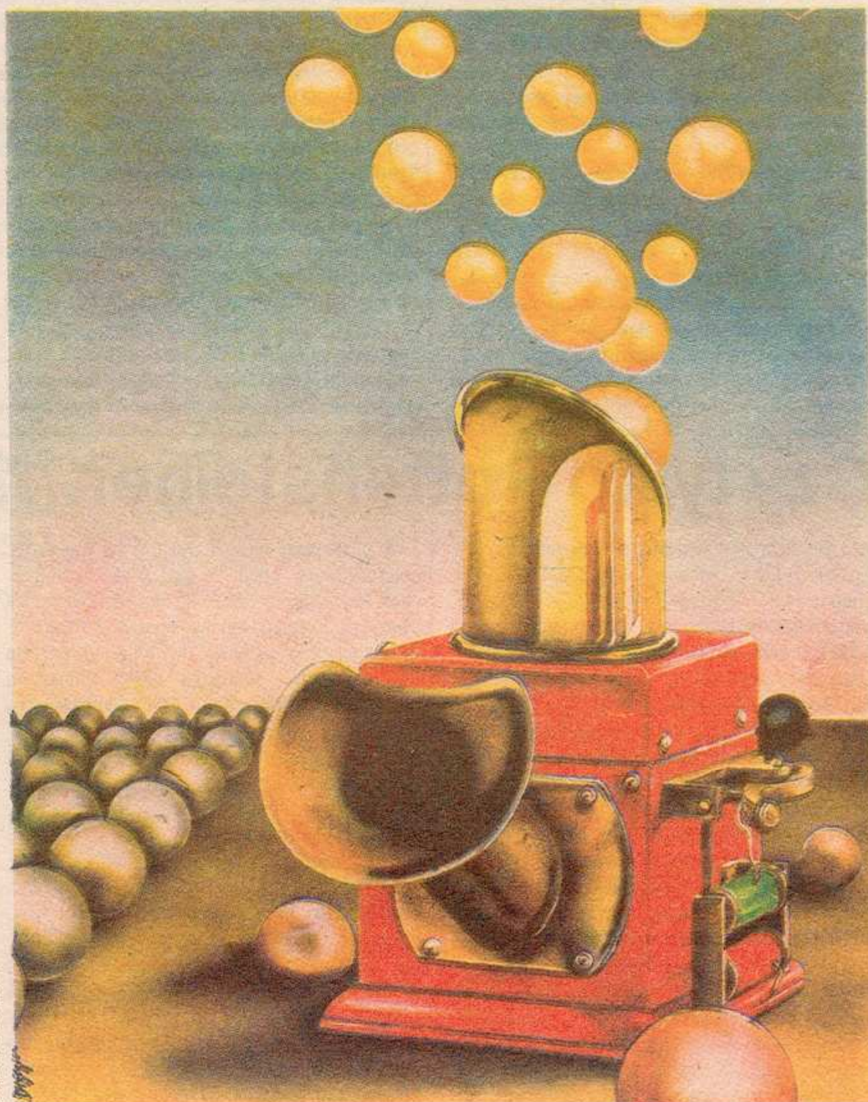
(ur. 1954)

Dziennikarz, prozaik

Urodził się w Warszawie 14 marca 1954 r. Studiował na Wydziale Elektroniki Politechniki Warszawskiej, następnie cybernetykę ekonomiczną na SGPiS. Był publicystą w „Tygodniku Studenckim Politechnik", współpracował z „Przeglądem Technicznym". W latach 1982–1984 zastępca redaktora naczelnego miesięcznika „Fantastyka". Od 1984 r. zatrudniony w Redakcji Fantastyki Naukowej KAW-u. Działacz międzynarodowego ruchu SF, członek WSF. Jako autor SF debiutował w 1977 r. na łamach „Politechnika" opowiadaniem „Test". Jego utwory były zamieszczone w antologii „Spotkanie w przestworzach" (t. I – KAW, 1982). W 1982 r. nakładem Krajowej Agencji Wydawniczej ukazał się zbiór opowiadań „Tak bardzo chciał być człowiekiem" (Zawartość: Pamiętnik, Test, Pech, Ludzie jak... złodzieje. Tak bardzo chciał być człowiekiem, że..., Cała radość życia, Zwiadowca), a w 1984 r. powieść „Umrzeć, by nie zginąć" (KAW). Opowiadania Tadeusza Markowskiego, dość konwencjonalne w sposobie zapisu, są przykładem sprawnej warsztatowo, socjologizującej odmiany SF wykorzystującej motywy z zakresu cybernetyki, badań społecznych, synergicznych. Powieść „Umrzeć, by nie zginąć" jest ciekawym przykładem przeniesienia na grunt polski motywów space opera, nie pozbawionych aluzyjnego przesłania społecznego: w kosmicznej scenerii toczy się walka o władzę, zachowanie godności, prawo decydowania o swym losie.

Bibliografia wybrana:

– A. Niewiadowski (w:) „Fantastyka" 1983/4,
– M. Oramus (w:) „Przegląd Techniczny" 1985/24.



Andrzej Brzezicki

i wygłodniałych nędzarzy spłyną słowa ukojenia, słowa miłe, dobre, przekonywające:

– *Witajcie, kochani obywatele! Cieszę się, że was oglądam przy dobrym zdrowiu i uśmiechniętych. To łgarstwo, że nie macie zajęcia, że zajął wszystko komornik, że głodujecie. Nie wierzcie agitatorom komunistycznym! Okłamują was nędznie. Zaraz wam przypomnę coście dziś jedli na obiad. Był rosół z kluseczkami, wołowina, ogórek, ziemniaki, sos chrzanowy, kompot, czarna kawa i ciastka. Potem mężczyźni dostali po dwa cygara, a kobiety po kilogramie winogron. Macie rację, że po takim obiadku wyszliście na spacer. To świetnie robi. Zwłaszcza nad rzeką. Nie bójcie się wody. Jeśli kto utonie, będzie pochowany z muzyką! Teraz uwaga! Przelewam w was fluid anielskiej cierpliwości, za którą nie minie was nagroda w przyszłym życiu, jeszcze lepszym, niż to obecnie. Baczność: Raz! Dwa! Trzy! Cztery!... Już się stało! Jesteście znowu posłusznymi dziećmi, które pójdą grzecznie nad rzekę i wykąpią się w przerębłach. Nic tak nie odświeża organizmu, jak kąpiel w zimie. Teraz, dziateczki moje: Wstecz zwrot! Kierunek: rzeka! Biegiem marsz!*

Biedni, znudzeni, bezrobotni urzędnicy województwa będą mieli nareszcie jakąś rozrywkę, patrząc z okien gmachu na masowy wyścig tysięcznych tłumów gnających posłusznie w stronę rzeki.

Tak więc dzięki płytom psychofonicznym nie będzie nigdy rozruchów ani innych przykrych następstw kryzysu gospodarczego, gdyż w drodze zmechanizowanej sugestii da się ludziom wszystko wytłumaczyć.

I czy nie miałem słuszności nazywając wynalazek doktora Radwana genialnym?

– Panie wojewodo, melduję posłusznie, że olbrzymi tłum bezrobotnych ciągnie pod gmach województwa w niedwuznacznych zamiarach.

Wojewoda aż podskoczy z radości.

– Nareszcie mam coś do roboty – krzyknie i własnoręcznie zacznie zdejmować z półek płyty psychofoniczne. Wyszukawszy je, poleci przynieść patefon na swoje biurko i połączyć go z olbrzymimi rozgłośnikami zdobiącymi front budynku.

– Już idą, już nadchodzą...

– Doskonale – odpowie pan wojewoda – pozwólmy im podejść pod same schody, żeby lepiej słyszeli.

I na wielotysięczną rzeszę bezrobotnych

Antoni Marczyński, Genialny wynalazek (w:) A. Marczyński, Byczy sen, Gebethner i Wolff, Kraków 1935, wybór ze stron 167-176.

Przygotował
Andrzej Niewiadowski

Antologia Dona Wollheima stała się u nas błyskawicznie przebojem. Dziesiątkę przebranych opowiadań amerykańskich – dwa z nich nagrodzone Nebulą, dwa uhonorowane nominacją do nagrody – przedstawiono czytelnikom polskim jednocześnie z ukazaniem się amerykańskiego oryginału. Tego jeszcze nie było.

Jakaż jest ta najnowsza proza amerykańska? Czy po lekturze kilku opowiadań mo-

SALON AMERYKAŃSKI – 1984

żna przypisać jej wspólny mianownik? Czy nasze skromne dokonania fantastyczne przypominają choć trochę bogatą fantastykę amerykańską?

Pierwsze spostrzeżenia: bardzo dużo w prozie amerykańskiej konkretu, wiele problemów współczesnego życia zjawia się w ich fantastyce bez owijania w fantastyczne scenografie i rekwizyty. Oto przed nami pokazane bezpośrednio wydarzenia w Salwadorze („Salwador" Luciusa Sheparda), bądź przywołane jako tło akcji reminiscencje Wietnamu i Kambodży („Naciśnij ENTER" Johna Varleya). W rzeczywistej scenerii współczesnego miasta, z nawiązaniem do działania tajnych służb wojskowych dzieje się akcja „Niebezpiecznego człowieka" Johna Dalmasa. Tworem współczesności, wręcz odtrutką na współczesność staje się wzniesiona na odludziu przejmująca imitacja miasta wiszących ogrodów („Pamiętamy Babilon" Iana Watsona) – to pomysł typowo amerykański ujawniający kompleks braku dziedzictwa kulturowego. Amerykanie często nie szyfrują, nie pseudonimują swych lęków i kompleksów. Na przykład „Naciśnij ENTER" bez osłonek ukazuje strach przed komputerową inwigilacją i kontrolą; mówi się w tym opowiadaniu o działaniach CIA. Ton i konstrukcja tego tekstu chwilami przypominają słynny film Coppoli „Rozmowa", w którym zagrożeniem dla obywatela były nie komputery, lecz mikrofony. Przejmujący kompleks kombatancki, kojarzący się z wydarzeniami w My Lai ukazuje wspomniany już „Salwador". To opowiadanie powstało z zupełnie innej inspiracji duchowej niż, zewnętrznie podobna doń, seria filmów o Rambo. A więc rzeczywistość i jej problemy uwodzą amerykańskich autorów, także w swym kształcie dosłownym, skłaniając ich do wypowiedzi publicystycznie jednoznacznych, ale jednocześnie wyrafinowanych i bogatych artystycznie – to spostrzeżenie pierwsze.

Nałożenie na rzeczywistość fantastycznych korektur bardzo dobrze wychodzi Amerykanom, ale pociąga ich także fantastyczność w stanie czystym. Istnieje spora grupa opowiadań operujących metodami ekspresjonistycznej intensyfikacji, fantazją słowotwórczą, fantazją totalną, w której zmianie ulega nie tylko wizja, ale i kształt, i język świata przedstawionego. Bardzo własne i przejmujące koszmary udaje się stworzyć autorom „Kwarantanny" (Connie Willis) i „Wytrysk gungi" (Gary. W. Shockley). Wizja świata ulega deformacji, jakby narrator miał silną gorączkę albo pisał na haju, czasoprzestrzeń zawija się, koszmary nabierają ciała. Wchodzimy na serio w straszne światy, nie oddajemy się grze, lecz kibicujemy przedstawionej halucynacyjnie („Salwador") bądź wykreowanej rzeczywistości.

„Niebezpieczny człowiek", „Czynnik ludzki" (Stephena R. Donaldsona), „Obcy, którzy wiedzą, znaczy wszystko" (George'a Aleca Effingera) – to realizacje bliskie standardom. Człowiek przewidujący przyszłość; zakochana para na statku-arce ofiarnie przeciwstawiająca się agresji statku-maszyny; nieznośni przybysze-mądrale, przed których natrętnymi radami uciekają gdzie pieprz rośnie całe galaktyki – w każdym z tych przypadków klasyka służy realizacji humorystycznej. Czyżby klasyczność wstydziła się samej siebie? Jakbym znał to zjawisko i z naszego poletka.

„Więzy krwi" Octavii E. Butler to najbardziej wstrząsające (obok „Naciśnij ENTER") opowiadanie tomu. Oba nagrodzone Nebulą. W „Więzach krwi" wchodzimy w aurę bebechowatą, ciągnącą się od filmu „Alien", „The Thing" i paru jeszcze realizacji, lecz obcy wykluwający się z ludzkich ciał są tu z nimi połączeni w niepojętym związku miłości i nienawiści, przymusu i przyzwolenia. Opowiadanie jest napisane z pozycji chłopca, w którego ciele obcy składa swe jaja. Ale tę mieszaninę oburzenia, obrzydzenia, narkotycznego uniesienia i jednak erotycznej fascynacji ogarniających człowieka, którego ciało penetruje owipozytor przedstawiciela obcej rasy – mogła oddać tylko kobieta. Octavii Butler udało się to znakomicie. Podobną babską drapieżność, podobny klimat wymuszonego ofiarnictwa znajdziemy między innymi w „Kwarantannie" Connie Willis. Polskie pisarki fantastyczne nie potrafią na razie zaznaczyć swej osobowości i krzywd swej płci tak wyraziście.

Pora chyba na wnioski, choć nie rysują się one zbyt ostro. Poziom warsztatowy szczytów amerykańskiej SF jest bardzo wysoki. Przekazuje ona swoje przesłania bez gadulstwa, w pół słowa, jest świadoma środków i pewna swego czytelnika. Nie lęka się nieporozumień, nie stroni od pomysłów ekstrawaganckich, nie boi się rzeczywistości... Jest to proza uwikłana w amerykańskie mody i strachy, w indywidualne problemy i stresy. Przegląda się w niej to co wspólne i to co jednostkowe. Tom zestawiony przez Wollheima odbiera pojęciu amerykańskiej fantastyki obiegowe znaczenie standardowej awanturki.

Czy tylko Rottensteiner...?

W „Fantastyce" regularnie ukazują się kolejne odcinki bibliografii opracowanej przez Jacka Izworskiego. Polskiego czytelnika warto poinformować też o innej koncepcji bibliografii zaprezentowanej w wydanej przez Wolfganga Kasacka książce „Science-Fiction in Osteuropa". W bibliografii prac dotyczących fantastyki naukowej zupełnie bez znaczenia jest miejsce wydania, liczy się natomiast tylko obiekt zainteresowań autora danego opracowania. Sytuacja jest więc dokładnie odwrotna w stosunku do bibliografii zamieszczanej w „Fantastyce". Rozdział zatytułowany „Bibliographie zur Science Fiction in der Russischen, Polnischen und Tschechischen Literatur" opracowali Wolfgang van Kann i Erwin Puschkarsky. Najpierw zamieszczają autorzy w porządku alfabetycznym prace całościowe dotyczące ogólnej teorii science fiction. Przewagę mają tu opracowania niemieckie, choć nie brak oczywiście i innych – np. wiele jest prac Darko Suvina (fragment jednej z jego książek znają Czytelnicy „Fantastyki" z tłumaczenia Barbary Okólskiej), przełożone na język polski opracowanie Julija Kagarlickiego „Co to jest fantastyka?", rzecz Stanisława Lema „Fantastyka i futurologia". Zasadą bibliografii jest podawanie na pierwszym miejscu pierwszego wydania oryginału, a na drugim ewentualnego tłumaczenia niemieckiego (odwrotnie postępują autorzy przy artykułach). Można więc przy okazji ocenić popularność polskiej krytyki i teorii science fiction w strefie niemieckojęzycznej. „Fantastyka i futurologia" została przetłumaczona na niemiecki i wydana we Frankfurcie (t. 1 – 1977, t. 2 – 1980). Doczekało się też kilku recenzji, w tym dwie zostały zaczerpnięte z polskich pism – recenzja Marii Szpakowskiej z „Twórczości" i Andrzeja Zgorzelskiego z „Zagadnień Rodzajów Literackich". Wśród opracowań ogólnych warto wspomnieć artykuł Czesława Miłosza, który zajmował się także teorią science fiction. Artykuł pod tytułem „Science fiction i przyjście antychrysta" (Science Fiction and the Coming of the Antichrist) zamieszczony jest w pracy zbiorowej Uniwersytetu w Californii.

W części bibliografii dotyczącej polskiej fantastyki naukowej kilka rzeczy zwraca uwagę: kto ze znanych pisarzy zachodnich zainteresował się polską fantastyką naukową, jakie polskie teksty krytyczne i teoretyczne nie przedrukowywane za granicą zwróciły uwagę twórców bibliografii, a wreszcie jakie polskie prace teoretyczne tłumaczono za granicą? Zacznijmy zatem krótki przegląd od sprawy pierwszej – kto z zachodnich pisarzy science fiction lub bardziej znanych krytyków zajmował się polską fantastyką naukową? Odpowiedź nie nastraja optymistycznie. Są wśród nich tylko Brian W. Aldiss i Darko Suvin piszący o Lemie i wiele recenzji Franza Rottensteinera, który ze współczesnych polskich utworów science fiction recenzował książki: S. Lema, K. Fijałkowskiego, J. A. Zajdla, A. Wiśniewskiego-Snerga, a z dawnych polskich utworów „fantastycznych": nowele S. Grabińskiego, „Sklepy cynamonowe" B. Schulza, „Rękopis znaleziony w Saragossie" J. Potockiego.

W omawianej książce znalazła się większość podstawowych polskich opracowań teoretycznych. Największym uznaniem twórców bibliografii cieszył się Ryszard Handke (książka „Polska proza fantastyczno-naukowa" i 3 artykuły), pozycja Ewy Balcerzak „Stanisław Lem", Stanisława Lema „Wejście na orbitę", Artura Hutnikiewicza „Twórczość literacka Stefana Grabińskiego" oraz opracowane przez J. Kaczmarka i B. Kledzika „Materiały z Międzynarodowego Spotkania Pisarzy – Twórców Literatury Fantastyczno-Naukowej. Poznań 11–14 września 1973". Zauważono także artykuły Jana Trzynadlowskiego, Piotra Krywaka, Andrzeja Zgorzelskiego, Witolda Ostrowskiego, Marii Marcjan. Są to w zasadzie prace teoretycznoliterackie. Tłumaczono zaś w Zachodniej Europie, jak wynika z bibliografii, przede wszystkim artykuły krytyczne: Stanisława Barańczaka („Nurt"), Jana Błońskiego („Życie Literackie"), Magdaleny Szpakowskiej („Literatura"), Adama Wiśniewskiego-Snerga („Dookoła świata"). Wszystkie te tłumaczenia i wiele recenzji polskich utworów science fiction zamieszczono w austriackim czasopiśmie „Quarber Merkur" redagowanym przez Franza Rottensteinera. Spośród recenzowanych i opracowywanych autorów polskich rekordy popularności bije, oczywiście, Stanisław Lem. Na koniec tego przeglądu warto wspomnieć, iż wielu polskich teoretyków, krytyków i pisarzy science fiction drukuje bezpośrednio za granicą, głównie we wspomnianym „Quar-

To wszystko przypomina mi, o dziwo, prozę polską. W jej zainteresowaniu problemami indywidualnymi autorów, w jej ekstrawagancjach artystycznych, w metodzie budowania światów niekoniecznie prawdopodobnych, ale nośnych w sensy intelektualne i artystyczne. Dostrzegłem nawet podobieństwo motywów. Opowiadanie „Merda" (Tanithy Lee – też widać tu kobiecość autorki) z jej poświęcającą się dla innych bohaterką, z jej mistycyzmem i wiarą, że gdzieś w przestrzeni musi ktoś trwać, by w innym miejscu nie doszło do kataklizmu – przypomina trochę „Karlgoro godz. 18.00" Baranieckiego. „Naciśnij ENTER" to daleki i jednak znacznie bogatszy i swobodniejszy krewny „Wynajętego człowieka". „Więzy krwi" kojarzą mi się z „Tlatocetlem" (inaczej „Hienami cmentarnymi") Oramusa. „Wytrysk gungi" z prozą Żwikiewicza. Próbuję chyba bezwiednie składać antologię bliźniaczą do antologii Wollheima, tyle że złożoną z najlepszych polskich rzeczy ostatnich lat. Nie byłoby to niemożliwe. Istnienie podobnych tropów w obu fantastykach (może w całej fantastyce światowej) wydaje się oczywiste.

Oczywiście czołówka Amerykanów warsztatowo jest lepsza od naszej. Są Amerykanie śmielsi w pomysłach, znacznie swobodniej używają swojej rzeczywistości jako surowca swej prozy. Czuje się, czytając ich tom, że żyjemy co prawda w innych krajach, ale na tym samym świecie (no i uprawiamy ten sam gatunek), a więc przynajmniej po części oglądamy, śledzimy i przeżywamy to samo. To samo, ale trochę inaczej. I w dziedzinie fantastyki odnotowujemy więc za Amerykanami niejakie opóźnienia, ale mniejsze, znacznie mniej dotkliwe niż na innych obszarach.

Maciej Parowski

Don Wollheim proponuje – 1985 (Najlepsze opowiadania science fiction roku 1984). Wybór, wstęp i komentarze Donald A. Wollheim. Wydawnictwo „Alfa", Warszawa 1985. Cena 260 zł.

ber Merkur" oraz w kanadyjskim czasopiśmie redagowanym przez D. Suvina „Science Fiction Studies" (tu np. wspólny artykuł A. Smuszkiewicza, A. Fedorowitza, D. Suvina pt. „Przestrzeń i czas we współczesnej polskiej science fiction – Space and Time in Contemporary Polish Science Fiction").

Czas na pytanie, czy obraz przedstawiony w bibliografii Kasacka jest zadowalający? Moim zdaniem nie: po pierwsze brak wielu polskich opracowań językoznawczych i akademickich prac teoretycznoliterackich (np. Antoniego Smuszkiewicza „Stereotyp fabularny fantastyki naukowej", Andrzeja Zgorzelskiego „Fantastyka. Utopia. Science fiction. Ze studiów nad rozwojem gatunków"), po drugie tłumaczy się na język niemiecki tylko popularną publicystykę, pomijając naukowe, bardziej systematyczne opracowania, po trzecie wreszcie z bibliografii wynika, że zainteresowanie polską science fiction i polską myślą naukową o science fiction jest niewielkie. Interesujący nas dział bibliografii liczy wprawdzie ok. 250 pozycji, z tego jednak co najmniej połowę stanowią opracowania badaczy polskich (często dostępne tylko w języku polskim). Z pozostałej części ponad połowa to recenzje pojedynczych utworów, spośród których znakomitą większość napisał niestrudzony F. Rottensteiner.

Jolanta Tambor

Science-Fiction in Osteuropa. Herausgegeben von Wolfgang Kasack. Berlin Verlag Arno Spitz 1984.

1975 (ciąg dalszy)

1016. LEM Stanisław: *Powrót z gwiazd.* Wyd. IV. Kraków. Wyd. Literackie. 8° ss. 237, nlb. 2. 40 000 egz.
1017. [MARTYNOV Gëorgij]: *Gianeja.* Tłum. [z ros.] Anna i Andrzej Goreniowie. Wyd. II. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 298, nlb. 2. 20 000 egz. – Na k. tyt. aut.: Gieorgij Martynow. – ASF/CJSF.
1018. PETECKI Bohdan: *Operacja wieczność.* Warszawa. Iskry. 16° ss. 264, nlb. 2. 50 000 egz. – Fantastyka. Przygoda.
SADZIEWICZ M.: *Bez...* – zob. AF.
1019. [SAVČENKO Vladimir]: *Odnajdziesz się sam.* Tłum. [z ros.] Grzegorz Abgarowicz i Józef Mészáros. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 410, nlb. 6. 70 000 egz. – Seria z jamnikiem. – Na k. tyt. aut.: Władimir Sawczenko.
ŠEFNĔR V. – zob CJSF.
1020. SHUTE [właśc. NORWAY-SHUTE] Nevil: *Ostatni brzeg.* Tłum. [z ang.] Zofia Kierszys. Wyd. IV. Warszawa. Książka i Wiedza. 16° ss. 304, nlb. 3, tabl. 2, portr. 20 000 egz.
1021. *SIEDMIU fantastycznych.* Opowiadania fantastyczno-naukowe. Red. i przedm. Lech Jęczmyk. Aut.: Stanisław Lem [i in.]. Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 173, nl. 3. 30 000 egz. Biblioteczka „Szczęśliwej siódemki".
1022. STRUGACKI [J] A[rkadij], STRUGACKI[J] B[oris]: *Koniec akcji „Arka".* Tłum. [z ros.] Irena Lewandowska. Warszawa. Iskry. 16° ss. 217, nlb. 3. 30 000 egz. – Fantastyka, Przygoda.
1023. WYNDHAM John [właśc.: HARRIS John Beymon]: *Dzień tryfidów.* Tłum. [z ang.] Wacława Komarnicka. Warszawa. Iskry. 16° ss. 374, nlb. 2. 30 000 egz. – Fantastyka, Przygoda.
1024. ZAJDEL Janusz A[ndrzej]: *Prawo do powrotu.* Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 222, nlb. 2. 20 000 egz.
1025. ZAJDEL Janusz A[ndrzej]: *Przejście przez lustro.* Warszawa. Iskry. 16° ss. 309, nlb. 3. 40 000 egz. – Fantastyka, Przygoda.
1026. ŻUŁAWSKI Jerzy: *Na srebrnym globie. Rękopis z Księżyca.* Wyd. V powoj. [w metryczce mylnie III]. Przedm. Stanisław Lem. Posłowie Kazimierz Kordylewski. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 343, nlb. 2. 50 000 egz.

SF dla dzieci i młodzieży (CJSF):

1027. BROSZKIEWICZ Jerzy: *Mój księżycowy pech.* Wyd. II. Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° ss. 239, nlb. 1 50 000 egz.
1028. BROSZKIEWICZ Jerzy: *Wielka, większa i największa.* Wyd. X. Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° ss. 266, nlb. 2. 30 000 egz. – Na k. tyt. mylnie rok wyd.: 1973. – CJSF/F.
1029. BURAKOWSKA Elżbieta: *Niełatwo być psem.* Wyd. II. Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° podł. ss. 69, nlb. 3. 60 000 egz. – CJSF/F.
1030. HERLINGER J[uliusz] J[erzy]: *Mister Hopkins na tropach sensacji.* Wyd. III. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 286, nlb. 2. 30 000 egz.
KANN M.: *Literackie wyprawy w kosmos.* – zob. R.
1031. KOREWO Marek: *Ludzie z planety Ziemia.* Wyd. II popr. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 191, nlb. 1 30 000 egz. – CJSF/ASF.
MARTYNOV G.: – Gianeja. – zob. ASF.
1032. [MIRËR Alëksandr]: *Błękitny wieloryb.* Tłum. [z ros.] Marta Okołów-Podhorska. Wyd. II. Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° ss. 282, nlb. 6. 30 000 egz. – Klub Siedmiu Przygód. – Na k. tyt. aut.: Aleksander Mirer.
1033. [ŠEFNĔR Vadim]: *Chłopiec z pięcioma „nie", czyli spowiedź prostodusznego.* Tłum. [z ros.] Zofia Dudzińska. Warszawa. Iskry. 16° ss. 136, nlb 4. 30 000 egz. – Na k. tyt. aut.: Wadim Szefner. – CJSF/F.
1034. [ŠEFNĔR Vadim]: *Kulista tajemnica.* Tłum. [z ros.] Zofia Dudzińska. Warszawa. Iskry. 16° ss. 90, nlb. 2. 30 000 egz. – Fantastyka, Przygoda. – Na k. tyt. aut.: Wadim Szefner. – CJSF/ASF.
1035. VERNE [Jules]: *Pięć tygodni w balonie.* Tłum. [z franc.] Maria Zajączkowska. Wyd. III powoj. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 298, nlb. 2. 80 000 egz. – Na k. tyt. imię aut.: Juliusz. – Elementy fantast.
1036. VERNE Jules: *Wokół Księżyca.* Tłum. [z franc.] Ludmiła Dunikowska. Wyd. III powoj. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 301, nlb. 3. 60 000 egz.

Utopia (U):

1037. AFANASJEW Jerzy: *Mam w nosie lorda, proszę pana!* Wyd. II. Łódź. Wyd. Łódzkie. 16° ss. 281, nlb. 3. 20 000 egz.
1038. AGUILERA-NATTA Demetrio: *Porwanie generała.* Tłum. [z hiszp.] Hanna Igalson. Posłowie Andrzej Nowak. Kraków. Wyd. Literackie. 8° ss. 226, nlb. 2. 10 000 egz. – Proza Iberoamerykańska.
1039. CALVINO Italo: *Niewidzialne miasta.* Tłum. [z wł.] Alina Kreisberg. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 130, nlb. 2. 10 000 egz.
1040. CAMI [Pierre Henri]: *Zielone dziecko i inne utwory.* Wybór i tłum. [z franc.] Arnold Mostowicz. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 190, nlb. 2 20 000 egz. – Biblioteka Satyry. – Na k. tyt. brak imienia aut. – Niektóre opowiadania fantast.
1041. GÓRZAŃSKI Jerzy: *Małpi zamek.* Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 155, nlb. 4. 10 000 egz. – Biblioteka Satyry. – Większość opowiadań fantast. – U/AF.
1042. KRASICKI Ignacy: *Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki.* Wyd. VII (?) zm. Oprac. i wstęp Mieczysław Klimowicz. Kraków. Ossolineum. 16° ss. LXI, 194, tabl. 2, bibliogr. 10 000 egz. Biblioteka Narodowa. Seria I nr 41.
1043. MROŻEK Sławomir: *Wybór dramatów i opowiadań.* Wyd. I w tym zest. [w metryczce: Wyd. II i III]. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 417, nlb. 2. 30 000 egz. – Biblioteka Literatury XXX-lecia. – Większość utworów fantast.
1044. d'ORMESSON Jean: *Chwała cesarstwa.* Tłum. [z franc.] Eligia Bąkowska. Warszawa. Czytelnik. 8° ss. 598, nlb. 2. mapy, bibliogr. 20 000 egz.

cdn.

Przygotował Jacek Izworski

Ludzie chyba zawsze (odkąd byli ludźmi) próbowali przewidzieć, co przyniesie im przyszłość, bliższa albo dalsza. Przewidywania te bywały oparte najczęściej na przesłankach nieracjonalnych (czy też ostrożniej: na takich, które wydają się nieracjonalne), co nie oznacza, iż w ogóle się nie sprawdzały; były to przepowiednie, wróżby, proroctwa. Rzadziej w historii ludzkości, ale częściej w ostatnich czasach nauki i techniki próbowano przewidzieć przyszłość – zwłaszcza zmiany cywilizacyjne, wynalazki – na podstawie w miarę racjonalnej, to znaczy ekstrapolując, wnioskując na podstawie obserwowanych faktów i tendencji. Takie przewidywania nazwano w drugiej połowie naszego wieku futurologią; jej rozkwit przypadł w latach sześćdziesiątych.

Z tamtej strony lustra

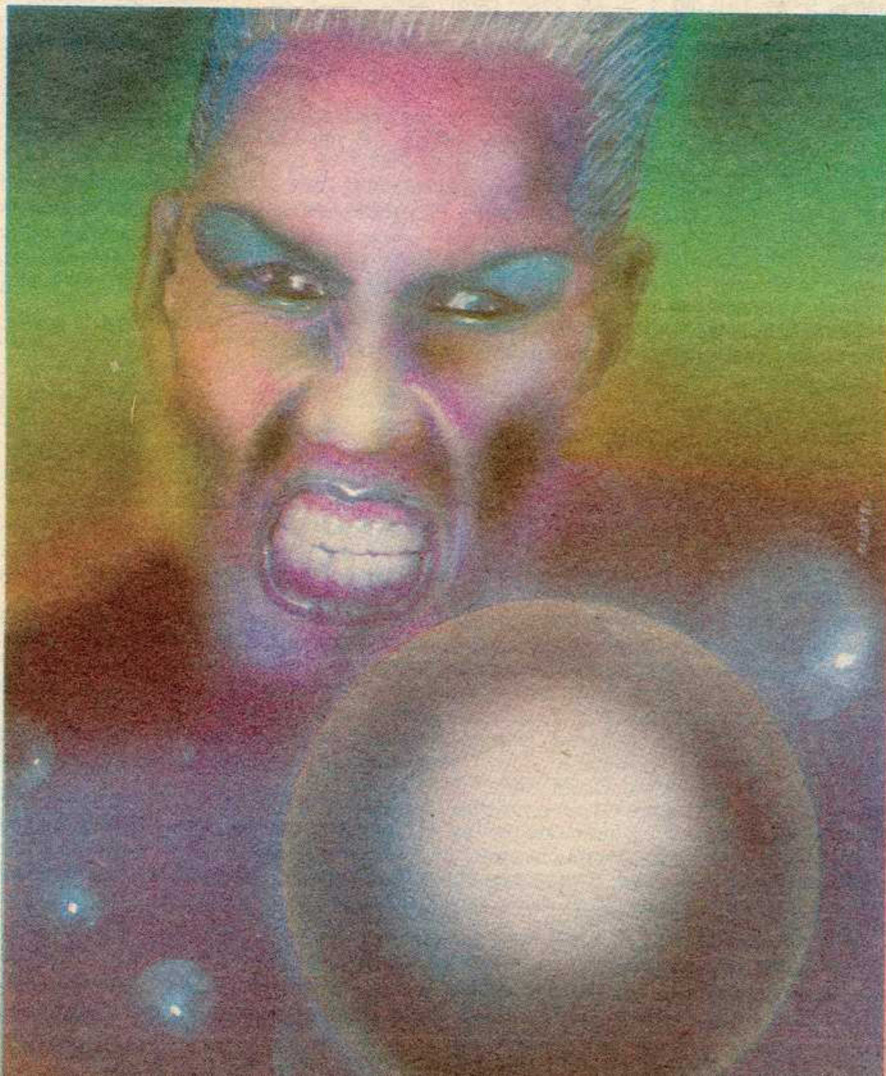
Maciej Iłowiecki

DOBRE CZASY

Był to okres, w którym wydawało się, że nauka i technika są niejako z samej swojej natury źródłem postępu, choć mnożyły się już groźne ostrzeżenia. Ale ciekawe: mimo wciąż nowych napięć politycznych, mimo sprzeczności – które zdawały się nie do rozwiązania (np. pomiędzy uprzemysłowieniem a zdrowym środowiskiem), mimo rosnącej przepaści między narodami „nierozwiniętymi" – oparta na nauce wizja przyszłości była optymistyczna. Rozwiązanie widocznych problemów zdawało się tylko kwestią czasu. Wydaje się, że przepowiednie (czy raczej naukowe przewidywania przyszłości) z tych czasów wyrażały po prostu nadzieję i aspiracje ówczesnych społeczeństw w krajach wysoko uprzemysłowionych, były po trosze odbiciem stanu świadomości społecznej. W każdym razie dzisiejsze przewidywania są zupełnie inne, znacznie też więcej w nich pesymizmu, a nawet koszmarów, które miałyby być skutkiem rozwoju tej samej nauki i techniki.

Jest chyba pewne, że rodzaj przewidywań w danej epoce mówi nam więcej o stanie świadomości ludzi w tej epoce niż o samej przyszłości, ale to inna kwestia, warta kiedyś podjęcia. Teraz chciałbym przypomnieć część ze słynnych przewidywań sprzed 22 lat, a więc z epoki zwycięskiej i optymistycznej futurologii. Najbardziej bodaj znaną pracą futurologiczną owych czasów były „prognozy wieloletnie", przygotowane przez ekspertów instytucji, zwanej RAND-Corporation (był to rodzaj spółki, stowarzyszenia naukowo-przemysłowego w Kalifornii). „Prognozy" ukazały się w 1965 r. – pomyśleć, że urodzeni wtedy ludzie są już dziś dorośli! Zdaje się to tak niedawno, ale przecież w naszym szybko zmieniającym się świecie była to inna epoka...

Myślę, że po 22 latach warto sobie przypomnieć niektóre przynajmniej przewidywania RAND-u i porównać je z rzeczywistością.



Marek Pytia Zalejski

Jeszcze kilka słów o sposobie przygotowania prognoz. Otóż najpierw uzgodniono opinie wybranych uczonych (zwrócono się głównie do specjalistów w USA i Europie Zachodniej) na temat najpilniejszych i zarazem możliwych – w ciągu najbliższych 50 lat – odkryć i wynalazków w dyscyplinach, które ci uczeni reprezentowali. Ustalono listę 50 takich odkryć, wynalazków, technologii. Potem – tzw. techniką delficką (bywają różne techniki, metody naukowego przewidywania, mniejsza teraz o szczegóły) uzyskano od jeszcze większego grona specjalistów prognozy, konkretne daty.

Podano t r z y d a t y : pierwsza wskazuje rok n a j w c z e ś n i e j s z e g o ewentualnego spełnienia prognozy, druga – rok, który większość ekspertów uznała za n a j b a r d z i e j p r a w d o p o d o b n y czas spełnienia prognozy, wreszcie data trzecia – rok n a j p ó ź n i e j s z e g o jej spełnienia.

Przypomnę więc teraz kilkanaście wybranych prognoz RAND-u z 1965 r., komentując je w 1987 r.

● *Gospodarczo opłacalne odsalanie wody morskiej (1965–1970–1980)*

Prognoza wciąż nie spełniona. Działają wprawdzie w niektórych krajach instalacje odsalające (destylujące słoną wodę), ale wciąż są mało wydajne, zużywają dużo energii i szybko ulegają korozji pod wpływem gorącej solanki. Dopiero w ostatnich latach zastosowano inną technologię – uzdatnianie wody na zasadzie tzw. odwrotnej osmozy. Kto nie pamięta, co to jest osmoza, niech zajrzy do podręcznika chemii fizycznej. W każdym razie odwrotna osmoza polega na oddzielaniu pod ciśnieniem substancji z roztworu, w tym wypadku soli z wody morskiej. W takich urządzeniach korozja jest mniejsza, woda tańsza (bo dużo mniejsze zużycie energii!), obsługa prostsza. Niewielkie, ręczne instalacje tego typu (ważące ok. 6 kg) stanowią rewelację w ratownictwie morskim, jako niezawodne urządzenia przerobu morskiej wody na zdatną do picia. Ale wciąż jeszcze nie jest to gospodarczo opłacalne odsalanie wody w wielkiej skali.

● *Skuteczna kontrola urodzeń za pomocą prostych i tanich środków antykoncepcyjnych (1970–1971–1983)*

Istnieje już wiele pigułek antykoncepcyjnych, w tym także pigułki dla mężczyzn. Opracowano też różne urządzenia mechaniczne (np. tzw. spirale). Jednak nie są to środki absolutnie nieszkodliwe dla organizmu. W niektórych krajach próbowano regulacji urodzin przez dobrowolną (państwo dawało za to różne premie) lub co gorsza, przymusową – sterylizację. Jest to metoda radykalna, ale niezbyt chyba godna wobec ludzi, nie mówiąc już o jakimkolwiek przymusie w tej mierze. Najbardziej udało się zahamować przyrost naturalny (różnymi metodami) w Chinach. Jednak coraz więcej ekspertów przypuszcza, że najbardziej humanitarną metodą zatrzymania przesadnego rozrodu jest rozwój ekonomiczny i kulturalny społeczeństw, wzrost wykształcenia. Tyle że to metoda najtrudniejsza... Niektórzy liczą na naturalne mechanizmy biologiczne gatunku ludzkiego, które w odpowiednim czasie zatrzymają przyrost na jakimś rozsądnym poziomie. Na razie – w 1986 r., więc grubo przed przewidywanym czasem – przyszedł na świat s z e ś c i o m i l i a r d o w y człowiek...

● *Maszyny do automatycznego przekładu z języków obcych (1968–1972–1976)*

Maszyny takie istnieją, ale ich przekłady dalekie są od doskonałości, bo języki bardzo trudno jest sformalizować. Klasycznym już przykładem komputerowego tłumaczenia jest zdanie „Duch silny, ale ciało mdłe", które maszyna przełożyła: „Spirytus mocny, ale mięso zgniłe..."

Niemniej w 1979 r. pojawiły się podręczne komputery-tłumacze, a dziś można tanio kupić na Zachodzie niewielkie (mieszczą się w kieszeni) mikroprocesorowe komputerki-słowniki, zawierające 4 tys. słów angielskich i ich odpowiedniki – hiszpańskie, francuskie lub niemieckie. Do porozumiewania się i pisania najprostszych zdań to wystarczy. Postęp w tej dziedzinie jest dziś wyjątkowo szybki, jednak nie tak szybki, jak przypuszczano w roku 1965.

● *Zastępcze narządy organizmu, pochodzące z przeszczepów lub sztuczne (1968–1972–1982).*

Pomyślmy, że pierwszy przeszczep serca nastąpił w 2 lata po tej prognozie, już w 1967 r. Dziś przeszczepia się liczne tkanki i narządy, ale właśnie przeszczepy serca nie spełniły nadziei. Podobnie ze sztucznym sercem, choć niemal co roku powstają ulepszone wersje takiego. Przeszczepy nerek należą już do tzw. zabiegów rutynowych. W 1986 r. nastąpił pierwszy udany przeszczep łapki u ssaka – szczura. Jest to wstęp do przeszczepów kończyn u ludzi... Technicznie (zdaniem np. słynnego neurochirurga amerykańskiego White'a) możliwy jest przeszczep głów u ludzi. Jednak związane z tym problemy etyczne i prawne wydają się nierozwiązywalne.

W 1984 r. po raz pierwszy przeszczepiono człowiekowi serce zwierzęcia, ale niemowlę (Baby Fae) z sercem pawiana żyło tylko 3 tygodnie (urodziło się ze szczątkowym sercem, więc bez przeszczepu w ogóle żyć by nie mogło). Eksperyment wzbudził wiele kontrowersji.

Istnieją już światowe banki organów do transplantacji i systemy szybkiej informacji (wyszukiwanie zmarłych dawców). W dziedzinie sztucznych narządów postęp jest chyba większy – całkiem nieźle działają sztuczne stawy, sztuczne uszy, nerki, trzustki – ale wciąż są to jednak eksperymenty. Medycyna tak naprawdę nie poradziła sobie jeszcze ani z przeszczepami, ani z narządami sztucznymi.

● *Niezawodne prognozy pogody (1972–1975–1988)*

Łatwo o złośliwości, bo zdaje się, że ekspertom trudniej jest przewidzieć pogodę na jutro, niż zmiany klimatu w najbliższym tysiącleciu... Nie wydaje się, by w 1988 r. prognozy pogody były już niezawodne, chociaż na przykład niektóre prognozy lokalne, a zwłaszcza ostrzegawcze (przed huraganami, burzami) są właściwie wystarczająco dobre, nie ma co wydziwiać. Satelitarne obserwacje pogody są ogromnym osiągnięciem, postęp w tej dziedzinie też jest coraz szybszy.

● *Centralne magazyny szybko dostępnych informacji do powszechnego użytku (1971–1980–1991)*

Tym razem postęp wyprzedził prognozę, nie musimy czekać do roku 1991. To znaczy, my w Polsce poczekać jeszcze trochę musimy, ale w krajach najbardziej zinformatyzowanych działają już różnego rodzaju banki informacji komputerowej i tzw. systemy ekspertowe, wspomagające natych miastową informacją lekarzy, prawników, bankowców, dziennikarzy itd. Właściwie – w USA i w Japonii – każdy może we własnym domu podłączyć się do potrzebnego mu banku informacji. Dziedzina ta rozwija się bodaj najszybciej.

● *Nowa teoria w fizyce, „usuwająca zamęt" w dziedzinie fizyki cząstek i w problematyce kwantowej (1975–1980–1993)*

Taka teoria dosłownie „wisi w powietrzu". Wiele najtęższych umysłów poszukuje dziś „wzoru na Wszechświat", możliwości unifikacji całej fizyki. Zresztą w fizyce właśnie następują bardzo istotne zmiany poglądów na istotę rzeczywistości badanej, przyroda jest zdaje się absolutnie inna niż to sobie dotąd wyobrażaliśmy. Ja na przykład przypuszczam, że coś zupełnie niezwykłego wystrz[illegible]u dużo wcześniej, przed r. 1993.

● *Powszechne stosowanie specyfików (nienarkotycznych) do wywoływania zmian w osobowości (1980–1983–2000)*

Nie sądzę, by „powszechne stosowanie" mogło wyjść ludziom na dobre. Ale specyfików takich wynajduje się coraz więcej, a od czasów Nagrody Nobla dla polskiego Amerykanina Schally'ego (1977) wiadomo już, że sam mózg produkuje podobne substancje i że w coraz większym stopniu można nimi sterować.

● *Kontrolowana reakcja termojądrowa (1980–1987–2000)*

Wciąż nie udaje się, raczej nie uda się także w roku 1987, ale też bliżej już takiej kontroli niż dalej. Zastosowanie laserów bardzo przyspiesza postęp w tej dziedzinie. W każdym razie jest już pewne, że coś takiego niedługo się uda i będzie to kolejny przełom w światowej energetyce.

● *Stworzenie prymitywnej formy sztucznego życia (1979–1989–2000)*

Biotechnologia i inżynieria genetyczna rozwijają się znacznie szybciej, niż można było sądzić w 1965 r., ich rzeczywistych sukcesów nikt właściwie nie przewidział. Ale droga do sztucznego życia chyba jeszcze daleka. Ja na przykład nie sądzę, by coś takiego stworzono w laboratorium do 2000 r., a nawet w ogóle „stworzono" w laboratoriach. Można „złożyć" żywy organizm z żywych części, może to być nawet organizm nie istniejący przedtem w przyrodzie (są już takie, nawet opatentowane), jednak nie jest to sztuczne życie w żadnym razie.

● *Gospodarczo opłacalna eksploatacja dna mórz (1980–1989–2000)*

No cóż, szyby naftowe na szelfach mórz dawno już wzbogacają takie kraje, jak Wielka Brytania czy Norwegia. Rzadkie surowce (np. rudy manganu), których pełno na dnie mórz, wciąż są właściwie nieopłacalne do wydobywania. Natomiast coraz częściej rozważa się możliwości dobywania z oceanów nieograniczonych tam niemal zasobów gazu palnego w stanie stałym (w postaci tzw. hydratu metanu). Byłaby to kolejna rewolucja w energetyce.

● *Możliwość opłacalnej produkcji syntetycznych białek pokarmowych (1985–1990–2003)*

W niektórych krajach (np. w Japonii) produkcja taka już jest opłacalna. Jednak dziś raczej wiadomo, że lepsze i tańsze białka uzyska się dzięki biotechnologii (a nie, jak sądzili eksperci RAND-u, dzięki przeróbce surowców w rodzaju ropy naftowej).

● *Znacznie więcej chorób psychicznych da się leczyć fizycznie lub chemicznie (1983–1992–2017)*

Nadal niewiele chorób psychicznych daje się uleczyć w ogóle, postęp w tej dziedzinie jest wolniejszy niż mogło się wydawać.

● *Powszechne uodpornienie na choroby zakaźne (1983–1994–2000)*

No, przemówił tu typowy optymizm lat sześćdziesiątych! W 1978 r. ogłoszono wprawdzie całkowite wyeliminowanie z Ziemi ospy, ale w ostatnich latach ruszyła lawina innych chorób zakaźnych, niebywale na przykład poszerzył się zasięg malarii (co roku atakuje ona przeszło ćwierć miliarda ludzi). Oczywiście nikt też nie przewidział niewiarygodnej epidemii AIDS, choroby, która zaczyna rzucać ponury cień na nasze czasy.

● *Możliwość „poprawienia" genów, by wyeliminować niektóre choroby genetyczne i wady wrodzone (1990–2000–2010)*

Istnieją już pewne, niewielkie możliwości terapii genowej, a inżynieria genetyczna rozwija się coraz szybciej. Jednak „naprawa" uszkodzonych genów wygląda dziś na zadanie znacznie trudniejsze, niż wydawało się kiedyś. Inżynieria genetyczna odnosi sukcesy raczej w innych kierunkach – np. w zmuszaniu organizmów bakteryjnych do produkcji substancji niezbędnych chorym (ludzkiej insuliny, interferonu itd.).

● *Opłacalne wykorzystanie mórz pod uprawę (?–2000–2017)*

Ekspertom RAND-u w 1965 r. wydawało się to bardzo odległe. Biotechnologia stwarza nadzieję „skonstruowania" roślin uprawnych, które będą mogły rozwijać się w morzach i wygląda dziś, że nastąpi to w najbliższych latach.

● *Substancje pobudzające regenerację narządów i kończyn (1995–2008–2025)*

Takich substancji – marzenia medycyny – nadal nie ma. Ale badania trwają, teoretycznie coś takiego jest możliwe.

● *Symbioza człowiek-maszyna – zwiększenie inteligencji przez bezpośrednie współdziałanie mózgu z komputerem (1990–2020–nigdy!)*

Prognozujący mieli tu na myśli coś w rodzaju bezpośredniego podłączenia mózgu do komputera, ale chyba nie będzie to rzeczywiście nigdy potrzebne... Wystarczy bowiem niebezpośrednie „wsparcie" mózgu przez komputer, czyli symbioza intelektualna. Natomiast realizuje się projekt symbiozy białkowo-elektronicznej – w postaci tzw. biokomputera, no ale to coś innego.

● *Opanowanie starzenia, przedłużenie życia jeszcze o 50 lat (1995–2025 – nigdy!)*

Średnia długość życia w skali światowej powoli się wydłuża, ale to wynik raczej zmniejszenia umieralności niemowląt, skutecznego leczenia różnych chorób, możliwości podtrzymywania życia osób dawniej skazanych na śmierć itp. Starość nadal pozostaje problemem (może najważniejszym?) i nadal nie wiemy dlaczego się starzejemy. Nie sądzę, by kiedykolwiek wynaleziono „lek na starość". Natomiast powolny wzrost wiedzy o starzeniu się różnych organów i tkanek pozwoli przeciwdziałać pogarszaniu się ich stanu. Przeżycie do 130 lat może kiedyś stać się regułą, kto wie... Dziś najdłuższy, udokumen-

towany wiek człowieka – to 115 lat. Jednak dobrze jest zdawać sobie sprawę, że ważniejsze jest przedłużenie młodości, niż wydłużenie starości...

● *Dwustronna łączność z istotami pozaziemskimi (2000–2025–nigdy)*

Być może, jesteśmy we Wszechświecie sami, być może nie rozpoznajemy sygnałów od INNYCH – ale faktem jest, że łączności takiej nie ma. Osobiście sądzę, iż złapanie jakiegoś sygnału jest możliwe niejako „w każdej chwili" (albo – rozpoznanie go w czymś, co dostrzegamy już od dawna...). Chyba że inteligentne życie jest przypadkiem w całej wieczności jedynym.

● *Opanowanie grawitacji (2022–2025–nigdy)*

Nic pewnego w tym zakresie powiedzieć nie można. W 1986 r. odkryto wprawdzie w przyrodzie (jest to jeszcze nie potwierdzone ostatecznie!) tzw. piątą siłę (piąte oddziaływanie), właśnie antygrawitację. Ale do wykorzystania tej siły bardzo daleko...

● *Długotrwałe „uśpienie" (anabioza), pozwalające ludziom na swoistą podróż w czasie (2006–nigdy–nigdy!)*

Euforia, wywołana zamrażaniem ludzi w latach sześćdziesiątych minęła, samo zamrażanie okazało się niewypałem. Wciąż nie potrafi się zamrozić b e z nieodwracalnego uszkodzenia organizmu, co nie przeszkadza, że wielu nieuleczalnie chorych ludzi poleca się nadal zamrażać w momencie śmierci klinicznej... i przechowywać w specjalnych pojemnikach do lepszych czasów. Z drugiej strony byłbym ostrożny ze słowem „nigdy". W 1984 r. urodziło się dziecko (w Australii), które w postaci z a m r o ż o n e g o embriona było długi czas przechowywane poza organizmem matki. Czyż nie jest to swoista podróż w czasie? Dziś zamrażanie embrionów jest niemal czynnością rutynową, a co dziś można zrobić z embrionem, jutro może będzie można zrobić z organizmem dojrzałym...

Nie mogę z braku miejsca przytoczyć innych prognoz, m.in. militarnych, z zakresu robotyki czy opanowania przestrzeni kosmicznej. Ale powyższe prognozy i tak wystarczą, by wyrobić sobie pogląd na to, co pokolenia lat sześćdziesiątych uznawały za ważne i czego – w dziedzinie nauki i techniki – oczekiwały.

Jeszcze bardziej da nam do myślenia, gdy spojrzymy na kilka choćby prognoz z l a t o s i e m d z i e s i ą t y c h. Na przykład:

● Około 2000 r. zniknie z powierzchni planety ponad milion gatunków roślin i zwierząt;

● Na początku III tysiąclecia w wielu krajach, a zwłaszcza w Japonii, zabraknie miejsca do składania odpadków i śmieci;

● W 2000 r. ludzie będą potrzebować tyle czystej wody, ile niosą jej wszystkie rzeki Ziemi, ale większość tych rzek będzie zatruta;

● Jeśli nie zahamuje się niszczenia lasów (zwłaszcza w Brazylii i w Kanadzie), nastąpi w początkach III tysiąclecia gwałtowne obniżenie ilości tlenu w atmosferze i groźna zmiana warunków klimatycznych, niekorzystna dla ludzi i rolnictwa.

Może wystarczy? Może rzeczywiście warto zamrozić się do lepszych czasów? No tak, ale mam wątpliwości, czy kiedykolwiek będą naprawdę d o b r e czasy i na pewno lepsze od naszych...

Maciej Iłowiecki

Świt magów – koncepcja realizmu fantastycznego L. Pauwelsa i J. Bergiera

Louis Pauwels, ur. w 1920 r., jest dziennikarzem, wydawcą, powieściopisarzem i eseistą. Jacques Bergier, ur. w 1912 r., inżynier chemik, mający na swym koncie wiele osiągnięć w dziedzinie chemii i elektroniki, znany jest m.in. również jako autor licznych prac popularyzatorskich. W 1960 r. ukazała się we Francji książka ich autorstwa, „Le matin des magiciens" (Świt magów). Z miejsca zyskała duży rozgłos i zainteresowanie czytelników z wielu krajów. Nie jest to fikcja literacka (choć autorzy często się do takowej odwołują i przytaczają nawet teksty Arthura C. Clarke'a i Waltera M. Millera), nie jest to także opracowanie naukowe. To szczególny rodzaj traktatu o świecie i o naszej cywilizacji, jej tajemnicach, zagadkach, dążeniach, nadziejach. O twórczej inteligencji, stymulowanej zarówno doświadczeniem i wiedzą zgromadzoną na przestrzeni dziejów przez naukę, jak również tajemnymi poszukiwaniami ukrytych prawd.

O sensacyjnych odkryciach, niewyjaśnionych zjawiskach, zagadkach pisuje się stosunkowo często, czy to będą tematy określane dziś mianem „daenikenowszczyzny", czy też np. zjawiska z zakresu parapsychologii. Jednakże chyba nikt nie pokusił się dotąd o dokonanie tak obszernego i różnorodnego jak w książce Pauwelsa i Bergiera opisu tego wszystkiego, co oni sami nazywają odkrywaniem fantastyczności w samym sercu realnej rzeczywistości. Autorzy, opierając się na niezwykle bogatej dokumentacji, na dokonanych wcześniej studiach z zakresu najrozmaitszych dziedzin wiedzy, stworzyli jedyną w swoim rodzaju panoramę. Na ponad sześciuset stronach drobnego druku poruszają oni najrozmaitsze zagadnienia. Mowa tu m.in. o rozwoju nauki i świadomości, w których to na początku XX w. dokonał się szczególny przełom, otwierający przed człowiekiem i jego wiedzą o świecie całkiem nowe horyzonty, a także o tym wszystkim, co pozostaje w sprzeczności (zdaniem autorów, często pozornej) z naukowym obrazem rzeczywistości. Rozmaite systemy filozoficzne i religijne, wierzenia i mity, zjawiska „nadprzyrodzone", problemy inteligencji pozaziemskich, marzenia o zaginionych cywilizacjach, poszukiwania prowadzone przez alchemików, tajne stowarzyszenia i szkoły wiedzy tajemnej, parapsychologia i wyższy stan świadomości – to przykłady tematów, które autorzy książki przedstawiają w sposób niezwykle barwny, logicznie spójny, a zarazem rzetelnie udokumentowany.

Ich ogólnym zamysłem jest próba przedstawienia nowego sposobu widzenia rzeczywistości. *„Nie proponujemy żadnej doktryny"* – stwierdzają. *„Staramy się tylko otworzyć przed czytelnikiem jak najwięcej drzwi, a ponieważ większość z nich otwiera się do wewnątrz, usuwamy się, żeby dać mu przejść."* Istotnie, w ten właśnie sposób napisana jest ich książka, jednakże zawiera ona również ogólne założenia „realizmu fantastycznego", którego jest zarazem ilustracją.

„Powszechnie definiuje się fantastyczność jako pogwałcenie praw Natury, jako pojawienie się niemożliwego. Dla nas jest ona czymś zupełnie innym. Fantastyczność jest manifestacją praw naturalnych, efektem zetknięcia się z rzeczywistością, kiedy ta ostatnia postrzegana jest bezpośrednio, a nie przefiltrowana przez osłonę intelektualnego uśpienia, przez przyzwyczajenia, przesądy, konformizmy." A więc fantastyka w tym pojęciu nie jest samodzielnym wytworem wyobraźni, która służy już tylko odkrywaniu niedostrzeganych dotąd aspektów realnej rzeczywistości, dostatecznie „fantastycznej". Pauwels i Bergier odwołują się m.in. do słów Teilharda de Chardin, że *„na skalę kosmiczną (czego dowodzi cała współczesna fizyka) tylko fantastyka ma szansę okazać się prawdziwą"*. Podkreślają, że cała współczesna nauka wykazuje nam, iż za wszystkim co proste i widzialne kryje się nieskończenie złożone i niedostrzegalne, czy to będzie np. stół, krzesło, czy gwiaździste niebo. Są one w istocie czymś zupełnie innym niż odbierany przez nas ich obraz: strukturami cząsteczek, systemami rotacji, stanami energii, itd.

Idea, że świat nie jest może dokładnie tym, za co go uważamy nie jest zresztą ani nowa, ani szczególnie oryginalna. Jednakże jej praktyczne urzeczywistnienia, np. w przypadku dokonań Alberta Einsteina, mogą radykalnie odmienić istniejący system poglądów. Pauwels i Bergier uważają, że to, co jest prawdą w naukach ścisłych, może stosować się również i do innych dziedzin, czy to będzie antropologia, psychologia, socjologia, czy też np. historia współczesna.

Ich zdaniem sprawny, wyćwiczony umysł jest w stanie, jeśli tylko zechce, przyswoić sobie systemy rozumowania właściwe naukom ścisłym, jak fizyka jądrowa czy cybernetyka, podobnie jak np. zgłębić zasady ekonomii marksistowskiej, czy też przeanalizować przyczyny rewolucji chińskiej. Podobnie rzecz się ma z odkrywaniem „innej rzeczywistości" w obrębie naszego świata, a jeśli dotąd tego nie czyniono, to nie tyle z obawy przed koniecznym wysiłkiem (ogromem niezbędnych badań, poszukiwań, itd.) ile w przeczuciu, że pociągnęłoby to za sobą zmianę sposobu myślenia i wypowiadania się, rewizję dotychczas uznawanych wartości.

★

Drukowany tu fragment z książki „Le matin des magiciens" jest zarazem fragmentem obszerniejszych rozważań, poświęconych odkrywaniu „drugiego oblicza", ukrytego pod maską ideologii nazistowskiej. Pokazuje on, w jaki sposób Pauwels i Bergier odkrywają przed czytelnikiem nowy obraz współczesnej cywilizacji, będący niewątpliwie – czy się go zaakceptuje, czy też nie – obrazem „rzeczywistości fantastycznej".

Barbara Okólska

Rzeczywistość fantastyczna

Louis Pauwels ● Jacques Bergier

Jest kwiecień 1942 roku. Niemcy rzucają do walki wszystkie swoje siły. Wydawać by się mogło, że nic nie jest w stanie oderwać techników, uczonych i wojskowych od ich bezpośrednich zadań.

Tymczasem, w wielkiej tajemnicy opuszcza Rzeszę ekspedycja, zorganizowana za zgodą Goeringa, Himmlera i Hitlera. W ekspedycji tej bierze udział kilku najwybitniejszych specjalistów w dziedzinie radaru. Pod kierunkiem doktora Heinza Fishera, znanego ze swych prac nad promieniami podczerwonymi, przybywają oni na bałtycką wyspę Rugię. Wyposażeni zostali w najbardziej udoskonalone radary. A przecież urządzenia te są jeszcze rzadkością i rozmieszcza się je w newralgicznych punktach niemieckiej obrony. Jednakże obserwacje, jakie mają być przeprowadzone na Rugii, uważane są w wysokim sztabie marynarki za sprawę o zasadniczym znaczeniu dla ofensywy, którą Hitler zamierza przeprowadzić na wszystkich frontach.

Zaraz po przybyciu na miejsce, doktor Fisher każe skierować anteny radarów na niebo, pod kątem 45°. Jak się wydaje, w obranym kierunku nie ma nic do wykrycia. Pozostali członkowie ekspedycji sądzą, że chodzi tu o jakąś próbę. Nie wiedzą czego się od nich oczekuje. Cel poszukiwań zostanie im wyjawiony później. Ze zdumieniem stwierdzają, że anteny radarów pozostają tak skierowane przez wiele dni. I wówczas dostają takie oto wyjaśnienie: Führer ma wszelkie podstawy przypuszczać, że Ziemia nie jest wypukła, lecz wklęsła. Nie zamieszkujemy zewnętrznej powierzchni globu, lecz jego wnętrze. Naszą pozycję porównać można z pozycją much, wędrujących we wnętrzu kuli. Celem ekspedycji jest naukowe wykazanie tej prawdy. Przez odbicie fal radarowych rozchodzących się po linii prostej, uzyska się obraz punktów skrajnie oddalonych we wnętrzu kuli. Drugim zadaniem ekspedycji jest uzyskanie, drogą odbicia fal, obrazów floty angielskiej zakotwiczonej w Scapa Flow.

O tej szalonej przygodzie na wyspie Rugii opowiada Martin Gardner w swej pracy „In the Name of Science". Sam doktor Fisher musiał wspomnieć o niej po zakończeniu wojny. Profesor Gerard S. Kuiper z obserwatorium w Mount Palomar poświęcił w 1946 r. serię artykułów doktrynie wydrążonej Ziemi, która przyświecała tej ekspedycji. Pisał on w „Popular Astronomy": „*W ważnych kręgach marynarki niemieckiej oraz lotnictwa wierzono w teorię o wydrążonej Ziemi. A nawet uważano, że może być ona przydatna do ustalenia położenia floty angielskiej, ponieważ wklęsła krzywizna Ziemi umożliwia obserwacje na bardzo duże odległości, za pomocą promieni podczerwonych, mniej zakrzywionych od promieni widzialnych*". Te same fakty przytacza inżynier Willy Ley w swym studium z maja 1947 roku „Pseudonauki w krajach nazistowskich".

Niezwykłe, lecz prawdziwe: wysocy dygnitarze nazistowscy, eksperci wojskowi, zwyczajnie i po prostu zanegowali to, co jest rzeczą oczywistą dla małego dziecka z naszego cywilizowanego świata, to znaczy, że Ziemia jest wypełnioną w środku kulą, i że my znajdujemy się na jej powierzchni. Ponad nami, myśli małe dziecko, rozciąga się nieskończony wszechświat z miriadami gwiazd i galaktyk. Pod nami zaś jest skała. Czy będzie on Francuzem, czy Anglikiem, Amerykaninem, czy Rosjaninem, mały chłopczyk jest co do tego zgodny z oficjalną nauką, jak również z uznawanymi religiami i filozofiami. Nasza moralność, nasza sztuka, nasza technika, opierają się na tej wizji, którą doświadczenie wydaje się potwierdzać. Jeśli szukamy tego, co może najlepiej zapewnić jedność współczesnej cywilizacji, to znajdziemy to właśnie w kosmogonii. W kwestii zasadniczej, to znaczy miejsca człowieka i Ziemi we wszechświecie, wszyscy jesteśmy zgodni, czy będziemy marksistami, czy też nie. Tylko naziści byli odmiennego zdania.

Zdaniem zwolenników teorii o wydrążonej Ziemi, którzy zorganizowali słynną ekspedycję paranaukową na wyspę Rugię, mieszkamy wewnątrz kulistej sfery, otoczonej masą skalną, która rozciąga się w nieskończoność. Żyjemy na jej wklęsłej powierzchni. Niebo znajduje się w centrum tej kuli: jest ono masą niebieskawego gazu, z błyszczącymi punktami światła, które bierzemy za gwiazdy. Tymczasem, jest tu jedynie słońce, oraz obłok niebieski, lecz są one nieskończenie mniejsze niż twierdzą ortodoksyjni astronomowie. Do tego ogranicza się wszechświat. Jesteśmy sami i otoczeni skałą.

Zobaczmy w jaki sposób zrodziła się ta wizja: z legend, z intuicji, z iluminacji. W 1942 roku naród zaangażowany w wojnę, w której technika jest wszechwładna, żąda od nauki, by wsparła mistykę, zaś od mistyki by wzbogaciła technikę. Doktor Fisher, specjalista od podczerwieni, otrzymuje zadanie oddania radarów na usługi magów.

Czy to w Paryżu, czy w Londynie, wszędzie mamy ekscentrycznych myślicieli, odkrywców pomylonych kosmogonii, proroków wszelkiego rodzaju niezwykłości. Piszą oni broszury, przesiadują na zapleczach sklepików starych księgarzy, wygłaszają pogadanki w Hyde Parku czy w „La salle de géographie" na bulwarze Saint Germain. W hitlerowskich Niemczech widzimy, jak tego rodzaju ludzie mobilizują siły narodu oraz sprzęt techniczny armii toczącej wojnę. Widzimy, jak wywierają oni wpływ na wysokie sztaby wojskowe, na przywódców politycznych, uczonych. Rzecz w tym, że stoimy tu wobec całkiem nowej cywilizacji, opartej na pogardzie dla klasycznej kultury i dla rozumu. W cywilizacji tej intuicja, mistyka, iluminacja poetycka postawione są dokładnie na tym samym poziomie co badania naukowe i racjonalna wiedza. „*Kiedy słyszę o kulturze, wyjmuję rewolwer*", mówi Goering. To groźne zdanie ma dwojaki sens: dosłowny, ukazujący Goeringa-Ubu rozbijającego głowy intelektualistom, oraz sens głębszy, a zarazem oddający bardziej realne zagrożenie dla tego, co nazywamy kulturą, ukazujący Goeringa strzelającego pociskami wybuchowymi, w postaci kosmogonii horbigerowskiej[1], doktryny o wydrążonej Ziemi, czy mistyki grupy Thule[2].

★

Doktryna wydrążonej Ziemi zrodziła się w Ameryce, na początku XIX w. 15 kwietnia 1818 roku wszyscy członkowie Kongresu Stanów Zjednoczonych, dyrektorzy Uniwersytetów oraz niektórzy wybitni uczeni otrzymali list następującej treści:

Saint Louis, Missouri
Ameryka Północna
10 kwietnia

Do całego świata!

Oświadczam, że Ziemia jest wewnątrz pusta i jej wnętrze nadaje się do zamieszkania. Zawiera ona szereg kul o charakterze stałym, położonych koncentrycznie jedna wewnątrz drugiej, i jest otwarta na biegunie, pomiędzy stopniem 12 i 16. Zobowiązuję się dowieść prawdziwości tego twierdzenia, i gotów jestem zbadać wnętrze Ziemi, jeśli świat zgodzi się mi pomóc w mym przedsięwzięciu.

Jno. Cleves Symnes
były kapitan piechoty z Ohio

Sprague de Camp i Willy Ley, w ich ciekawej pracy „Od Atlantydy do Eldorado", przedstawiają teorię oraz poczynania byłego kapitana piechoty następująco:

„*Symnes twierdził, że wszystko na tym świecie jest wydrążone, zarówno kości, włosy, łodygi roślin, itd., jak i planety, oraz że na przykład w przypadku Ziemi wyróżnić można pięć kul znajdujących się jedna w drugiej, z których każda nadaje się do zamieszkania, tak po stronie wewnętrznej, jak i zewnętrznej, a wszystkie one posiadają na biegunach duże otwory, poprzez które mieszkańcy każdej z nich mogą przemieszczać się z dowolnego punktu do innego, również na zewnątrz danej kuli, podobnie jak mrówka biegająca po wewnętrznej, a następnie po zewnętrznej stronie czarki porcelanowej... Symnes organizował swe objazdy z odczytami na wzór kampanii wyborczych. Po swojej śmierci pozostawił stosy notatek, oraz przypuszczalnie mały, drewniany model globu Symnesa, który obecnie znajduje się w Akademii Nauk Przyrodniczych w Philadelphii. Jego syn, Americ Vespucius Symnes, będący jednym z jego adeptów, bezskutecznie próbował zebrać te notatki w spójną całość. Dodał on do nich także własne przypuszczenie, że kiedy czas się dopełni, to odnalezionych zostanie dziesięć zagubionych Plemion Izraela, żyjących prawdopodobnie po wewnętrznej stronie zewnętrznej ziemskiej sfery*".



W 1870 roku inny Amerykanin, Cyrus Read Teed ogłasza ze swej strony, że Ziemia jest wydrążona. Teed był umysłem o dużej erudycji, specjalizował się w badaniach nad literaturą alchemiczną. W 1869 roku kiedy pracował w swoim laboratorium i medytował właśnie nad Księgą Izajasza, doznał objawienia. Zrozumiał, że mieszkamy nie na Ziemi, lecz w jej wnętrzu. Jako że wizja ta przywracała znaczenie dawnym legendom, stworzył on coś w rodzaju religii i rozpowszechnił swą doktrynę, zakładając gazetkę o nazwie „Ognisty Miecz". W 1894 roku zgromadził już ponad cztery tysiące fanatyków. Jego religia nosiła nazwę Koreshismu. Zmarł w 1908 roku oświadczywszy, że jego zwłoki nie ulegną rozkładowi. Jednakże już po dwóch dniach jego wierni musieli kazać je zabalsamować.

Idea wydrążonej Ziemi wiąże się z tradycją, którą odnaleźć można we wszystkich epokach i we wszystkich miejscach. Najstarsze dzieła literatury religijnej mówią o osobnym świecie znajdującym się pod powierzchnią Ziemi, będącym miejscem pobytu zmarłych oraz duchów. Kiedy Gilgamesh, legendarny bohater starożytnych Sumerów oraz epopei babilońskich udaje się w odwiedziny do swego przodka Utnapishtima, schodzi do wnętrza Ziemi, i tutaj również udaje się Orfeusz w poszukiwaniu Eurydyki. Ulisses, osiągnąwszy granice Zachodu, składa ofiarę, ażeby duchy przodków powstały z głębin Ziemi i przybyły udzielić mu rady. Pluton króluje w głębi Ziemi nad duchami zmarłych. Pierwsi chrześcijanie zbierają się w katakumbach i czynią z podziemnych otchłani miejsce pobytu potępionych dusz. Legendy germańskie zsyłają w głąb Ziemi Venus. Dante umieszcza piekło w dolnych kręgach. Folklory europejskie lokują pod ziemią smoki, a Japończycy wyobrażają sobie żyjącego w trzewiach ich wyspy potwora, którego gniew wywołuje trzęsienia ziemi.

Mówiliśmy wcześniej o pewnym tajnym bractwie przedhitlerowskim, stowarzyszeniu Vrila, które wprowadziło do tych legend zamęt w postaci tez, wysuwanych przez angielskiego pisarza Bulwera Lyttona w jego powieści „The Coming Race". Według członków tego stowarzyszenia, w jaskiniach znajdujących się we wnętrzu Ziemi mieszkają istoty o wyższych niż nasze zdolnościach psychicznych. Pewnego dnia wyjdą one stamtąd, by nad nami panować[3].

Przy końcu I wojny światowej, młody niemiecki lotnik Bender, zatrzymany we Francji, odkrywa stare egzemplarze gazety Teeda „Ognisty Miecz" oraz broszury propagandowe mówiące o wydrążonej Ziemi. Zafascynowany tym kultem, jako kolejny który „doznał objawienia", uściśla i rozwija tę doktrynę. Po powrocie do Niemiec, zakłada ruch pod nazwą „Hohl Welt Lehre". Wznawia badania, jakie prowadził inny Amerykanin, Marshall B. Gardner, który w 1913 roku opublikował pracę mającą na celu wykazanie, że Słońce nie znajduje się ponad Ziemią, lecz w jej centrum, i że wysyła ono promienie wywierające ciśnienie, które utrzymuje nas na wklęsłej skorupie ziemskiej. Według Bendera, Ziemia jest kulą tej samej wielkości co i w geografii ortodoksyjnej, lecz jest ona pusta w środku i życie rozwinęło się na jej wewnętrznej powierzchni, utrzymywane tu dzięki specjalnemu rodzajowi promieniowania słonecznego. Wokół nas jest tylko skała, rozciągająca się w nieskończoność. Wewnątrz Ziemi, warstwa powietrza rozciąga się na przestrzeni 60 km, a dalej rozrzedza się, przechodząc w centrum w absolutną próżnię, w której znajdują się trzy ciała: Słońce, Księżyc, oraz pozorny Wszechświat. Ów pozorny Wszechświat jest kulą niebieskawego gazu, w której błyszczą punkty świetlne, nazywane przez astronomów gwiazdami. Kiedy ta błękitna masa przesłania Słońce, na części wklęsłej powierzchni Ziemi zapada noc, a cień tej masy na Księżycu powoduje zaćmienie. Wierzymy w znajdujący się ponad nami, zewnętrzny Wszechświat, ponieważ promienie świetlne nie rozchodzą się w linii prostej: ulegają one zakrzywieniu, z wyjątkiem promieni podczerwonych. Teoria Bendera miała stać się popularna około roku 1930. Przywódcy Rzeszy, wyżsi oficerowie marynarki i lotnictwa, wierzyli w doktrynę wydrążonej Ziemi.

★

Wydaje się zupełną niedorzecznością, by ludzie przewodzący całemu narodowi mogli częściowo opierać się w swym postępowaniu na mistycznych objawieniach, negujących istnienie naszego Wszechświata. Trzeba jednakże zauważyć, że dla prostego człowieka, dla przeciętnego Niemca, o duszy nadszarpniętej porażką militarną oraz nędzą, pomysł wydrążonej Ziemi nie był właściwie, koło roku 1930, bardziej szalony od teorii, w myśl której okruch materii zawierał nieograniczone źródło energii, lub teorii czterowymiarowego Wszechświata. Od końca XIX wieku nauka wkraczała na drogę, która nie była drogą zdrowego rozsądku. Dla umysłów prostych, nieszczęśliwych i skłonnych do mistycyzmu, wszelka niezwykłość stawała się dopuszczalna, a najłatwiej niezwykłość zrozumiała i pocieszająca, jak wydrążona Ziemia. Hitler i jego towarzysze, ludzie wywodzący się z ludu i wrogo nastawieni do czystej inteligencji, musieli uważać teorie Bendera za łatwiejsze do przyjęcia od teorii Einsteina, który odkrywał Wszechświat nieskończenie złożony i wymagający nieskończonej subtelności umysłu. W koncepcji Bendera świat był z pozoru równie szalony, jak i świat einsteinowski, lecz zrozumienie go wymagało zaledwie szaleństwa pierwszego stopnia. Objaśnienie wszechświata przez Bendera, oparte na szalonych założeniach, rozwinięte było w sposób racjonalny. Szaleniec postradał wszystko, z wyjątkiem rozsądku.

Ruch „Hohl Welt Lehre", czyniący ludzkość jedyną inteligencją obecną we Wszechświecie, sprowadzający ów Wszechświat jedynie do rozmiarów Ziemi, dający człowiekowi poczucie, że jest osłonięty, ukryty, bezpieczny, jak płód w łonie matki, zaspokajał pewne potrzeby nieszczęśliwej duszy, zasklepionej we własnej dumie i pełnej złości do świata zewnętrznego. Co więcej, była to jedyna teoria niemiecka, którą można było przeciwstawić Żydowi Einsteinowi.

Teoria Einsteina opiera się na doświadczeniu Michelsona i Morleya, wykazującym, że prędkość światła rozchodzącego się w kierunku obrotu Ziemi jest taka sama, jak prędkość światła prostopadłego do tego kierunku. Einstein wyprowadził stąd wniosek, że nie istnieje jakiś określony ośrodek „przenoszący" światło, lecz że składa się ono z niezależnych cząsteczek. Wychodząc od tego stwierdzenia, Einstein zauważa, że światło ulega skurczeniu w kierunku swego ruchu i że jest ono skondensowaniem energii. Tworzy teorię o względności ruchu światła. W systemie Bendera, wydrążona Ziemia jest nieruchoma. Nie występuje tu efekt Michelsona. Wydaje się więc, że teza o wydrążonej Ziemi równie dobrze oddaje rzeczywistość, jak i teza Einsteina. W owych czasach nie doszło jeszcze do żadnej eksperymentalnej weryfikacji myśli Einsteina, bomba atomowa nie wykazała jeszcze jej słuszności w sposób ostateczny i przerażający. Przywódcy niemieccy schwycili okazję zanegowania wszelkiej wartości prac genialnego Żyda i rozpoczęło się prześladowanie uczonych izraelskich oraz oficjalnej nauki.

Einstein, Tyller, Fermi i wiele innych wybitnych umysłów musiało opuścić kraj. Spotkali się oni z dobrym przyjęciem w Stanach Zjednoczonych, gdzie otrzymali do dyspozycji pieniądze i doskonale wyposażone laboratoria. Stąd wzięła się amerykańska potęga atomowa. To właśnie narastanie sił okultystycznych w Niemczech dało Amerykanom energię atomową.

Najważniejsze centrum badawcze armii amerykańskiej znajduje się w Dayton, w stanie Ohio. W 1957 roku ogłoszono, że w laboratorium, w którym pracowano tutaj nad bombą wodorową, udało się uzyskać temperaturę miliona stopni. Uczonym, któremu powiodło się to niezwykłe doświadczenie był doktor Heinz Fisher, człowiek, który kierował ekspedycją na wyspę Rugię dla sprawdzenia hipotezy o wydrążonej Ziemi. Od 1945 roku pracował on swobodnie w Stanach Zjednoczonych. Zapytany przez prasę amerykańską o swoją przeszłość, oświadczył: *„Naziści kazali mi wykonywać pracę szaleńca, co w znacznym stopniu zakłóciło moje własne badania"*. Można sobie postawić pytanie, co by się stało i jak potoczyłyby się losy wojny, gdyby badania doktora Fishera nie zostały przerwane na rzecz mistyki Bendera...

★

Po ekspedycji na wyspę Rugię, zmniejszył się autorytet Bendera w oczach dygnitarzy nazistowskich, pomimo poparcia Goeringa, który darzył sympatią tego byłego bohatera lotnictwa. Horbigeriańczycy, zwolennicy wielkiego wszechświata, w którym panuje wieczny lód, uzyskali nad nim przewagę. Bender został wtrącony do obozu koncentracyjnego, gdzie poniósł śmierć. W ten sposób wydrążona Ziemia zyskała swego męczennika.

Jednakże już na długo przed ową szaloną ekspedycją, zwolennicy Horbigera szydzili z Bendera i żądali zakazu publikacji dzieł traktujących o wydrążonej Ziemi. System Horbigera jest na miarę ortodoksyjnej kosmogonii, a nie sposób wierzyć równocześnie w kosmos, w którym lód i ogień toczą wieczną walkę, oraz w wydrążoną Ziemię, uwięzioną w skale, która rozciąga się w nieskończoność. O rozsądzenie tej sprawy zwrócono się do Hitlera. Jego odpowiedź zasługuje na uwagę:

„Zupełnie nie potrzebujemy – powiedział Hitler – *jakiejś spójnej koncepcji świata. I jeden i drugi może mieć rację".*

Nie chodzi o spójność i zgodność poglądów, lecz o obalenie systemów opartych na logice i racjonalnym rozumowaniu,

o mistyczny dynamizm i siłę wybuchową intuicji. Skrzący się mrok magicznego umysłu pomieści więcej niż jedną iskrę.

Przełożyła
Barbara Okólska

Przypisy tłumacza:

1. Hans Horbiger, ur. w 1860 r. w Tyrolu, po studiach technicznych w Wiedniu pracował w Budapeszcie. Stworzył doktrynę znaną pod nazwą Wel (Wel – Welteislehre, czyli doktryna wiecznego lodu). Stanowiła ona wyjaśnienie Wszechświata sprzeczne z oficjalną astronomią oraz matematyką, lecz uzasadniające dawne mity. Horbiger utworzył potężny ruch, z własną służbą informacyjną, biurami rekrutacji członków itd., organizujący akcje propagandowe, meetingi. W ciągu paru lat wydał trzy duże prace o swej doktrynie, 40 popularnych książek, setki broszur. Zwerbował dziesiątki tysięcy członków swego ruchu. Hitler wierzył w jego teorię i popierał jego dzieła. Doktryna Horbigera stanowi kompletną wizję historii i ewolucji kosmosu, wraz z powstaniem Systemu Słonecznego, Ziemi oraz samego życia, a także historii ludzkości, od czasów najdawniejszych aż po odległą przyszłość. Wszystko opiera się na idei wiecznej walki pomiędzy lodem i ogniem, siłą odpychania i przyciągania. Ta walka, to zmieniające się napięcie pomiędzy przeciwstawnymi elementami; ta wieczna wojna na niebie będąca prawem planet rządzi również Ziemią i żywą materią, oraz determinuje historię ludzkości. Dzieje Ziemi i jej mieszkańców kształtują się cyklicznie, składają się z serii kolejnych kataklizmów, oddzielających okresy wielkich, baśniowych cywilizacji, olbrzymów, nadludzi. Opis Horbigera odpowiadał teorii o rasie aryjskiej i ustalał jej nadzwyczajne pochodzenie: oto niegdyś zeszła ona z gór zamieszkałych przez nadludzi z dawnych epok i jej przeznaczeniem jest panować nad planetą, nad całym kosmosem.

2. „Grupa Thule" – jedno z tajnych stowarzyszeń, kryjących się za ideologią narodowego socjalizmu. Należeli do niego m.in. Karl Haushoffer, Rudolf Hess, Adolf Hitler. Legenda Thule odnosi się do „praźródeł germanizmu". Thule, to zaginiona wyspa, gdzieś na dalekiej Północy, która rzekomo miała stanowić magiczne centrum zaginionej cywilizacji: oto bowiem, 30 czy 40 wieków temu, istniała na terenie Gobi rozwinięta cywilizacja; w wyniku katastrofy, być może atomowej, Gobi przekształcona została w pustynię, a pozostali przy życiu ludzie wywędrowali, jedni na północ Europy, inni – w kierunku Kaukazu (istniały też inne wersje tej legendy, wg których ocalali z kataklizmu „nadludzie" schronili się w podziemnych grotach w Himalajach). „Wtajemniczeni" z „grupy Thule" byli przekonani, że emigranci z Gobi stanowili fundamentalną rasę ludzką: jej gałąź aryjską. Jednocześnie uważali, że nie wszystkie sekrety tamtej cywilizacji zaginęły: istoty pośredniczące pomiędzy człowiekiem a inteligencją „z Zewnątrz" dysponują zasobem sił, z których można czerpać, by dać Niemcom panowanie nad światem, by uczynić z nich naród będący zalążkiem przyszłych nadludzi, przyszłych mutacji rasy ludzkiej. Takimi właśnie mitami, taką „sekretną doktryną" karmili od 1920 roku Adolfa Hitlera prorocy socjalizmu magicznego, członkowie „grupy Thule": Dietrich Eckardt i Alfred Rosenberg.

3. „Stowarzyszenie Vrila" – tajne stowarzyszenie berlińskie, zwane także „Lożą Świetlistą". Wyznawana przez jego członków teoria pochodziła bezpośrednio z powieści B. Lyttona. Uważali się oni za posiadaczy sekretów, dzięki którym, drogą koncentracji oraz całej złożonej „gimnastyki wewnętrznej", mogli stać się równi „nadludziom" z głębi Ziemi. Twierdzili, że „Vril" to rodzaj ogromnej energii, potencjalne źródło naszej boskości, którego w zwyczajnym życiu wykorzystujemy jedynie znikomą cząstkę. Ten, kto zdoła nad nim zapanować, stanie się panem samego siebie, panem innych, panem świata. To właśnie jest jedyny, nadrzędny cel, do którego należy dążyć: jeśli nie zdołamy go osiągnąć, to gdy Nadludzie wyjdą z głębi Ziemi – nie będziemy im równi, lecz staniemy się ich niewolnikami.



Fot. Marek Fabryczny

JEAN-PIERRE HUBERT:
DOBRA SF OBRONI SIĘ SAMA

Wojciech Jaros: *– Jean-Pierre, krytyka zalicza Pana często do grupy pisarzy tworzących fantastykę naukową o zabarwieniu socjo-politycznym. Czy jest to trafne zaszeregowanie?*

Jean-Pierre Hubert: – Jeżeli określenie „socjo-polityczny" ma być etykietką przyczepioną do mnie, mojej twórczości, to przeszkadza mi ona, ponieważ etykietki takie są zarazem prawdziwe i fałszywe. Pisząc, zawsze podejmowałem tematy polityczne i nadal będę to robił, utrzymując jednak oficjalnie we Francji, że tego nie robię. Moda na SF polityczną już tam bowiem minęła. Przy czym wydaje mi się, że takie zakwalifikowanie czy mnie, czy innych pisarzy wynika często z mylenia naturalnych tendencji we francuskiej SF, która zawsze nawiązywała do problemów politycznych i socjologicznych, z modami, którym towarzyszy publikowanie kolekcji, serii SF przez różne wydawnictwa. Zjawisko określane niekiedy mianem socjo-politycznej francuskiej „szkoły" fantastyki naukowej wiąże się z utworzeniem w wydawnictwie „Kesselring" kolekcji „Ici et Maintenant". Tu i teraz – było to swojego rodzaju zawołanie bojowe piszących dla niej autorów. Grupa ta podjęła znacznie uproszczone slogany roku 1968, czasu wielkiej młodzieżowej rewolty we Francji. No i zaczęła tworzyć literaturę walczącą, wyszukującą i uderzającą w cele bezpośrednie – sytuację polityczną, zagrożenie nuklearne, otaczający nas beton miast, środki masowego przekazu, ich władzę, wpływ na społeczeństwo... Przy czym robiła to niezręcznie, myląc literaturę z prowadzeniem bieżącej walki społecznej, politycznej. Kolekcja „Ici et Maintenant" upadła około roku 1978 z braku czytelników. Bernard Blanc, który nią kierował próbował kontynuować ten profil w wydawnictwie „Encre". Ukazało się tam sześć książek, ale po roku i ta seria upadła. W tym samym czasie zmarło śmiercią naturalną, czy częściowo naturalną, coś znacznie ważniejszego – wydawany w „J'ai lu" przez Yves Frémiona kwartalnik „Univers". Miał on podobne ambicje co tamte kolekcje, jednak bardziej troszczył się o literacką jakość tekstów. W zasadzie mógł utrzymać się nieco dłużej, ale gdy z odejściem fali mody liczba jego czytelników spadła z 40 do 20 tysięcy, dyrektor wydawnictwa, który jak długo pismo sprzedawało się nieźle, nie interesował się obranym przez nie kierunkiem politycznym, po raz pierwszy przeczytał co wydaje. Wstrząsnęło nim to. Z dnia na dzień polecił wstrzymać druk.

– Odeszła fala pewnej mody. Nie oznacza to przecież upadku francuskiej SF. Co działo się potem?

– Część pisarzy, bardzo ściśle związanych z kierunkiem, o którym mówiłem, zrezygnowała. Niektórzy piszą kryminały, inni powieści historyczne, jeszcze inni stali się krytykami muzycznymi. Z dużej, kipiącej grupy twórców zostali na placu boju ci, którzy rzeczywiście chcieli pisać SF i nosili w sobie choć zalążki talentu literackiego. Tacy jak Joëlle Wintrebert, Philippe Cousin, Patrice Duvic, Dominique Douay. Najbardziej znanym z tych, którzy wciąż piszą jest Jean-Pierre Andrevon. Mimo iż bardzo zdystansował się on od walczącej, wojowniczej SF w stylu Bernarda Blanca wydaje mi się, że ze wszystkich naszych autorów jest najbardziej przesiąknięty tamtymi ideami, najbardziej upolityczniony. Choć trudno go też zaliczyć do „pokolenia 1975". Związał się z nim w pewnym momencie, ale pisał przecież dużo wcześniej. Podobnie jak Daniel Walther. W każdym razie to są nazwiska tych, którzy przetrwali po upadku wielkiego, szczytowego okresu upolitycznionej fantastyki naukowej, do której mnie się też czasem zalicza. Po roku 1980 nastąpiła generalna zmiana.

– Na czym polegała?

– Nie ma wspólnego tematu, czy też grupy tematów jednoczących pisarzy. Każdy działa na własny rachunek, robiąc to, co jemu najbardziej odpowiada. Można powiedzieć, że grupuje się teraz pisarzy SF zależnie od kolekcji, dla których tworzą, nie zaś zależnie od tematyki. No i przede wszystkim po roku 1980 pojawiły się nowe nazwiska. Zalążki zmiany rysowały się od wydania przez Philippe'a Curvala w roku 1978 antologii „Futurs au présent". Siedemnaście opowiadań nieznanych bądź mało znanych autorów. Dostrzeżeni wtedy zostali tacy z nich jak Serge Brussolo, Jean-Marc Ligny. Mniej więcej w tym czasie doszło też trzecie nazwisko Emmanuel Jouanne. Chciałbym się zatrzymać nad przeciwieństwami, jakimi są Brussolo i Jouanne.

O Brussolo mówi się często, że to pisarz wideo. Operuje obrazami, tworzy na przykład bardzo ostrą, drastyczną scenę, pogłębia ją, drąży, precyzyjnie dobierając słowa i nagle przeskakuje do innego obrazu, innego nastroju. Odniósł w krótkim czasie duży sukces, po czym utknął na odwiecznym problemie: chce żyć z pisania. Jedynym sposobem jest związanie się z wydawnictwem „Fleuve Noir", które jest skłonne wydać nawet kilka powieści jednego pisarza w roku, ale stawia bardzo określone wymagania. Intryga musi się szybko rozwijać, akcja toczyć wartko, winna być

zabarwiona erotyzmem, a przede wszystkim gwałtem. Takie są bowiem gusty popularnego, masowego odbiorcy. Brussolo wydał we „Fleuve Noir" kilka powieści. Są to jednak w gruncie rzeczy pastisze jego pierwszych książek, takich jak „Portrait du diable en chapeau melon" czy „Vue en coupe d'une ville malade". To wciąż jest Brussolo, ale mocno rozcieńczony, jak kilka kropel whisky w litrze wody.

Emmanuel Jouanne ma 25 lat, opublikował dwie powieści w wydawnictwie „Denoël", w tym pierwszą „Damiers imaginaires" (1982), jedną w serii „Ailleurs et Denain" kierowanej przez Gérarda Kleina w wydawnictwie „Laffont". Można więc powiedzieć, że wszedł do SF głównym wejściem honorowym. To autor fantasmagoryczny, a zarazem polityczny, przyciągany przez idee „pokolenia 1975". W przeciwieństwie do Brussolo-samotnika stara się poznawać tamtych pisarzy, tworzyć tak jak często robiono to wówczas w dwu-, trzyosobowych spółkach autorskich.

– Pokolenie 1975 pisało powieści, ale przede wszystkim ogromną liczbę nowel. Teraz jest ich dużo mniej. Skąd taka zmiana, przecież nowela wydaje się naturalną formą dla początkującego pisarza?

– Są dwie główne przyczyny. Pierwszą przedstawię na przykładzie Daniela Walthera. Chciał pisać nowele i do roku 1977, jeśli nie liczyć próby niezbyt udanej powieści „Mais l'espace... mais le temps", czyli przez prawie dziesięć lat, pisał wyłącznie nowele. Po czym przekonał się, o czym zresztą zawsze było wiadomo, że we Francji dopóki autor nie napisze dostrzeżonej powieści, jest traktowany jako twórca drugorzędny. Czytelnicy, krytyka bardzo niesprawiedliwie oceniają jego twórczość. O istnieniu Walthera wiedziano, nowele chwalono, ale cenić go zaczęto dopiero po powieści „L'Epouvante", która zresztą uzyskała Grand Prix francuskiej SF w 1979 roku. A rozbudował ją ze swej noweli „La canonnière Epouvante".

Drugi powód, chyba podstawowy, to dramatyczny wręcz brak od kilku lat możliwości publikowania nowel. Po prostu nie ma gdzie. „Fiction" stało się straszną firmą. Było kilka skandali, w tym o stawki autorskie, jakie płaci. Jest to poniżej wszelkiej krytyki, jakieś 100 franków za nowelę, czyli tyle co nic, ponadto biorą wszystkie prawa i autor nie ma nic do powiedzenia ani zarobienia. Doszło do skłócenia dyrektora „Fiction" z autorami. Aby ich ukarać pan ten zdecydował, że nie opublikuje więcej ani jednego opowiadania francuskiego. Sytuacja jest absurdalna, przy czym w jej efekcie znikła główna podpora dla młodych pisarzy, jaką był ten miesięcznik.

„Univers" nie istnieje. W jego miejsce powstał „Univers annuel" publikujący nie więcej niż 2–3 opowiadania francuskie w roku. „Dédale", a nawet szerzej fantastyka naukowa w wydawnictwie „Marabout" praktycznie przestała się liczyć.

„Pokolenie 1975" w znacznym stopniu zdołało wykorzystać ówczesną modę na antologie, zbiory tekstów wcześniej nie publikowanych, koncentrujących różnych autorów wokół jednego tematu. Wydawały je „Denoël", „Opta", „J'ai lu", „Presses Pocket", Kesselring. Lansowano tą drogą młodych, nieznanych autorów. Na przykład Brussolo opublikował swój pierwszy tekst w „Ici et Maintenant" Kesselringa, ja w „Dédale 1" w „Marabout". Wychodziło też wiele profesjonalnych fanzinów. Sam publikowałem w „Horizons du Fantastique", „Science-Fiction Magazine". Ale wszystkie kolejno upadały. Nawet „Futurs", którym zajmował się Gérard Klein. Sądzono, że jeśli weszli tam tacy specjaliści jak on i Philippe Curval, pismo powinno przetrwać. Padło jednak po kilku numerach z przyczyn handlowych. Jak w innych przypadkach tak i tu doszło do niezrozumienia sytuacji przez tych, którzy chcieli szybko zarabiać duże pieniądze na wydawaniu fantastyki naukowej. Nie docierało do nich, że miłośnik SF musi mieć czas, by przyzwyczaić się do pisma. Że dopiero po trzech, czterech latach jest skłonny kupować je regularnie, nawet jeśli obniży ono poziom. Ponieważ zaś żadne z pism nie przynosiło gwałtownego sukcesu finansowego, zamykano je po wydaniu trzech, czterech numerów. Liczba siedem jest tu ostateczna. I w końcu została już tylko jedna poważna publikacja wydawana przez „Denoël". Nazywa się ona „Science-Fiction nr..." i tu następuje kolejny numer. Każdy z nich jest poświęcony innemu tematowi, stara się go przedstawić szeroko, dogłębnie. Jest tam zawsze kilka nowel francuskich, wymieszanych z amerykańskimi.

– Cóż zatem może debiutant?

– Publikować w typowo amatorskich fanzinach. Znam tylko jeden, „Proxima" wydawany w Lille, który dość dobrze się rozchodzi i podobno nawet płaci autorom. Natomiast z reszty nie należy spodziewać się ani pieniędzy, ani nawet sławy, bo mają ogromne trudności z dystrybucją.

– Istnieje zatem pewna grupa pisarzy, którzy wyrobili sobie nazwiska, a więc też zyskali czytelników, a z drugiej strony wielu młodych, dla których przebicie się jest o wiele trudniejsze niż było na przykład przed dziesięciu laty?

– Tak. Choć z pierwszej grupy wyróżniłbym jeszcze skomercjalizowanych autorów piszących wyłącznie dla „Fleuve Noir". Podkreślam, że wyłącznie, ponieważ pisali dla tego wydawnictwa prawie wszyscy francuscy profesjonaliści SF. Mówiłem już o wymaganiach, jakie stawia „Fleuve Noir". Czyją jest winą, że powstała taka sytuacja? Trudno mi odpowiedzieć. Może czytelników, którzy nie chcą kupować książek wydawanych w bardziej ambitnych kolekcjach, może szefów wydawnictw, wolących nie podejmować ryzyka. Nie wiem.

Na pewno na masowym tworzeniu w roku 1978 przez różne wydawnictwa serii poświęconych SF zaważyła moda. Jej fala opadła, serie też upadły. Przetrwały najpoważniejsze, a co ciekawsze najstarsze z nich, takie jak „Anticipation" we „Fleuve Noir", „Présence du Futur" w „Denoël", „Ailleurs et Demain" u Laffonta, czy niczym specjalnie nie oznaczana fantastyka naukowa w wydawnictwie „J'ai lu". Niestety, gdy nastąpiło załamanie, w idący do dna wir wciągnięta też została „Opta" – jedyne wydawnictwo wyspecjalizowane w SF – oraz serie w wydawnictwach Casterman i Calmann-Lévy. Tych należy żałować, bo ukazywały się w nich wartościowe, starannie dobrane książki.

– Mówił Pan o zmianie czytelników, o tym, że książka mająca dotrzeć do ich szerszej grupy musi być uproszczona, spełniać warunki przeciętnego gustu. Czy w tej sytuacji we Francji mają w ogóle szanse na zdobycie popularności ambitniejsze teksty?

- Niekiedy jest to możliwe. Prostota nie stanowi przeciwieństwa jakości. Przy czym, aby do niej dojść pisarz musi zwykle pokonać bardzo długą drogę. Znam młodego autora piszącego dla „Fleuve Noir" – ma 26 lat, nazywa się Marcel Pagel. Wydał kilka interesujących, pełnych temperamentu powieści, a zarazem stosunkowo prostych. Przy czym tak jak każdy piszący, musi bardzo wystrzegać się chęci nadmiernego dostosowania do wymagań kolekcji, która go publikuje. To pozornie wydaje się bez znaczenia, nawet normalne, żeby wybrać temat, który jest modny, będzie się podobał, tekst odpowiednio wygładzić, przypudrować erotyzmem, czy gwałtem. Jeśli seria ma ambicje bardziej intelektualne dołożyć kilka refleksji, odsyłaczy... A potem, nagle można spostrzec, że ginie gdzieś własna droga pisarza, tematy, które mu odpowiadają, które on czuje, chce rozwijać, pogłębiać. To wszystko co składa się na jego indywidualność. I właśnie, ze względu na specyfikę „Fleuve Noir" jest to też niebezpieczeństwo stojące przed Pagelem. Choć na razie, jak mi się wydaje, unikał go i jest na początku właściwej drogi. Na drugim jej końcu widziałbym André Ruellana, który potrafi pisać bardzo prosto, ponieważ umie też być szalenie skomplikowany. Na tym polega przecież sztuka, zawód pisarza.

– Do kogo zatem adresują swą twórczość francuscy pisarze SF? Do szerokiej grupy czytelników literatury popularnej, czy raczej węższej, odbiorców o bardziej wyrafinowanym guście?

– I do tych i do tych, choć rzadko równocześnie. Pisarz SF o wyrobionym nazwisku może liczyć we Francji na 10–12 tysięcy czytelników, czy też raczej nabywców jego nowej książki. Najbardziej znani jak Demuth, Klein około 15 tysięcy. Więcej może Barjavel, należący jednak do generacji przedwojennej, piszący od bardzo dawna. Tłumaczenia „lokomotyw" amerykańskich osiągają nakłady 30–40 tysięcy. A przecież jest jeszcze film, wideo, gdzie odbiorców są setki tysięcy. Występuje zatem ogromna rozbieżność, choć też coraz częściej stykam się ze zjawiskiem, które mnie smuci, a zarazem drażni – mieszaniem konwencji, nośników fantastyki naukowej. Nie lubię tego, bo naprawdę nie rozumiem, jaki związek z moją twórczością mogą mieć najbardziej nawet udane dzieła SF stworzone w Hollywood. Mówię to z tym większym przekonaniem, że sam współpracuję z filmem. Odnoszę wrażenie, że ci, których określa się mianem „czytelników popularnych" coraz bardziej od literatury SF przechodzą właśnie do oglądania filmów, zwłaszcza wideo. Prawdopodobnie za pewien czas doprowadzi to do sytuacji, w której z pisanej fantastyki naukowej przetrwa przede wszystkim część refleksyjna, skierowana do czytelników, których przyciąga aspekt intelektualny, literacki, wyobrażeniowy. Wydaje mi się to zresztą dość naturalną tendencją. Wszyscy utopiści działali zawsze na marginesie, poza głównymi nurtami popularności. Nie sądzę więc, by należało szczególnie żałować, że następuje przemiana idąca w tym właśnie kierunku. Sam przecież także wolę uczciwie, dobrze zrobiony film wideo od byle jakiej powieści. Zaś dobra literatura obroni się sama.

– Dziękuję za rozmowę.

1985

Rozmawiał
Wojciech Jaros

Jean-Pierre HUBERT

Francuski pisarz SF. Zadebiutował w 1973 roku nowelą „Cautérisation" zamieszczoną w antologii „Dédale 1" belgijskiego wydawnictwa „Marabout". Od tego czasu napisał jeszcze ok. 50 innych nowel i 7 powieści. Otrzymał Grand Prix francuskiej SF za nowele „V.V." (1976), „Gélatine" (1982) oraz za powieść „Le champ du rêveur" (1984). Za tę powieść otrzymał też Nagrodę Rosny (im. J. H. Rosny'ego) – 1984. Ponadto jego powieść „Mort à l'étouffée" uzyskała w 1979 roku nagrodę Violet przyznaną przez Krajowy Kongres SF w Tuluzie. W. J.

Steven Spielberg niedługo stanie się najbardziej znaną postacią kina amerykańskiego w Polsce. W jakiejkolwiek roli by występował (a bywał już reżyserem, aktorem, producentem i scenarzystą), film z jego nazwiskiem w czołówce nieodmiennie trafia na nasze ekrany.

Ostatnio mogliśmy oglądać „Powrót do przyszłości" („Back to the Future", patrz „Fantastyka" 6/86), a obecnie „Piramidę strachu" („Pyramid of Fear"; tytuł amerykański „Young Sherlock Holmes") – Spielberg był producentem obu tych filmów. Kolejnym obrazem, należącym do serii „Steven Spielberg prezentuje" (dostępnym w wypożyczalniach kaset wideo), są „Gagatki" („The Goonies").

Zgodnie z modną, lansowaną przez Spielberga zasadą, bohaterami wszystkich trzech filmów są dzieci. Gagatków jest aż siedmioro. Mieszkają w małej osadzie, którą muszą wkrótce opuścić. Ktoś wykupił te tereny pod budowę ośrodków rekreacyjnych.

Gdy trzynastoletni Mikey Walsh (Sean Astin), patrząc przez okna swojej sypialni na senne, portowe miasteczko, osnute lekką mgiełką, mówi: *„Nic ciekawego tu się nigdy nie zdarza"*, nie brzmi to przekonywająco. Gagatki nie chcą opuszczać tej dziury.

Autorem scenariusza jest Chris Columbes, ale materiałem wyjściowym była historia napisana przez Spielberga. Współproducent i reżyser filmu – Richard Donner, znany jest w Polsce ze swych wcześniejszych obrazów: „Superman" i „Omen". Niedawno ukończył realizację historycznego filmu przygodowego „Ladyhawke", w którym główną rolę kreuje Rutger Hauer, znany wielbicielom kina SF ze swego brawurowego występu w filmowej adaptacji powieści Philipa K. Dicka „Blade Runner".

„The Goonies" to film zrobiony przez dzieci, o dzieciach i dla dzieci, lub właściwie dla wszystkich, którzy choć trochę czują się dziećmi. Nie jest to jednak fantazja, taka jak na przykład „E.T." To raczej coś w rodzaju przygód Tomka Sawyera. Jeżeli odkrywamy w nich elementy fantasy, to tego rodzaju, jakie przeżywaliby Tomek i Huck w świecie bez dorosłych.



GAGATKI

Tym razem jednak pomysł scenariusza i sposób w jaki zostaje przedstawiony na ekranie wydają mi się nieco naiwne. Fajnie jest wierzyć w zatopione, pirackie statki pełne skarbów i myślę, że wszystkie dzieci (i nie tylko) chciałyby je odkrywać, ale tu wszystko dzieje się zbyt łatwo. Do lochów, w których rozgrywa się ta niby-zabawa, niby-dramat, wchodzi się przez kominek sezonowej restauracji. Oczywiście nikt tam nigdy nie zaglądał! Nikt, poza jednym poszukiwaczem, który zginął wpadając w jedną z wielu pułapek i to już po półgodzinnej wędrówce. Dzieci natomiast omijają wszystkie niebezpieczeństwa. W dodatku to, co ma nas trzymać w napięciu, przeszkody jakie muszą pokonać, znamy z innych filmów. Są tu znowu metalowe, ogromne kolce, stada nietoperzy, szaleńczy zjazd podziemnym strumieniem, do złudzenia przypominający jazdę kolejką w kopalni pod Świątynią Zagłady – wszystko jak z przygód Indiany Jonesa. Czymś nowym jest pomysł z kościanymi organami, ale konwencja pozostaje ta sama.

Znacznie lepsze jest to, co dzieje się na drugim planie. Wątek rodzinnej bandy, której gagatki niechcący wchodzą w drogę i która już do końca będzie deptać im po piętach, oraz historia Slotha – potworka, olbrzyma i losu jego przyjaźni z Chunkiem (Jeff B. Cohen). Sympatyczne też są same gagatki. Myślę, że przygoda, jaką był udział w tym filmie, przewyższała dla nich odgrywaną.

Każde z dzieci jest gwiazdą na swój własny sposób. Dla czworga z nich występ w „The Goonies" był filmowym debiutem. Z pozostałej trójki widzieliśmy Correya Feldmana w „Gremlinach", a Ke Huy-Quana w „Indiana Jones". Liderem grupy jest Sean Astin. W życiu prywatnym gra w koszykówkę i układa programy komputerowe, zaś na ekranie to nieco marzycielski, lecz zdecydowany chłopiec, który uwierzył, że przyjaciele odnajdą skarb i dzięki temu pozostaną w miasteczku. Josh Brolin gra jego przystojnego, wysportowanego, starszego brata – Branda. Brand nie ma zamiaru uczestniczyć w wyprawie smarkaczy, na takie głupstwa jest po prostu „za stary". Ale musi opiekować się chorującym na astmę bratem, bo tak kazała mu mama (którą gra Mary Ellen Trainor – widzieliśmy ją, jako porwaną siostrę Kathleen Turner, w filmie „Miłość, szmaragd i krokodyl").

Najmłodszym gagatkiem jest Chunk (Jeff B. Cohen – urodzony komik). Jego skłonność do przesady okaże się dla gagatków nieco ryzykowna.

Corry Feldman to najbardziej doświadczony aktor w tej grupie, występuje w filmach i telewizji od trzeciego roku życia. Tutaj gra Moutha, sprytnego, rezolutnego chłopaka, zawsze modnie ubranego, z punkowską fryzurą, który każdemu umie przygadać – ale tak naprawdę jest zwykłym, fajnym chłopakiem.

Zupełnie niezwykły natomiast jest Data (Ke Huy-Quan) – techniczny cudotwórca, z kieszeniami pełnymi swoich wynalazków, które jednak nie zawsze działają tak, jak sobie zaplanował. Jest to młode wcielenie popularnej postaci filmów science fiction – cudownego wynalazcy.

Wśród gagatków są również dwie dziewczyny. Andi (Kerri Green), najstarsza z tego grona (w czasie kręcenia filmu obchodziła swoje osiemnaste urodziny), jest bardzo romantyczna i marzycielska, cała wyprawa nie bardzo ją obchodzi, chciałaby tylko, żeby Brand ją pocałował. Jej przyjaciółką jest ekscentryczna i ultranowoczesna Stef (Martha Plimpton).

Wydaje mi się, że w swoich filmach Spielberg realizuje własne chłopięce marzenia. „Gagatki" są rodzajem fantazji, jaką każde dziecko chciało by przeżyć. Ale po obejrzeniu wielu podobnych obrazów, zaczynamy traktować je jako filmy dla dzieci, którymi są w rzeczywistości.

Chciałabym, żeby Spielberg dostrzegł w sobie również dorosłego człowieka i zrobił kiedyś film dla dorosłych. Wierzę, że by potrafił.

Dorota Malinowska

Gutek



Janusz Gutkowski – Poster niereklamowy